



B. BOLESŁAWITA.

HYBRYDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-710 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

All is true....

533.

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA

1869.



KRAKÓW

w Drukarni Uniwersytetu Jagiell. pod zarządem K. Mańkowskiego.
1869.

1670

<http://rcin.org.pl>

All

Jestto w obyczajach wieku dzisiejszego żeby w domu nie siedzieć; tak jak dawniej bywało zasklepionemn żyć w żółwiój skorupce swojój.

Nie wiem czy ostatecznie społeczność na tém wygra czy straci, ale ta ruchawość człowieka wpływając musi złe czy dobrze na jego charakter wiekowy.

Dawniej zasiedziały człowiek był na widowni i pod sądem nieustannym otoczenia swego, kraju, rodziny, społeczności... zmuszało go to do pilnowania się i baczenia na siebie... Dziś, nieznajomy, obcy, robi, co chce, a przynajmniej czynić może, co mu się podoba, jak gdyby nikt na niego nie patrzył; gra taką rolę, jaka mu do smaku przypada ... nie jest pod nadzorem niczym prócz swojego sumienia. Z sumieniem zaś... jak wiadomo, człowiek wchodzi w różne układy w potrzebie.

Mało jest tak surowych ludzi, żeby, uzyskawszy swobodę, nie korzystali z niój...

Z tego wypływa, że dzisiejsza nasza ruchawość może na zbytne próby nas wystawia.

Miło jest wszakże wylecieć sobie z klatki, strzepnąć skrzydłami i furknąć w świat szeroki...

Miło! to prawda ... ale te poloty coś téż znaczą, że dom serca nie zaspokaja, że rodzina nas nie wiąże, że miłość nas nie osmuca, że nie tęskniemy, że nie kochamy.

Zabawki nam trzeba.... bośmy znudzeni tém co niegdyś najdroższy skarb stanowiło — ogniskiem domowém, ciszą i spokojem....

Zimą potrzebujemy miasta, bo jakże przetrwać na wsi u komina długie wieczory zimowe? Latem wszyscy gwałtownie leczyć się muszą a inaczej nie mogą jak wodami.... Zostaje czasem kawałek jesieni i odrobina wiosny na rozpatrzenie się w opustoszałym dworze.

Nie jest li to chorobą społeczną, ta potrzeba i żądza niepomiernej ruchu, to szukanie czegoś, co po za sobą znaleźć się nie może?...

Nie wiem...

Dość, że w tym roku było towarzystwo niezmiernie liczne, wesołe, dobrane i gwałtem potrzebujące zapomnieć o troskach domowych — w Wiesbaden; równie ochoczo bawiono się w Homburgu,

w Baden, w Spa, w Ems, a nawet w Akwisgranie reumatycy i kaleki mieli twarze rozweselone, uśmiechnięte... Zaraz po ukończeniu kursu wód wszyscy niemal się wybierali dla nabrania sił do Ostendy, do morza...

Ale szczególnie ożywionym był Wiesbaden. Od rana do wieczora krzesła stojące przed kursaal od parku wypełnione były cudzoziemcami.... muzyka brzmiała uśmiechały się drzewa zielone ... przesuwwały twarzyczki białe, szeleściły ogony długich sukien, a po jedenastej w restauracyi tak długo strzelały korki szampana i musującego Renu!

Rosyan i Polaków liczba była przemagająca, żadna narodowość tylu dobrowolnych nie dostarcza Europie wygnańców, co my i nasi serdeczni nieprzyjaciele.

I im i nam ciężko w domu! nie dziw ... ofiarą nie każdy być umie, katem nie zawsze długo być można. I to męczy...

Na neutralnym gruncie spotykamy się tu w rękawiczkach, nieznajomi, ale spojrzawszy sobie w oczy, sypiemy iskrami pogardy i nienawiści.

Moskale i Polacy zagranicą mamy ten przywilej, żeśmy więcej od innych wyzyskiwani — a ostatecznie budzimy może śmiech i litość. Wśród świata, który pracuje i owoc pracy, grosz szanować umie,

my jedni jakbyśmy go odziedziczyli bez potu, sypiemy nim z dziecinną rozrzutnością.

Ale o to mniejsza ... rozsypujemy téż siebie po gościńcach ... w najrozmaitszy sposób.

Lubią, nas ... ale bawiąc się nami, na seryo nas nikt nie bierze, prócz ... prócz tych, których życie całe nie jest seryo.

Powiecie mi, że niezdolnie moralizuję — prawda! kochani czytelnicy, ale to wada, której się nabywa z dniem każdym, patrząc na świat idący jakoś nie pomyśli — będziemy się starali poprawić....

Na ławce przed kursaalem... siedzą właśnie w cieniu kasztanów niektórzy bohaterowie powieści.

Wszyscy oni świeżuteńko przybyli do Wiesbaden, ledwie wczoraj pomieścili się pod koźmi, różami, koronami, i różnemi godłami, ledwie dziś pierwszy raz przyszli się rozpatrzyć... i szukać znajomości nowych, obawiając się znaleźć stare i niepotrzebne.

Uważaliście téż, jak się to emancypowani poodróżni obawiają trafić na tych, co zbyt dobrze i blisko są im znajomi? Rzecz to w istocie niewygodna udając na przykład milionera, wpaść na kogoś co twe bankructwo doskonale obliczyć może... nie miła gdy

chcąc uchodzić za młodą, spotkasz się z metryką nienawistną i t. p.

Najmiłsi znajomi u wód są to ci których się gdzieś w przejeździe, w hotelu, koło Jungfrau, nad jeziorem Genewskim lub w wędrownicy do Chamonix poznało.

Głównie szuka się ... niespodzianek, znajomości nowych, świetnych, miłych a do niczego potem nieobowiązujących...

Nie młody człowiek ale chcący widocznie za świeżego i młodego uchodzić, obrócony tyłem do kursaalu nakładał pracowicie rękawiczki Bismarkowskiego koloru, których numer nie zgadzał się dokładnie z rozmiarem szerokim pulchniej do zbytku dłoni. Chodziło mu mianowicie o pozapinanie buntowniczych guzików...

Był to jegomość ... w sile wieku, dobrej tuszy, którejby może się rad był pozbyć, bo zbyt dobitnie dawała jego metrykę — rumiany, krągłego oblicza, nieco łysy...

Z twarzy hieroglificznej nic przeczytać nie można, życie zamazało na niej co Pan Bóg chciał napisać. Fizyognomia przystojna, rysy nie wybitne, mógłby być pięknym, gdyby dusza wstąpiła w to zwiedłe lice, mógłby być brzydkim, gdyby je portargała namiętność. — Tymczasem *tabula rasa*, pisz

co chcesz. Nie wzbudzał ani obawy zbytnej, ani współczucia nadzwyczajnego...

Palił cygaro tak metodycznie, powoli i z namaszczeniem, iż to już mówiło na jego pochwałę.

Ludzie różnie palą, kłusząc nieszczęśliwą havannę, gasząc ją nieustannie, myśląc się i kładąc w usta popiół ... lub spokojnie, z uwagą, z przejęciem i namysłem do ostatecznego skrawka...

Przypatrzyć się dosyć paleniu cygara, by mieć niejaki wyobrażenie o człowieku. Lękajcie się tego co udaje flegmatyka przy paleniu choć jest gwałtownym — będzie to pewno niebezpieczny szalbierz.

Nasz gość zapinał rękawiczki i palił uczciwie, pamiętając co dobre cygaro kosztuje... a było bardzo dobre. I to coś mówi także.

Był widocznie po śniadaniu, które zamknął czarną kawą.

Zapinając guziczki nie tracił czasu, oczy jego przebiegały towarzystwo otaczające i badały je pilno...

U drugiego stolika siedziała dama średniego wieku i młodziuchna panienka... Mówię dama i nie dlatego żebym niewiedział iż można nazwać inaczej... ale że to była *dama*. Nie pikowa ani karowa ... przecież widocznie dama.

A! gdybyście się nie raczyli nudzić i łajać mnie kochani czytelnicy .. powiedziałbym wam zaraz jak ogromna zachodzi różnica między kobietą a damą...

Muszę wam nawet to powiedzieć choćbyście się i znudzić mieli, bo bez dokładnego określenia damy i kobiety, nigdy mnie nie zrozumiecie. Ja zaś bardzo pragnę być zrozumiałym i rozumianym.

Kobietę Pan Bóg stworzył... a damę świat... Kobieta kocha męża (choćby i kochanka nawet), kocha dzieci, ma słabostki, płacze, bywa nieszczęśliwą, czasem się jęj trafia dwugodzinne szczęście... cierpi naturalnie, cieszy się jak Bóg przykazał, jest sobą...

Dama stara się być jak najpodobniejszą do téj lalki, którą fryzjerzy wystawiają w oknach, chce mieć i ma jęj chłód, sztywność, wdzięk, białość, rumieniec, fryzurę i tę błogosławioną obojętność połączoną z gracyą z jaką dzień i noc uśmiecha się lalka z za szyby.

Dama potrzebuje być wielbioną, chwaloną, potrzebuje królować, świecić, zawracać głowy, musi żyć w ogromnym świetle, na szerokim teatrze. A że cierpienie zarówno jak szczęście wpływają szkodliwie na płęć, na blask oczów, na świeżość cery... dama stara się jednego i drugiego uniknąć.

Dama jest sentymentalną, uczuciową (głową) ale nie kocha i nie rozumie co serce. Lubi strój, rozrywki, intrygi, rój ludzi koło siebie, dowcip...

a nie rozmawia się nigdy w nikim tylko w sobie. Dzieci jój (jeżeli je ma, ale stara się i tego uniknąć) wychowują bony francuskie i księża szwajcarscy lub helgijscy, mąż jest wolny od obowiązków swego stanu... familia widuje ją tylko w wielkie dni uroczyste, czas spędza w Paryżu u wód i na gościńcach...

Dama jest zupełnie sztuczną istotą stworzoną do takiego życia w wazoniku i szklarni, gdyby ją wsadzono w grunt, wystawiono na słońce i chłody lub skwary i pluchy, niezawodnieby nie wytrzymała.

Uczucia w niej nie ma ... ale dowcipu tego co się jak bułki na ulicach sprzedaje ogrom.

Widzicie tedy że nic różniejszego od kobiety nad damę; obie są rodzaju żeńskiego, ale więcej nic.

Siedząca była widocznie damą i wcale nie pospolitą.... grała tę rolę z wprawą starą rutynowaną artystki.... Mogła mieć lat czterdzieści a nawet kilka... lecz wieku dobać się pod umiejętnym zachowaniem płci i włosów, pod strojem odmładzającym, pod świeżością koronek i jedwabów ją ukrywających... trudno było... Za komentarz do badań mogła wprowadzić służyć córka siedząca obok (bo to była widocznie córka), ta jednak tak zawsze była młodziuteczką istotą, że jój lat piętnaście doli-

czone do drugich jakich osiemastu, ledwie wskazywały trzydzieści.

Córka, był to kwiatek wiosenny... Mylę się, był to pączek który jeszcze nie rozkwitł i dla tego barw jego przyszłych odgadnąć było niepodobna...

Trochę zastanowiwszy się nad temi paniami, potrzeba się było mimowolnie zapytać siebie, po co téż one tu przybyły?

Matka wyglądała jak róża nawet stólistna: nie mogła być chorą, córka jasniała zdrowiem... zatem...

Ale kto tam wie gdzie się choroba mimo rumieńców ukrywa!

Pałacy cygaro jegomość popatrzał na te dwie panie i pomyślał sobie — założyłbym się że Polki.

Miał słuszość, były Polki, ale po jakich cechach rodowych czy narodowych je poznał... nie wiem...

Oko jego nie chcąc się wydać z ciekawością, niezmiernie zręcznie czytało w tym obrazku...

Dama używała wachlarza tak jak się go używa gdy nie ma co inszego do czynienia... Panienska patrzyła na zielony park po za sadzawkę i śliczne, uczesane i umyte, wysznurowane i przyzwoicie stojące drzewa...

W istocie wydawały się one tak pięknie jak na jaskrawo kolorowanym pejzażyku niedołęznego artysty... sklepikowego.

Damie podobała się bardzo ta natura, będąca téż w swoim rodzaju damą... Milczały obie... niekiedy szelest sukni zdradzał że dama żyła i oddychała...

Ze swojej strony wachlując się od niechcenia, dama spoglądała na zapinającego rękawiczki... wydał się jój bardzo przyzwoitym człowiekiem i statecznym... Widziała to z łysiny.

Niema scena odgrywająca się pomiędzy siedzącymi, byłaby skończyć się musiała na... niczém, gdyby w téj chwili ze drzwi kursaalu nie wybiegł wysoki mężczyzna. (myle się był to kawaler nie mężczyzna, a kawaler jest tém względem mężczyzny, co dama w porównaniu z kobietą).

Nowo przybyły słusznego wzrostu, ślicznój figury, zbudowany jak posąg, ubrany jakby go Human pokochał... miał twarz angielską: długą, włosy błąd, bakenbardy piękne, rozłożyste, kotletowe, lordowskie... a zresztą... doprawdy nic się o nim powiedzieć nie daje.

Jak narody szczęśliwe pozbawione są historyi, tak porządni ludzie nie mają zwykłe fizyo-

gnomii. Pilno się nawet o to starają aby jój nie mieć... bo fizygnomia odznacza, mówi, zdradza a przyzwoity człowiek chowa swą duszę głęboko.

Był to jeden z tych kawalerów jakich się tysiącami spotyka na bulwarach paryskich... Możemy tylko dodać że miał niepokalaną białosć kamizelkę pikową na piersiach, rękawiczki obcisłe, buty lakierowane i krawat negliżowy niezmiernego uroku. Guziki jego koszuli były to dzieła artystyczne, od *Froment Meurice*...

Wszakże go już znać powinniście?

Młodzieniec wybiegł z kursaalu widocznie dążąc do stoliczka przy którym siedziała dama, która może nawet trochę czekała na niego; uchylił kapelusz... witał niespokojnie...

— Czy pani tu już oddawna?

— Siedzimy... od kwadransu...

— Zatrzymano mnie przed sklepami, byłbym służył na naznaczoną godzinę... najmocniej przepraszam.

— Ale nam tak miło było tu posiedzieć... tu tak doprawdy ślicznie, odezwała się panienka.

— A! Wiesbaden jest uroczy! dodał kawaler. W tém obracając się około stołu... kawaler ujrzał

i ujrzawszy nieznajomego nam sąsiada, stanął... widocznie zmiészany nieco...

Oba oni uśmiechnęli się, ale uśmiech był dziwnie wymuszony i podszyty niewytłómaczoném wrażeniem.... Zdawali się oczyma mówić ku sobie: A! niechże to weźmie lichy! Ale usta zawołały:

— A! dzień dobry! pan tu... dawno.

— Dni parę! jak się masz?

— To niespodzianka miła...

— Szczęśliwe spotkanie...

Dama milcząco na obu patrzała... Kawaler był w wielkiej niepewności jak się ma pozbyć niewygodnego natręta... Samotny jegomość zaś owszem, starał się chcieć przyczepić, nie do kawalera... ale do pań mu znanych. Chwila jakiegoś wahania trwała krótko ale się wydała długo...

Młody człowiek żywo pozdrowił znajomego i pożegnał go razem, a sam się do swoich pań odwrócił. Pozbywał go się zrećźnie... nie można było uchybić damom...

Po twarzy jegomości w rękawiczkach maleńkie przebiegło drgnienie... ale wziął cygaro znowu do ust i bardzo uważnie palić zaczął... Dama z panienką wstała, kawaler im towarzyszył do parku.

Nieznajomy nasz pozostał w miejscu, rękawiczki z niemałym trudem były nareszcie zapięte, cygaro paliło się wybornie, na dnie filiżanki pozostało trochę kawy usprawiedliwiającej przydłuższe zatrzymanie się samotne na krześle.

W tém — pełno zawsze niespodzianek na wodach... zjawiła się ciągnąc od parku, istota nowa która wszystkich oczy zwróciła na siebie; a szczególną uwagę naszego podżyłego obserwatora.

Była to... kobieta czy dama, na pierwszy rzut oka, rzecz nie rozwiązana, to pewna, że prześliczna istota płci żeńskiej... Była nawet nadto piękną, tak że zwracała na siebie oczy zbyt często, co jest wielce niewygodném... A że szła powoli, sama jedna i strój jej niezmierną, znowu prawie zbytnią jaśniał elegancją — złośliwi ludzie gotowi byli domyślać się że przyjechała z Paryża na polowanie na młokosy i stare grzyby... Twarz tej uroczej pani miała jakiś wyraz nieoznaczony, trochę zalotny, nieco pogardliwy, niezmiernie śmiały który cechuje kobiety lekceważące sobie sądy ludzi, bo pewne że ich mieć będą za sobą, gdy tylko zapragną lub zapotrzebują.

Mimowolnie patrząc na tę śliczną, młodziuchną tak pociągającą ku sobie panią, przychodziło pytanie i wątpliwość dla czego idzie sama, czemu tłum wielbicieli jej nie goni... co rodzi samotność jej, wola jej własna... czy wstręt lub obawa... ludzi.

Kilku mężczyzn stanęło patrzeć i na ucho sobie szeptali...

— Paryżanka... ale któż to jest? Znasz ją?

— Nikt jój nie zna!

— Ale to Loreta paryska... tylko najpierwszej wody...

— Niewątpliwie...

— Otóż wątpliwie, przerwał inny, bom się dowiadywał... Jakaś istota zagadkowa... Wprawdzie podobna do tych *petites dames* z bułońskiego lasu, ale z pewnością nie należąca do ich świata.

— Z pewnością? podchwycił inny, śmiało wyrzekasz...

— Bom pewny swego...

— Zakład...

— Zakład...

Ucichło, mężczyźni popatrzywszy poszli do kursaalu, a piękna pani od niechcienia usiadła o dziesięć kroków od naszego obserwatora, jak gdyby umyślnie chciała go drażnić.

Siadła od niechcienia, możnaby powiedzieć upadła na krzesło, ale z tą wrodzoną kobietom umiejętnością czy instynktem, który sadza zawsze tak aby się najwdzięczniej wydawać. Nie zdawała się szukać pozy ani starać aby jój było z tém ładnie, przecież malarz by lepiej do portretu nie ułożył

tych linii... Kibić, ręce, gors, głowa same w harmonijną udatną całość się związały.

Ten wdzięk postawy mają tylko kwiaty, rośliny i kobiety, nie szukając go... Powój, winna latoróśl, nawet najbiedniejsza pokrzywa wdzięcznie się usadowić umieją, opleść, zwiesić, — kobieta piękna także... ma ten dar od dziecka.

Podżyły jegomość w rękawiczkach, widać wielki znawca piękności, zachwycił się.. miał tylko do zarzucenia jój w duchu, że się tak jak na teatrze popisywała z sobą, i zbyt wywoływała uwielbienie. W koło też jak rój much przy cukiernicze, snuły się postacie kąpielne mniej lub więcej zuchwale przypatrując się téj nowój znać piękności.

Zewsząd rzucano pytania

— Ale któż to jest?

Nikt na nie odpowiedzieć nie umiał.

— To tylko wiem, szepnął jeden elegant, że stoi *aux quatre Saisons* i przepyszny zajmuje apartament. Albo śpiewaczka... albo... nie! nie, odgadnąć nie sposób.

— Sama?

— Sama ze służącą tylko i kamerdynerem.

— Do licha! z kamerdynerem! Ależ można już było zobaczyć w książce kto to taki.

— Co to dowodzi? Nazywa się baronową pol-

ską.... nazwisko nie do wykrztuszenia... Ale coś dziś z imienia i tytułu dowiedzieć się można.

— To prawda...

— Prześliczna...

Jedni odeszli, drudzy przysunęli się, piękna pani zdawała się na nikogo nie zważać, ziewała nudząc się... oczy nawet chwilowo przymykały się jak do snu... Patrzała w ogród nic nie widząc. Zbliżyła się mała kwieciarka z biednymi bukiecikami... wybrała jeden, rzuciła w koszyk florena, a kwiatki powąchawszy i skrzywiwszy się zostawiła na stoliku.

Jegomość w rękawiczkach był mocno dotknięty, że tak widocznie nudząc się, na niego nawet spojrzeć nie raczyła.

— Gdyby ten hotel nie był tak nielitościwie drogi, przeniósłbym się do niego, musi jadać u *table d' hote*. Moznaby zrobić znajomość...

Ale wszakże i nie mieszkając w hotelu, pójść tam można... dodał zaraz po cichu...

To mówiąc wpatrywał się, wpatrywał, i na twarz jego wystąpił rumieniec, drgnęły znowu nerwy, oczy zaświeciły... ruszył się i pozostał w miejscu...

— Ale to Ewelinka! to Ewelinka! ale to ona... słowo honoru to ona!!

Nie — nie... ale tak...

Przecież śmiertelnym grzechem nie będzie, jeśli się ośmielę spytać... przypomnieć...

Wstał poprawiając włosy... ale onieśmielony przysiadł raz jeszcze. Naostatek wziął kapelusz, ułożył facyatę w jak najprzyjemniejszy sposób i z uśmiechem mdło-słodkim jak orszada ciepła... podszedł.

Piękna pani postrzegła go dopiero, gdy o krok stał przed nią; podniosła oczki i poczęła mu się przypatrywać tak zimno, obojętnie, prawie pogardliwie, że nieszczęśliwy zaawanturowany, stracił zupełnie odwagę.

— Czy nie mógłbym się pani przypomniać? rzekł z cicha po polsku jegomość,

— Owszem... owszem... Uśmieszek igrał na ustach pięknej pani, małe, białuchne ząbeczki świeciły w ustach nieco szydersko otwartych...

— Zdaje mi się że miałem to szczęście poznać panią w Górze... ale naówczas...

— Naówczas ja byłem prawie dzieckiem...

— Jestem Ferdynad Potomski...

Kobieta jak się zdaje z nazwiska tyle wiedziała co przed tém... ale grzecznie wskazała krzesło przy sobie.

— Dawno tu pan już jesteś? spytała.

— Od wczoraj dopiero...

— Ja trochę dawniej... ale jeszcze nie znam nikogo... Musi być naszego towarzystwa polskiego dosyć.

— Nie wiem pani... parę osób mi się przesunęło...

— Pan jesteś chory? spytała.

— Ja... ja!

Jak tu się przyznać nie pierwszej młodości mężczyźnie do choroby? a nie mając jój jak wytłómaczyć pobyt w Wiesbaden nie będąc posądzonym o szulerstwo? Zadanie było ciężkie.

— Chorym nie jestem, odpowiedział pan Ferdynand, ale potrzebowałem się rozerwać...

— Czy i pan się nudzisz? spytała uśmiechając się piękna pani. To mnie bardzo cieszy, że ktoś jest co na to samo cierpi co ja...

— Nie do uwierzenia... pani! pani byś mogła się nudzić? zawołał Potomski.

— Cóż to dziwnego? śmiało rzekła na to piękna Ewelina, świat jest okrutnie nudny, panowie wcale nie zabawni, życie jednostajne... a nic robić się nie umie i niechce... ach!

— Być że to może aby panią nic nie bawiło... dodał Potomski kończąc zbyt oklepaną formułą: w kwiecie życia...

Ewelina się rozśmiała...

— A! powtórz pan! tak dawno nie słyszałam tego staroświeckiego wyrażenia... Zabawiło mnie! w kwiecie życia! pan mówisz. W kwiecie życia! więc są w życiu kwiaty... cha! cha...

Pan Ferdynand zmieszzał się, obraził prawie, zbił z tonu... nie wiedział już co mówić... Łagodny choć szyderski wyraz twarzy pięknej pani, która ziewnęła tylko uśmiech kończąc... ośmielił go nieco... musiał się bądź co bądź ratować... bo był śmieszonym, a śmieszność zabija.

— Jest to wprawdzie oklepane wyrażenie, rzekł powoli— ale patrząc na panią nastęrczyło się samo...

Z politowaniem pewném spojrzała znudzona na podżyłego jegomości, ten milczał.

Jakoś nie szło.

— Wiesz pan kto tu jest? spytała.

— Dotąd o nikim jeszcze.

— Co tu robią?

— Myślę, że jak zawsze... bawią się... koncerta.

— Zawsze toż samo... jedna muzyka i jedni koncertanci z długimi włosami, w białych krawatach i jedne śpiewaczki zwiędłe z bukietami w dłoni.

— Teatr...

— A w teatrze zawsze ta sama komedia francuska o zwodzonych mężach i dramat o zdradzonych dziewczętach! a!

— Przechadzki!

— Do ubranych gór i przygotowanych bufetów... nie ma nawet gdzie karku skrócić, gdyby się chciało!...

Potomski znowu zamilkł. Ewelina była widocznie za śmiałą, za rezolutną, zanadto znudzoną, aby ją potrafił rozbawić, lub nawet zająć komunalami, któremi się posługiwał od lat dwudziestu z dosyć wielkiem powodzeniem. Kobieta była wyjątkowa, należało się namysśleć i nastroić, przypasować, pan Ferdynand już tylko się uśmiechał z uwielbieniem.

W tém zdała ukazała się postać nowa. Ulicą od parku szedł mężczyzna posiwiał, stary ale wybitnych, szlachetnych i szlacheckich rysów twarzy, trzymający się prosto, ubrany bardzo starannie, ale podpierający się na lasce, bo na jedną nogę odrobinę nakuliwał.

Twarz jego zwracała uwagę, choć strój był nadzwyczaj skromny. Domyślano się w nim jakiegoś znakomitości dyplomatycznej lub wojskowej, jakiegoś ex-ministra... ex-sławnego męża... Oblicze było jakby do popiersi i medalionu stworzone, rzekłbyś żeś gdzieś już widział je w muzeum, przypominało rzymskie rzeźby, czasy Augustów... pan Bóg narysował

starannie profil, wymodelował ślicznie plany... a człowiek i czas nie popsuł. Owszem lata téj niegdyś trochę nadto regularnej twarzy nadały więcej życia i fałdując ją bardziej malowniczą uczyniły...

Czoło było wyniosłe, nieco obnażone i otoczone krótko postrzyżonym włosem pośrebrzonym, nos delikatnie wycięty rzymski, usta wąskie trochę sarkastycznym wyrazem ściśnięte; reszta harmonizowała doskonale i nic nie można było zarzucić fizyognomii téj, chyba, że zanadto zdawała się marmurową i zimną.

Szedł poważnie, krokiem powolnym człowieka przeżyłego, który się porusza wiedząc, że go już w życiu żadna niespodzianka nie spotka.

Oglądał się machinalnie tylko, ale oko jego padło niespodzianie na Ewelinę i wejrzeniem tém zelektryzowało ją tak, że wstała a raczej poskoczyła, i nie czekając, nim powolny ów gość do niej pojejdzie, sama pobiegła do niego, wyciągając doń rękę obie. Pan Ferdynand Potomski pozostał na krześle zdumiony i — osierocony.

Taki pośpiech pięknej młodej kobiety nawet starego i zużytego (starego przedewszystkiem) byłby rozognił, rozczulił... uradował — ale poważny przychodeń uśmiechnął się tylko, jedną rękę podał Ewelinie i powitał ją dosyć chłodno, przypatrując się może nazbyt troskliwie excentrycznej jéj toalecie.

— Jestem zbawiona! ocalona, szczęśliwa! szczebiotała piękna pani — pan tu! a! co za szczęście! Wiesbaden mi się wydaje piękniejszy... życie jaśniejsze...

— Żebyś był przynajmniej o dziesięć lat młodszym, zawróciłabyś mi pani głowę, na Boga! litości! zawołał uśmiechając się stary. Wbijasz mnie pani w dumę... i upokarzasz zarazem...

— Zmiłuj się już ty kochany Starzo, nie mów mi rzeczy oklepanych! zlituj się...

— Wymagasz pani rzeczy niepodobnych — odpowiedział stygnąc jeszcze coraz bardziej stary pan i posuwając się ku krzesłom... Nie wystarczyłby geniusz nawet na nieustanne wasze pragnienie nowego i niezwykłego.

Ponieważ Potomski nie ustępował, pani Ewelina widziała się w konieczności przedstawienia go.

— Pan Ferdynand Potomski... pan hrabia Stanisław Starża...

Oba spojrzeli po sobie jak ludzie, co się już z odgłosu znają, skłonili się zdaleka i usiedli, pan Ferdynand pozostał jakby za kulisami, stał się od chwili zjawienia Starży podrzędnym komparesem.

Twarzyczka Eweliny nabrała życia i wyrazu, podała jeszcze raz rękę Starży.

— Mój drogi Hrabio! kiedy mi cię już opatrzność zesłała... nie opuszczajże mnie, nie wyrzekaj się, bądź moim opiekunem, mentorem... i... baw mnie, bo umieram z nudów.

Starża się rozśmiał.

— Gdzieżeś to pani słyszała, aby sześćdziesiątletni kulawiec bawił dwudziestoletniego trzpiota? Jest li to możliwe i w naturze rzeczy?...

— A prawo kontrastów...

— Nie idzie tak daleko, odparł Starża, mów pani że chcesz, abym ci służył za to, że mi w swe śliczne oczy patrzeć dozwolisz... to co innego.

— E! bo i pan już nudziarz jesteś, nie reżonuj a słuchaj.

Starża się uśmiechnął.

— Po mikołajowsku! rzekł.

— Kobiety są despotyczne, a wy stworzeni jesteście pod pantofel... kto pod niego iść nie chce, buntownik!

— Skazałabyś mnie pani na rozstrzelanie przez dwadzieścia cztery pary czarnych oczów... ha!

— Dosyć dwojga, żeby zabić i oszaleć człowieka, przerwała Ewelina — ale czy wy ludzie jesteście? przepraszam, pokolenie dzisiejsze, które się przyznaje do pochodzenia od małp, jest też do nich podobne... Szlachetniejsze uczucia gasną... poezya umiera, świat pekelflejszu, piwa i kartofli... górą...

Oczy kobiety nic dziś nie mogą, boście im mowę i znaczenie odebrali... O! okropnie! okropnie!

— Zkądże tak czarny pogląd na świat, zapytał Starża, ja go nie widzę białe także, to pani wiesz, ale ja to co innego. *Je suis paye pour cela*, mam lat sześćdziesiąt... a pani..

— Ja mam ośmdziesiąt! przerwała Ewelina, jam stara, zgrzybiała, umierająca, a wyście temu winni, bo młodość nie ma czém żyć na waszym świecie... bo uczucie pochłaniają lody tego oceanu...

Starża podparł się na lasce i począł powoli.

— Nie mogę pani w Wiesbaden przed kursaalem wykladać filozofii historii... ażeby ją pocieszyć; ale powiem tylko, że niezawodnie we sto lat po naszej śmierci wszystko się to na najśliczniejszą, zieloną poezję odmieni.

— Piękna pociecha! przerwała kobieta — ale ja mam prawo żyć! kochać, być kochaną, szczęśliwą, napić się poezyi, podlecieć nad ziemię... a więzi mnie to błoto wasze... a wasz świat trzyma mnie na sznurze przywiązaną do stajennego swojego słupa.

— Zadam niedyskretne pytanie! rzekł stary.

— Proszę się nie żenować.

— Zdradził kto panią?

Ewelina rozśmiała się serdecznie.

— Człowiecze zestarzały, odparła, byłabym naj-

szczęśliwszą z najnieszczęśliwszych, gdyby mnie kto zdradził, to by dowiodło, że przez pół godziny mu wierzyła, że miała chwile złudzenia, że kwadrans była szczęśliwą! Ale proszę się złudzić na pół minuty obcujać z temi krochmalnemi lalkami, które w kobiecie widzą kapitał, interes lub coś podobnego do butelki szampańskiego wina... chwilę szalu!

Przez samą grzeczność, może dla odwrócenia zbyt popędliwie prowadzonej rozmowy, Starża uznał właściwem zwrócić się do p. Ferdynanda, który siedział, uśmiechał się i tak dalece nie wiedział co zrobić z sobą, że poczynął drzeć nowe rękawiczki.

— Cóż pan na to? nie stąniesz w obronie wieku.

— Ja! ja! rzekł Potomski spoglądając na zegarek — jestem w podziwie jenuzu pani Eweliny, ale w polemikę z nim wejśćbym się nie ważył.

— Godzina jedenasta, przerwała złośliwie kobieta, idź pan do rulety... czuję, że tam was serce ciągnie.

— Nie — ale obiecałem...

— Ale idź pan idź, bez ceremonii — zobaczysz tam i piękne panie, co się roznamiętniają do kupki złota i młodych chłopców, co potracają śliczne kobiety nie widząc, byle się do stołu docisnąć... i... ale idź pan...



Pan Potomski ruszył ramionami, pożegnał się śmiejąc i w istocie odszedł. Starża i Ewelina zostali sami.

— Jesteśmy tak starzy znajomi, rzekł powoli hrabia, iż mogę powiedzieć, że panią kocham od kołyski...

— Pan kochasz kogokolwiek... prócz siebie? spytała Ewelina.

Nie obraził się stary, ale gorzko uśmiechnął.

— Kochałem, kocham i kochać będę do śmierci, rzekł, to stary nałóg — ale moja miłość siedzi sobie w kątku i wstydzi się na świat wychodzić. To epizod — otóż kochając panią.

— Seryo?

— Seryo.

— Pamiętaj, wezmę za słowo!

— Nie lękam się... kochając panią...

— Mówże, mów, co masz uczynić kochając mnie...

— Muszę spytać, dlaczego mianowicie teraz tak ci na świecie źle? Bez żartu... Rozumiem, że w tych fantazyjnych narzekaniach jest dużo przesady, ale coś i prawdy, otóż téj odrobinki prawdy jako stary przyjaciel, mam prawo się domagać, mówmy poważnie — co pani jest?

Kobieta powoli z roztrzpiotanęj, rozgorączkowanej stała się poważną, podparła na ślicznych rączkach osmuconą główkę, wlepiła oczy w Starzę i mówiła stygnąc coraz bardziej a coraz więcej smutniejąc.

— Przed tobą wypowiadam się chętnie... ty mnie może zrozumiesz... a jeżeli nawet nie całkiem, przystaniesz na to co powiem, nie posądzisz o dziwactwo i szaleństwo...

Pamiętasz mnie dzieckiem! wiesz, że tak dobrze jak nie znałam, jakbym nie miała matki. Wychowywał mnie ojciec, najszlachetniejszy z ludzi, najjenialniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałam... mąż wielki, nieoceniony, zgorzkniały ale zrezygnowany... On to wykształcił mój umysł, dał mi zamiłowanie poezyi, nauki, sztuki, podniósł moję duszę... osadził mnie w téj sferze wybranych, w której mieszkają... wybrani lecz męczennicy.., wiesz, że od dzieciństwa poezya była dla mnie rzeczywistością... a rzeczywistość złudzeniem przemijającym... sen był mi życiem, snem życie...

Może odgadłeś moje losy, ale ich pewnie tak nie znasz zbliższa jak trzeba, byś mnie uniewinnił...

Bogata, swobodna, kochana przez ojca... pieszczona trochę, rozmarzona nadziejami życia... stałam w jego progu w szacie godowej, z bijącym sercem,

czekając rychło się zjawi ten którego mi Bóg za towarzysza doli i niedoli przeznaczył...

Znałeś pan nieboszczyka męża mojego? spytała nagle.

— Cezarego?.. znałem, sucho rzekł Starża i westchnął.

— Potrzebuję ci malować losy moje? dodała — niech Bóg da spokój jego duszy... ależ on kwiat jedyny mojego życia.. złamał i wdeptał w błoto...

Śniłam w nim anioła... wydawał mi się nim, był piękny, a gdy chciał tak umiał być poetycznym, tak zdawał się pełnym ducha... Ale Cezary był niestety, dzieckiem wieku, co się raczyło dla niewieściół słabości przebrać tylko za nieziemską istotę... moje złudzenie trwało... *ce que vivent les roses... l'espace d'un matin...* Pod najpoetyczniejszą powierzchnością ukrywał się człowiek jak lód zimny, zestarzały przedwcześnie, sceptyk, egoista... Zamiast poczuć to swe poniżenie i starać się z niego dźwignąć, Cezary ostatki niedogaslój poezji swój duszy zalewał i niszczył, wychodząc na rozumne zwierzę.

Daruj mi to wyrażenie! nie potępiaj! Ja go nie obwiniam, ale mu darować nie mogę, że padająca w jego objęcia z wiarą w serce człowieka... w coś wyższego w nas... zostałam odtrąconą, sporniewieraną, zabita...

Żyłam z nim dwa lata... wiesz, gdybym nie miała siły nadludzkiej...

— Siły kobiecój — przerwał Starża.

— No, tak! kobiecój, serdecznój... gdyby duch ojca nie żył we mnie, gdybym na jedną chwilę zwątpiła, zawahała się, uległa wpływowi jego, byłabym zgubioną. Ale od samego spojrzenia w przepaść jeszcze głowa mi się zawraca.

A! powiedz mi pan, gdybyś w życiu raz kochał z całą potęgą młodego nieprzelamanego uczucia, cały się rzucił w nie, postawił na tę kartę istotę swą, losy... duszę... i gdyby... gdyby ta miłość... skończyła się farsą trywialną, prozaiczną, brudną... gdybyś odkrył w istocie ubóstwionej nie człowieka, nie anioła... ale naj... ach! najplugawszą nicosć i głupotę... nie starczyłoby to ci na znienawidzenie świata, ludzi, życia... na... wyrwanie z piersi bluźnierstwa... i rozpaczy...

Otóż mojego życia początek... przykuta do Cezarego gdy straszliwą swoją omyłkę poznała już i nie mogłam wątpić, co mnie z nim czeka... truchlałam na przyszłość... los — Bóg — Opatrzność... uwolniły mnie od niewoli i spodlenia... Płakałam po nim... nad nim... że nigdy blasków życia nie znał... lepiej dlań i dla mnie że umarł... odzyskałam swobodę, ale... szata biała lat młodych, którą potarzano w błocie... nie wypiera się nigdy. Na du-

szy mojej zostały plamy... w umyśle wątpliwości... w sercu zwątpienie... strach, nieukończone boleści... Jak szalona lecę teraz i lękam się znowu; bym lecąc za słowikiem nie nastąpiła — żaby.

Starża słuchał z uwagą, Ewelina otarła oczy suche na pozór.

— Mój los, moje osobiste nieszczęścia, dodała po chwili — kochany hrabio, niczém są jeszcze. Nadto znam świat, abym od niego dla siebie wyjątkowych żądała łask... wiem że jednym przypada niezasłużenie cierpieć, drugim być szczęśliwymi bez zasługi... Drobnny proszek zmielą koła losu... i zniknie... mnie nie idzie o moje szczęście, ale o to co życiu mojemu świeciło jak gwiazda przewodnia. Truchleję na myśl, na widok pokolenia całego, które zaprzysięgło poezji, ideałowi, duchowi, którym żyje człowiek... wojnę nieprzebraną...

Widzisz, do czego my idziemy, do czego doszliśmy...

— O! widzę doskonale, przerwał Starża, i rozumiem cię, droga pani... ale z temi wyobrażeniami i potrzebą duszy należało ci się urodzić albo sześćdziesiąt lat wprzód, albo sto lat później... Podobno ani ja ani pani nie wstrzymamy w pochodzie epoki naszej.

Boję się żebym cię nie znudził... ale na świecie wszystko jest z sobą w związku, życie narodów

i losy pojedynczych ludzi, historia serca kobiety i polityki mocarstw... handel i małżeństwo... gospodarstwo i muzyka... Zdaje się to paradoksem, ale nim wcale nie jest... Prąd ogólny epoki przebrzydłe realistyczny porywa z sobą wszystko i ogromne bryły i drobne słomki z nadbrzeża...

To co panią razi w społeczeństwie, w ludziach pojedynczych, w ich stosunkach... mnie dręczy gdy dalej i szerzej spojrzę po świecie...

Cóż my maluczcy poradzimy na to?

— Walczmy! zawołała kobieta z zapalem, walczmy za dobrą sprawę...

Starża się uśmiechnął. — A wielu nas stanie do walki?

— Ja i pan! odrzekła śmiejąc się Ewelina, bo ja się poddać nie myślę...

Odzierają oni świat z jego wiekuistych szat, purpury i złota, wrywają ze mnie duszę, wyśmiewają tę poezję, którą ja żyję, wypędzają mi ją z domu... apoteoza bydlęcia strąca mnie z piedestału, na którym stałam bliżej aniołów... a ja, i ja miałabym posłuszna niewolnica... poddać się! nigdy!

— Walczmyż, odparł Starża, chociaż to walka nierówna i zwycięztwo niemożliwe...

— Mój Boże! mój Boże! prawie płaczliwie

dodała Ewelina, taki piękny świat zepsuli ci niegodziwi ludzie... i młode pokolenie.

Starża się zmarszczył...

--- Wiele jeszcze prawią o młodzieży — rzekł, ale to pewna, że młodych nie ma, bo tego czém żyła młodość, niedostaje — poezji.

Spojrz pani na dzisiejszych studentów, jak im już realizm życia, przyszłość, chleb są drogie, jak tam przekonań mało a pragnień zwierzęcych wiele, jak dla nich nauka przestała być boską mistrzynią, a stała się chlebobajnym warsztatem... Spojrz na te twarze zbladłe w niezdrowych życia nasyceniach, na oczy zagasłe, na chód ociężały, na oblicza zwiędłe, na serca bez ruchu i krew bez ciepła... jaką to przyszłość na nich zbudować można?

Przy tém już ani okrawka tych skrzydeł, któremi podlatywaliśmy niegdyś... a jako tablice prawa i regulamin przyszłości — dobijanie się chleba i grosza...

To co wyrosło i wyszło w świat nie lepsze... lalki krochmalne... śnią o pieniądzu dzień cały i wstają z marzeniem o fortunie, reszta dla nich obojętna...

— Ale ja to wszystko widzę, czuję i dlatego znajdujesz mnie pan zrozpaczoną... Rozum i praktyczność naszej epoki obrzydliwą mi ją czyni...

— Cóżby to było, gdybyś pani dalej i głębiej zajrzeć mogła w kuchnię wieku i w jego obrzydłą politykę, w jego teorię siły, w rezultaty doświadczeń i programata przyszłości...

— Sam powiedziałeś pan, że to jest wszystko w związku z sobą... przeczuwam i ja, że wkrótce nie będzie się gdzie przytulić... Ale mój hrabio... a toć oszaleć przyjdzie! Ja nigdy, przenigdy Darwinowską małpą być się nie zgodzę.

— Ani ja, dodał Starża — ale świat na wszystko przystanie... prąd ten jest niepokonany... Trzeba cierpliwie doczekać końca i oczy zamknąć, aby już reszty nie widzieć.

— Otóż nie! uderzając ręką w stół zawołała kobieta — ja się nie dam, będę apostołem poezji, ideału, wszystkiego zdetronizowanego... i... zwyciężę.

Starża się uśmiechnął.

— Jesteś jeszcze tak młodą!

Rozmowa przerwała się na chwilę.

— Prawda, odezwała się piękna pani z westchnieniem po małym przestanku, że się wam dziwnie w tym przesadnym stroju elegancicy paryskiej wydawać muszę? Ale ten strój... a! to moje przebranie... to maska którą włożyłam na wypróbowanie ludzi... Prawda, że z stroju, postaci, chodu,

miny, możnaby mnie wziąć za niewiedzieć kogo... za lorekę paryską... za zgubioną istotę... za... Jest to mój oryginalnie przezemnie wynaleziony sposób szukania serca...

Boję się drugi raz oszukać, już ten co mnie taką pokocha, co mimo pozorów, nie wiedząc kto jestem oceni mnie i przywiąże się, kto nie zważając na to, że taka straszna, oszaleje dla mnie, ten mnie chyba całą duszą kochać będzie i całkiem bezinteresownie... głęboko, prawdziwie.

Na te słowa Starża się rozśmiał serdecznie.

— Nie gniewaj się pani... śmieję się, bo mi trudno objaśnić ci... że... że serce i miłość równie gwałtownie przywiązują człowieka, jak szal i namiętność. A gdybyś pani zamiast obudzić pierwsze, wywołała tylko drugie?...

Ewelina zarumieniała się, ale główką potrząsając odrzekła.

— Zawszebym umiała rozpoznać miłość od namiętności... instynkt kobietę ostrzega... pochlebia nam namiętność ale jedna tylko serce... Przytém... jeżeli przyjdzie do nowego wyboru... o! bądź spokojny! będę nadzwyczaj ostrożną... dwa razy omylić się nie mogę... umarłabym...

Rozmowa trwała już zbyt długo, zbyt była poufną i żywą, by nie zwróciła oczu obecnych jęj z da-

leka; w pewném oddaleniu okalali ciekawi piękną młodą kobietę, która w niezrozumiałym języku z takim zapałem rozprawiała ze starym Hrabią.

Starzę znano już dobrze w Wiesbaden, nie unikał on nawet niepotrzebnych i nudnych znajomości, bo mu one dawały sposobność przedrzwiewania się z ludzi, o których w ogóle nie wielkie miał wyobrażenie; słynął z dowcipu, lękano go się nieco... ale przed charakterem prawdomównego, nieustraszonego dziwaka schylano głowę.

Piękna pani tak poufale, długo z nim rozmawiająca obudzała niezmierną ciekawość, wiadano że Starza mało się zbliżał do kobiet, zbywał je grzecznością zimno — rozprawiał zaś tylko z takimi w ogóle, którzy mu dotrzymać mogli. Wytrwać z nim pół godziny w żywej rozmowie, było patentem wyższości.

A że Ewelina była młodą i piękną, nadało jej to nadzwyczajny urok... Wszyscy dokoła dopytywali starannie kto była ta piękna pani.

Starza widząc że na nich oczy zwracano zbyt często — chciał wstać.

— Ja pana nie puszczę! zawołała Ewelina... jeżeli go jeszcze nie dosyć znudziłam... I muszę dopełnić miary.

Stoję *aux quatre Saisons*, zapraszam go na obiad, na herbatę, na wieczerzę, na śniadanie... za-

wsze i codzień, a tym czasem daj mi pan rękę, przez miłosierdzie nad nieszczęśliwą wdową.

— To szczęście, odparł Straża, że mam siwe włosy i lat sześćdziesiąt, żem kulawy i że za stryja lub dziada uchodzić mogę.

— Niestety! czemużeś nie młodszy! odpowiedziała Ewelina... a! takbym cię bałamuciła, że musiałbyś... musiałbyś zakochać się we mnie.

Hrabia się uśmiechnął smutnie, podał rękę szczebiotce i poszli.

A za niemi pociągnęły oczy ciekawych aż póki nie znikli w cienistej parku alei.

Ewelina istotnie była szczęśliwą ze spotkania z starym znajomym, Starża trochę zakłopotany ożywił się też jej żywością, ale już nieprzywykły do tych gorączek przemijających, do miłych nawet ale zbyt poruszających wrażeń, czuł się nie swoim...

Szli a idąc hrabia rozmowę coraz zimniejszą czynił i coraz bardziej szyderską.

Już byli w głębi parku... gdy oczy Eweliny padły na ławkę, na której siedział ubogo dosyć ubrany młody chłopak. Rękę miał na temblaku, a w drugiej książkę...

Nielitościwy Starża wskazał go uśmiechając się Ewelinie.

— Patrzno pani, jedna ze scen komedyi naszego żywota, która świadczy że jeszcze wierzymy w to, iż na poetyczną rolę kogoś złapać można... Jak się ten przezacny młodzieniec misternie usadowił tu aby uczynić zajmującym... ręka czyni go nieco bohaterem tajemniczym, książka każe się domyślać poety, a ustroń obrana na medytacye poświadcza, iż to dusza co ciszy i spokoju szuka...

Założył się pani ze mną, dodał, że to najprozaiczniejszy intrygant w świecie... A tak młody!! tak młody...

Spojrzał uśmiechając się na Ewelinę, biedna kobieta była jak marmur blada.

— To być może... to być bardzo może, rzekła cichym głosem... ale mój hrabio nie wrywaj mi z serca ostatnich złudzeń, ostatniej nadziei, że gdzieś jeszcze, w kątku, przypadkiem znaleźć można — prawdę...

— Czy pani go znasz?

— Widzę go pierwszy raz w życiu.

— Ja także ... i ręczę...

— A! nie ręcz! wierzy! łudźmy się, kłamy sobie, aby się nam świat nie tak poczwarnym wydawał... zawołała Ewelina.

— Więc milczę -- rzekł Starża.

Droga wiodła ich tak, że musieli przechodzić tuż około samotnie siedzącego chłopaka, który był

właśnie na ławce książkę położył; Ewelina rzuciła okiem... uśmiechnęła się prawie radośnie. Był to Tadeusz Mićkiewicz.

— Szczęśliwam, szepnęła na ucho Starzy, że jeżeli ma się w świecie co pocziwego znaleźć, należeć będzie do nas. Rada jestem że to polak, a czuję że siadł w istocie dla siebie nie dla tego aby... się wystawić na pokaz ze swą ręką i książką...

— Dla mnie w tém jest coś podejrzanego, odparł stary niedowiarek.

Ewelina wyrwała mu rękę powoli.

— Jestem dziwaczka, despotka i... zostawuję tu pana abyś sprawdził swój domysł... Czekam z obiadem...

Uśmiechnęła się, Starza/zawahał, ale z powagą przyjąwszy wyzwanie, począł się przechadzać po ulicy... Szukał sposobu aby się zbliżyć do młodego człowieka.

Książka mu nastęczyła najlepszą, ku temu sposobność. Na ławce było dużo wolnego miejsca... przysiadł.

— Widzę z Mićkiewicza, żeśmy ziomkami, odezwał się po chwili do zdziwionego dość i zmieszanego nieco młodzieńca... który milcząco mu się ułonił.

Młodzieniec miał prawo być tak zdziwionym, jest bowiem rzeczą nadzwyczajną, aby dwóch nieznajomych Polaków spotkawszy się za granicą przemówiło i zbliżyło się do siebie.

Nie wiem czy inne narodowości w podróżach trzymają się tego zbawionego prawidła żeby swoich unikać, ale co do nas tysiączne doświadczenia uczą, iż nic tak nie przeraża jak zetknięcie się z ziomkami.

Ziomków tych jest tyle różnych rodzajów, gatunków, podgatunków... mogłoby się trafić na... republikańczyka, demokratę, na spiskowca... na korespondenta dziennika warszawskiego, na kollaboratora gazety narodowej, na... zbierającego jakąś składkę, na wracającego od Mazziniego lub jadącego do Garibaldeggo... Kto to wie?? Z tego powodu (konstatujemy tylko fakta) w drodze się nie mówi po polsku, ściera się wszelkie znamiona narodowości i kryje z nią jak najstaranniej.

Nie ma prawie przykładu aby Polak do Polaka, zwłaszcza porządnie ubrany do mniej porządnie odzianego, sam *proprio motu* zagadał... nie tyle może idzie o kompromitację co o kieszeń... Młody więc człowiek bardzo słusznie okazał zdziwienie i z pewnego rodzaju niedowierzaniem spojrzął na Starżę.

— Pan zapewne emigrantem jesteś? zapytał hrabia.

— Nie — nie jestem nim — krótko odpowiedział młody człowiek.

— Winszuję panu.

— Dziękuję — w istocie jest to jedno z największych nieszczęść na jakie człowiek 'skazanym być może.— Ale gdyby Bóg był mnie niem dotknął, sędzę że potrafiłbym je znieść godnie.

— Więc zapewne z Galicyi? spytał Starża.

— Nie, jestem z Księstwa...

— A to zapewne chlubna i zaszczytna rana w ostatniej kampanii...

— O! nie, nie! żywo przerwał młody człowiek, miałem przypadek...

Rozmowa się przerwała... znowu... Poznańczyk nie miał najmniejszej ochoty prowadzenia jój dalej.

Ta wstrzemięźliwość i skromność bardzo dobrze uprzedziła już o nim Starżę; czuł że mógł się zawieść w swym sądzie, ale był tak szlachetnym, iż się z tego ucieszył. Postanowił jednak badać dalej dopóki było można.

— Widzę z przyjemnością, rzekł, iż się pan oddajesz poezyi... Mićkiewicz... to najlepszy wzór dla młodego poety... wyboru i umiłowania go powin-szować można.

Młodzieniec zwrócił się z uśmiechem ku hrabiemu.

— Nie oddaję się poezji, rzekł cicho, ale ją kocham jako życia osłodę, jako woń niebieską... przyznasz mi pan, iż w młodości trudno nie mieć téj słabości.

— Pan to nazywasz słabością?...

— Tak ją dziś powszechnie uważają... mówił chłopak... Każą nam pod karą śmierci, zerwać z nią stosunki, zaprzeć się jéj, obciąć sobie skrzydła i nauczyć się chodzić po ziemi... Wstydzę się że usiłując stać się jak najpraktyczniejszym, kiedy to dla zbawienia ojczyzny tak nieodzownie jest potrzebném — choruję wszakże ukradkiem na... poezję.

— Pan to nazywasz chorobą? spytał hrabia...

— Nie moja to, ale dyagnoza wieku...

— A sąd nasz własny?...

— Ja czekam z sądem doświadczenia, ale co serce mówi, z mojej młodości można się domyśleć...

Starża był mocno zaintrygowany.

— Gra wybornie komedję! rzekł w duchu, ale mnie w pole nie wyprowadzi.

— Widzę, dodał głośno, że pan tu pono niedawno przybyłym być musisz, bom go dotąd nie widywałem... więc zapewne i znajomych braknie?

— W istocie przyjechałem przed parą dnia-

mi — chłodno odezwał się zapytany — ale towarzysztwa nie szukam.

Cisnąć się do niego jest przykro...

— Ale znajomości u wód tak się łatwo robią.

— A tak często drogo opłacają — zawołał chłopak... swobodą, czasem, ceremoniami, — w końcu jeszcze wzajemném nieporozumieniem. — Wybacz mi pan dobrodziej, że mu w tém się sprzeciwie, ale łatwe znajomości...

— Zgadzaamy się, przerwał Starża — nie wiele warte... przecież ludzie ludzi potrzebują.

— Ludzie! ludzi! mruknął patrząc w książkę młody... ale my bo nie jesteśmy tak bardzo ludźmi w XIXtym wieku. Zawsze jeszcze są panowie, rzemieślnicy, przemysłowcy, bankierowie, świat mały, świat wielki... Tatary, Żydzi... a ludzi jakoś nie widać...

Starża się rozśmiał.

— Wierz mi wacpan, rzekł, że tak zawsze było i po wiele wieków zostanie. Wyjątek tylko czynię dla Tatarów, Żydów, Cyganów i t. p. bo narody są i muszą być równouprawnione. Inaczej się dzieje ze stopniem wykształcenia, ze stanem człowieka, z jego położeniem, które zawsze różnicę między ludźmi stanowić będzie i musi...

Nikt nie pyta dobrze wychowanego człowieka, czy czarna, czy niebieska, czy czerwona krew w jego

żyłach płynie, ale jak wacpan chcesz, bym mając żyć poufale z człowiekiem nie dbał o to czy się zrozumiemy i sympatyzować z sobą będziemy.

— Na tę różnicę, jaką stanowi wykształcenie, zgadzam się chętnie — rzekł młody człowiek... ale tylko na tę.

— My już... my... bo ja należę do starój gansnącej arystokracji rodu — odezwał się Starża — nie mamy pretensyi do naszego dawnego posłannictwa wyłącznego... prosimy się tylko abyście nas gorzej od chłopu uważać nie raczyli. Uznajcie nas równemi sobie ludźmi, z reszty kwita...

— Alboż kto odmawia panom... przywilejów człowieka?

— Po troszę ... bardzo często ... W dawnych wiekach, w innym porządku społecznym, były narody wybrane, stany wybrane, ludzie wybrani ... dziś ... są tylko — szczęśliwi i szczęśliwe — my się do nich policzyć nie możemy.

Młody człowiek zamilkł.

— Bardzo mi przyjemnie, odezwał się Starża, iż pana spotkałem, miło jest czasem z kimś swoim pomówić... Sądził iż młodzieniec korzystając z tego przedstawi mu się i zrobi znajomość, ale się omylił, uśmiechnął się on, uklonił grzecznie i milczał...

Tóm bardziej szło Starży o zbliżenie się do tego upartego dziczka.

— Mieszkam w Hotelu Victoria, nazywam się Stanisław Starża... i miło mi będzie jeżeli mnie pan zechcesz odwiedzić.

Młody człowiek zawahał się jakby nie był pewien co ma odpowiedzieć. —

— Nazywam się Augustyn Moroz ... jestem synem kupca i przeznaczonym do stanu kupieckiego. Mieszkam w dosyć ubogiej dziurze do którejbyś Hrabia nie trafił... pod jakimś koniem barwy niezrozumiałej. Przebaczysz mi moją śmiałość i szczerość, ale mi się zdaje, że odwiedzając Hrabiego przyjemności bym mu nie zrobił. Należymy do dwóch światów odrębnych, mamy stosunki różne... na ławce w ogrodzie mogę rozmawiać z sobą swobodnie... Ale cóżbym ja począł w salonie pełnym ... ludzi mówiących językiem, wyobrażeniami pojęciami dla mnie obcymi...? Zdawało mi się zawsze, że bez najmniejszego uczucia jakiejś niechęci, bez wstrętu, bez antagonizmu, każdy swojej sfery, swoich braci, swego kółka trzymać się powinien.

— Duma, kochany panie...

— Nazwij to pan poczuciem własnej godności... i nie miej za grzech, że je mamy w sobie...

To mówiąc pan Augustyn powoli podniósł się z ławki, uklonił Hrabiemu, zabrał książkę i odszedł w swoją drogę.

Starża był trochę markotny, ale w końcu rzekł w duchu.

— Ma słuszość, szanuję go!

W czasie tych wędrówek Starży, dama z córką, którąśmy widzieli w początku, przeszła była także do parku... w towarzystwie na sposób angielski ułożonego młodego kawalera.

Kawaler ów z nadskakującą grzecznością towarzyszył im w przechadzce i starał się zabawić rozmową cczą, lekką, ale bardzo przyjemną. Wiedział on nie tylko co się działo w Wiesbaden, Homburgu, Paryżu, w Galicyi, Poznańskiem, Kongresówce, ale nawet poza granicami Europy w świecie *fashionable*, wielkich imion i świetnych fortun. Można go było z mowy i postawy wziąć za potomka jednej z najznakomitszych rodzin kraju, stosunkami ściśle z całą europejską arystokracją; o niej bowiem tylko mówił, a w opowiadaniu gęsto się cisnęły tytuły książąt, hrabiów, baronów, znakomitości wszelkich, które zdawał się znać poufale...

Zajmowało to wielce damę, mniej jak się zdawało, córkę, która przypatrywała się drzewom i wyglądała tęskno jakoś.— Młodzieniec nadskakiwał też szczególniej samój pani, tak że trudno było rozważyć czy miał projekta na mamę czy na ów pączek

nierozwity... a że je mieć musiał to się z nadzwyczajnej troskliwości w obejściu z paniami wydawało.

Mama była milcząca, ostrożna — przyjmowała grzecznie okazywane poszanowanie; ofiary postug, ale trzymała się jakoś oględnie aby nie dać zbyt wielu nadziei. Niekiedy z ukosa przypatrywała się młodzieńcowi jakby go zbadać chciała; nie dowierzając pięknym i zbyt świetnym rzeczom zwiastującym słówkom.

— Ale *a propos*, odezwała się wysłuchawszy cierpliwie historii wiesbadeńskich — ktoś to jest ten pan, który się z panem witał... przed kursaalem...

— Ten pan... a! to mój dawny ale daleki znajomy, którego poznałem u księcia S... we Lwowie na jednym z tych sejmowych rautów na które się prosi co żyje... Nie mogę o nim dać bliższych wiadomości, wiem że ma tam jakiś majątek około Tarnowa, że nie żonaty... że nie należy ani z imienia, ani ze stosunków do rodzin głośniejszych w kraju... Ale jest człowiek nie źle wychowany, przyzwoity... Zresztą już trochę stary kawaler.

Pani słuchała ... i dodała.

— Tak, wygląda bardzo przyzwoicie... a nazywa się?

— P. Ferdynand... a! Potomski...

— W istocie nazwisko... mało słyszane... nowe... ale zdaje się — szlacheckie.

W chwili gdy to mówili mimo nich przeszedł z książką w ręku młody człowiek, był to pan Augustyn Moroz... spojrzał na panie, zarumienił się mocno, skłonił od niechcienia i szybko dosyć oddalił. Pani zaledwie mu raczyła kiwnąć głową i okazała nawet że przywitaniu rada nie była, bo ruszyła ramionami, panienka zapłonęła.

— Wystaw sobie pan, odezwała się dama do kawalera... co to za śmiałość tego jegomości... my go wcale nie znamy, nie wiemy kto on jest, jak się zowie... ale żeśmy się na kolei w wagonie spotkały i że tam Julce posłużył parę razy, już się, nie będąc prezentowany, kłania...

— To tylko dowodzi braku wychowania, rzekł kawaler, zresztą sama powierzchowność — powiada, że to jakaś figura podejrzana... Teraz to się tego po świecie włóczy co nie miara... tych pisarzy prowentowych, a komisarzy rządowych... których rewolucya wyrzuciła rozbitkami na europejskie gościńce. Ja także na nieszczęście jestem emigrantem, ale się staram wyjść z tego fałszywego położenia co najrychlej i już mi w Wiedniu w ministeryum obiecano obywatelstwo. Książę Auersperg, którego poznałem przed parą laty u wód i z którym jestem bardzo dobrze, przyrzekł mi to...

Nie umiemy a raczej nie chcemy się domyślać dla czego kawaler nie poznał przechodzącego — może miał wzrok krótki — a jednak byli to niegdyś towarzysze uniwersyteccy. — Przechodzień obejrzał się, stanął, a po chwili poszedł dalej.

— A już to prawda — dodała dama, że dziś dzięki emigracyi nie można się ruszyć swobodnie... bo byle język polski usłyszano, zaraz się robią znajomości... i niepotrzebne i nie mile... i niebezpieczne...

— Ja też nigdy za granicą po polsku nie mówię, chyba a *huis clos*, dodał młody człowiek... to klęska...

— Ale i pan byłeś przecie wmięszany w te ostatnie sprawy... cicho dodała panna Julia... czy pan był w oddziałach....

— Ja? ja? z oburzeniem oparł się kawaler — ale uchwaj Boże! ja byłem używanym do niektórych dyplomatycznych robót... Książę X. i my wszyscy mimo żeśmy widzieli niedorzeczność rewolucyi, musieliśmy jej służyć... aby nie dać pójść za daleko *vouz concevez*.

Dama kiwnęła głową.

— I to się stało powodem, że do Królestwa powrócić nie mogę... kończył młody człowiek... ale osiedlę się i okupię w Galicyi

— Jako Galicyanka, bardzo się z tego cieszyć będę, grzecznie uśmiechając się dodała dama... a kawaler się uklonił.

Szli dalej — był to dzień spotkań i niespodzianek... choć nie zawsze miłych... Kawaler rzucawszy okiem przed się, ujrzał toczącą się ulicą figurę jak na Wiesbaden dosyć oryginalną. U nas by ona nie zwróciła uwagi, bo była naturalnym owocem kraju — ale za granicą wydawała się bardzo dziwnie.

Był to mężczyzna bardzo otyły, słuszny, lat średnich, twarzy ogorzałej i rysów pospolitych... W pośrodku księżycowej pełni oblicza dobrze zarumienionego siedział nos nakształt bujnie wyrosłego kartofla; pod nim usta szerokie z wargami tłustemi, podbródek prałacki, wyżej oczki siwe, małe nad niemi brwi krzaczyste, bujne, a dalej czoło szerokie, niskie i włosy rzadkawe... Dodawszy do tego uszy rozmiarów niepospolitych, odstające i kilka brodawek poziomkowego kształtu, mieć będziemy fotografię nadchodzącego. Reszta postaci odpowiadała twarzy, ręce były ogromne, nogi potężne... Dystynkcyi i wdzięku trudno było szukać w nim, ale rozsądek i jakaś wesoła dobroduszość czyniła niepięknego człowieka, wcale miłym.

Ubrany był w węgierkę, a strój cały dowodził że się do obcych przestraszać nie myślał...

Młodzieniec ujrawszy nadciągającego obywatela, gdyż inaczej by go nawet nieznajomy nie nazwał, tak obywatelską miał powierzchowność — widocznie się zmięszał, na twarzy odmalowało się wahanie, obawa, niepewność co począć... miał może zamiar w boczną z damami przerznąć się uliczkę aby spotkania uniknąć... ale było za późno, a dama krocząca poważnie, wykwintnie, ani myślała z szerokiego gościńca znijsć na ścieżkę, na którejby jej wspaniała postać znikła w cieniach.

Kawaler udawał, że przygląda się roślinom, że admiruje młode dęby pyramidalne i czarne buki, aby minąć obywatela bez powitania... ale mu się to nie powiodło.

O trzy kroki od niego, obywatel się już śmiał głośno, niezważając na nieznajome damy i podnosząc laskę, wołał.

— Patrzcie! ha! ha! Wicek! dalipan Wicek! no! no! ależ z waszeci teraz elegant... Upadam do nóg...

Nazwany tak jakoś nieprzyzwoicie Wickiem kawaler, zczerwieniał się, odskoczył od dam przepaszając je i rad nie rad podszedł zdejmując kapelusz do obywatela, który go bez ceremonii poklepał po ramieniu.

Damy poszły tak powoli dalej, że całą rozmowę zresztą, obyczajem dawnym polskim pro-

wadzoną głośno a krzykliwie, słyszeć mogły doskonale.

— Chi! chi! Wicek na Markiza mi dziś patrzy... dalipan... niby Anglik, niby czeladnik od krawca paryskiego... ależesz wyprzystojniał, wyrósł... wyeleganciał! daj go katu! Cóż u licha tak ci rewolucja posłużyła... czyś gdzie bezpańską kasę przydybał... czy za posługi ofiarowała ci miljon rzeczpospolita... czyś złapał dziedziczkę jaką garbatą, która ci sto tysięcy dochodu złożyła u stóp? Mów, bo nie rozumiem.

Kawaler był przybity...

— Powiem ci żem twego ojca widział przed wyjazdem z kraju... na jarmarku, dokąd z końmi hrabiego pryncypała... przybył. Postarzał nieboraczysko... a ciężko pracuje... Waszeci widzę na emigracyi się wiedzie... ho! ho.

Kawaler stał niemy.

— Przyjdźże do mnie, to ci dam bliższe wiadomości o ojcu i siostrze... bo siostra u mego szwagra teraz jest w obowiązku razem z mężem... widziałem i ich... Stoję pod Różami, do widzenia... pilno ci do dam... a no nie zatrzymuję.

Niezmiernie pomieszany kawaler pogonił za damami, a obywatel laską wywijając wracał do Kursaalu... Na jego twarzy malowała się uciecha z wypłatanego dobrego figła... na białych ry-

sach nieszczęśliwej ofiary niecierpliwość i hamowany gniew.

Nie ma wątpliwości że złośliwy obywatel ów z okolicy Łęcznej umyślnie mówił tak głośno o ojcu oficjaliście i siostrze w służbie, aby te piękne panie usłyszały; jakoż dama przyjęła powracającego kawalera nadzwyczaj sztywnie, zimno, z podwojoną dumą, rzucając nań wielce znaczące spojrzenie.

Mówiła mu ona wyraźnie.

— Chciałeś nas waćpan oszukać, ale mu się to nie udało...

Młodzieniec wszakże ochłonął prędko poczuwszy że się bądź co bądź ratować potrzeba, nadrabiając fantazją i zuchwalstwem.

Udał że wrażenia damy nie dostrzegł lub nie zrozumiał i rzekł żywo:

— Niezmiernie szczęśliwy jestem ze spotkania z tym pocziwym oryginałem... Jest to najzacniejszy człowiek chociaż ma czasem żartobliwe sposoby wyrażania się, które zrozumieć trudno... Przyjaciół i sąsiad mojego ojca, przywozi mi wiadomość od rodziny... Widzę z tego co mówi, że biedny mój ojciec w obawie konfiskaty za moje grzechy, wyprześć się musiał...

Westchnął młodzieniec, dama spojrzała z ukosa, skrzywiona, ale znać było że się nie da wzięść na słowa... Ona i panienka pozostały milczące.

Obywatel któremu imię było pan Prokop Hamowski poszedł w swą drogę wesół wywijając laską i podspiewując trzeciego maja mazurka, bo nad Dąbrowskiego i maj, nigdy więcej wyspiewać nic nie umiał, a czuł czasem potrzebę objawienia w ten sposób dobrego humoru.

Mówiliśmy, był to dzień spotkań... o kilka kroków dalej zeszli się z panem hrabią Stanisławem Starzą, który od ławki Moroza powracał.

Pan Prokop zdala zdjął czapkę i z przesadną pokorą schylił głowę przed starym.

— A! pana Prokopa ... cieszę się! zawołał Starża, znów tedy do Wiesbadenu!

— A! szanowny hrabio, odpuść nam nasze winy tak jako my ich nie odpuszczamy naszym winowajcom... Nie dziwuj się że mieszkaniec Królestwa z pod batoga moskiewskiego wyleci na świat — odetchnąć!

Byłoby to grzechem zaprawdę pieniądze rozpruszać za granicą, gdyby nie było koniecznością przespać się w ciągu roku choć kilka nocy spokojnie z tém przekonaniem, że cię żandarm nie zbudzi i nie schwyci.

Chory nie chory, wyjechałem się pokrzepić.

— Przy rulecie! uśmiechnął się Starża.

— Tak nas ci moskale odarł! dodał pan Hamowski. Wszystko to konieczności demoralizujące

naszej biedy. Żart na bok, ja istotnie jestem chory, wody mi nakazano, a w gry azardowne nie gram — tylko czasami — za drugich nie ręczę.

— Ani ja! uśmiechnął się Starża — wszyscyśmy słabi.

— Towarzystwo liczne, jak już widzę, rzekł Hamowski, język polski obija się nieustannie o uszy... Cieszy to, że się tak cywilizujemy!

Oba uśmiechnęli się gorzko.

— Strasznie się cywilizujem... dodał pan Prokop, wystaw sobie hrabio, przed chwilą spotykam ślicznego blondyna ubranego z angielska, zaczesanego z angielska, gentlemana... rzekłbyś milord na wakacjach parlamentowych z miljonem dochodu w kieszeni — przypatruję się... a to zmetamorfozowany syn dawnego mojego oficjalisty... Pamiętam go gdy przed wysłaniem do szkół, boso gęsi zapędzał... Czyniłoby mu honor że się tak zewnętrznie a pewno i wewnątrznie wykształcić potrafił, gdyby nie grał komedyi i okpiwać świata nie chciał, gdyby na biletach nie pisał *Monsieur Vincent de Darnocha...* i t. d.

Starża się uśmiechnął...

— Jest to rzecz dziwna, że gdyby Pan Bóg na twarzach naszych pochodzenia owego sarmackiego nie zapisał, naród tak do swój narodowości przy-

wiązany jak my... najprędzejby startł z siebie wszystkie cechy zewnętrzne które go znamionują.

Zważ pan że mamy między sobą Hybrydy polsko-angielskie, polsko-francuskie, polsko-niemieckie, polsko-moskiewskie, że w naszej dzisiejszej społeczności więcej jest naleciałości obcych, niż zabytków własnych... i żeśmy już na pół rozpuścili się w kosmopolityzmie. Wyjmuję wacpana dobrodzieja z jego węgierką.

— I ze wszystkimi staremi nałogami polskimi... rzekł Hamowski... ja pod tym względem już się nie zmienię. Skóra stara przyrosła mi do grzbietu... nie zrzucę.

Mniejszaby może zresztą była o zewnętrzne pozory, ale formy zawsze mówią coś i znaczą — to darmo... Jak w religii tak w miłości kraju formy i praktyki nie są rzeczą obojętną... dla tego mości dobrodzieju nie zrzucam i węgierkę noszę... póki mi jej żandarm nie zedrze.

Ale ot — od pierwszego zetknięcia się wpadliśmy na metafizykę... tfu! lepiej powiedz mi hrabio kogo macie tu, co robicie i czy ja się tu rozerwę... bom po to przecie przybył.

Starza wziął go pod rękę.

— Mamy ziomków hybrydów różnych bardzo wielu... już dziś osób do dwudziestu naliczyłem... pięknych kobiet, panien, wdów, rozwódek mnóstwo.

Jest nawet jedna tak śliczna, tak rozumna, tak miła, że gdyby nie była nieco warjatką... powiedziałbym że to ideał!

— Ale dla czegoż warjatka?

— Bo szuka szczęścia tam gdzie go znaleźć nie można.

— Pilnujże acan dobrodziej ją od eleganta anglika, bo jak się dowie że bogata, że wolna i że jej na świecie pary do szczęścia brak, to się łotr wciśnie... i —

Starża się rozśmiał.

— Będę wartował, aby nie przystąpił nawet, zresztą kobieta ma instynkt...

— Ale mężczyzna ma pochlebstwo...

— Sparzona...

— Parzą się i nie dwa razy, mimo przysto-
wia... Więc Polaków naszych czyli jak to ją za gra-
nicą zowią Polonii dosyć...

— Nadto, odparł Starża, jest jój ze wszystkich części Polski po troszę, z emigracyi starój i nowój, z Kongresówki, z zabranych nieszczęśliwych prowincyj, z Galicyi Wschodniej i Zachodniej, z Księstwa Poznańskiego i z Prus Zachodnich.

— Otóż panie dobrodzieju, jedyna zręczność porównać co z nami obce rządy zrobiły.

— Zostawuję to panu... rzekł Skarża, ja jedno widzę tylko, że każda z prowincyi, każdy z losów

naszych coś nam ujął ze starych tradycyj, a mało co dodało... jesteśmy hybrydy... hybrydy...

W każdym narodzie, który ma żyć, coś się piastuje, za chowywa od czego jak od nasionka powstać ma owo życie nowe... u nas... ten zarodek bardzo jakoś niewidoczny.

— Bo téż i odrodzenie dalekie! westchnął Hamowski... rozbito nas aby łatwiej pochłonać... a postępują z nami jak z materiałem, któryby kilku robotników próbowało niszczyć na różne sposoby. Ten pali, ów zaléwa... tamten zakopuje... a

— A kwestarz Chodzki powiada po cichu — *quis scit* co za górą?

I poszli tak razem dwaj różni ale w duchu zgodni przedstawiciele przeszłości...

Nie wiem jak się to stało, że tego dnia przy *table d'hôte*, w hotelu czterech pór roku, znalazł się i pan Ferdynand Potomski i pan Wincenty Dar-nocha. — Zdaje się, że ostatni już był zwietrzył piękną, samotną i zachwycającą swobodą mowy i ruchów panią Ewelinę, stawiał się więc w białej pikowej kamizelce, uczesany precudownie, w rękawiczkach blade lila, w stroju najwyższego smaku, piękny, dystyngwowany... arystokratyczny tak... że go hotelowe kelnery wzięli za lorda a lerdowie za podróżującego komisanta z Bordeaux.

Pan Ferdynand równie był starannie na wyprawę wyekwipowany.... Los który płała figle i czyni przysługi posadził ich obok siebie. Oba nie mówiąc nic, oczyma przebiegali stół, modlili się do otwierających drzwi, ale gwiazda spodziewana nie zeszła. Ewelina zaprosiwszy pana Starzę, kazała obiad położyć do swojego salonu.

Zawiedzione nadzieje powlokły chmurą oblicza dwóch więcej niż ciekawych gości. Dla pana Darnochy szczególnie ten stracony obiad w *table d' hôte* drogim... gdzie dla przyzwoitości potrzeba było jeszcze pół butelki wina dać kazać... stanowił jakby przegraną stawkę w ruletę.

Elegancja takiego młodego człowieka zmuszonego grać nie swoją rolę, toaleta, rękawiczki, akcesorya rozmaite... okupują się zawsze cichymi ofiarami często posuniętymi aż do zaparcia głodu i pragnienia. Czém żyją ci co chcą za dostatnich uchodzić a do ubóstwa śmiało i uczciwie przyznać się nie chcą, wie Pan Bóg jeden i przekupki bułek... i kielbasek...

Pan Wicenty należał do téj smutnéj kategorii komedyantów co mieszkają nie wiedzieć gdzie, jedzą nie wiedzieć co, ale występować muszą świetnie...

Był wcale przystojny, był pewien że strojąc lalkę, w końcu ją jakimś dziecku sprzedać potrafi.

Miał na to dosyć dowcipu, instynktu, i pospolitych środeczków pochwyconych w powietrzu... Tyle pracy! tyle ofiar! gdyby to na co pocziwego użytém było!

Ferdynand Potomski acz mniej miał już czasu do stracenia niż towarzysz, nie tak bardzo uczuł doznany zawód... lubił bowiem jeść, a spodziewał się mieć wcale nie zły obiad w tak paradnym hotelu, na czém się nie zawiódł.

Dogadzało mu téż to, że go posadzono przy młodzieńcu, którego użyć postanowił, mimo że zrana nie dosyć się z nim obszedł grzecznie. Rachował na siłę otwierającą serca wina szampańskiego, którego kazał w lód wstawić butelkę...

Z początku obiadu aż do rostbeefu nadzieja... nadzieja słaba ożywiała obu tych panów; rachowali na to, że eleganterki zawsze się długo ubierają i późno przychodzą... Ale po sztukamięsie, po groszku z ozorem i salcesonem... opuściły ich błogie marzenia... trzeba było rzeczywistość przyjąć jaką była; pan Ferdynand korzystał i jadł dobrze...

Wicenty siedział chmurny...

— Napijesz się pan ze mną kieliszek szampańskiego wina? spytał pod koniec Potomski.

— Dziękuję...

Nalano...

— Zkimże to pan byłeś dziś rano gdyśmy się spotkali?... spytał Ferdynand, nie mógłbym wie-

dzieć? he! ręczę ci jeżeli są jakie projekta prędzej pomogę niż przeszkodzę...

— Ale żadnych w świecie projektów! podchwycił młody człowiek... żadnych... słowo honoru... Jest to obywatelka z Galicyi... Baronowa von Dorfer... Polka rodem, niegdyś żona wojskowego austriackiego.

— A! wdówka!

— Wdowa... z córką...

— Bogata zapewne...

— Za taką uchodzi i zdaje się być...

— Czy jeszcze... jak się zdaje... w pretensjach do kobierca suwa... czy?..

— Ale ja nie tak dobrze ją znam abym mógł objaśnić pana... rzekł Darnocha.

Ferdynand dolał mu wina...

— Domyślam się, wnioskuje, pewnych jednak danych nie mam...

Pan Potomski spojrzał mu w oczy bacznie... coś już chciał powiedzieć ale się powstrzymał i nalał... Nalawszy przekonał się o potrzebie drugiej butelki i szepnął kelnerowi aby ją przyniesiono.

Po czwartym czy piątym kieliszku zaczęli po cichu szepcząc żartować i poufale sobie udzielać swych postrzeżeń nad gośćmi siedzącymi... Humory były dobre i skłonne do wywnętrzenia się usposobienia.

— Wiesz co, *cher Vincent*, rzekł pan Ferdynand, jabym ci coś powiedział, gdybyś mnie zrozumiał po przyjacielsku i za złe tego nie wziął.

Młodzieniec scisnął go za rękę.

— Między nami mówiąc, obaśmy podobno nie chorzy i bodaj — ja i pan czyśmy tu nie w jednym celu przybyli... Mówmy z sobą otwarcie, zawrzyjmy przymierze i pamiętajmy, co napisano na holenderskim dukacie.

— Tak, ręka rękę myje... rzekł roztargniony pan Wincenty, na którego Angielka w długich lokach z dużymi zębami spojrzała. Angielki bywają bajecznie bogate...

Ferdynand nie myślał poprawiać wersyi fałszywój towarzysza, rad że myśl jego zrozumiał...

— Otóż tak, rzekł dolewając wina, na co to w bawelnę obwijać, ja szukam żony i pan byś jój nie odrzucił gdyby się nastęrczyła ładna, bogata i *comme il faut*. U wód znajomości się robią łatwe; no, i często kojarzą przyszłe małżeństwa... Możemy być sobie wzajem pomocni. Ja mam taką teorię. Największą przeszkodą zawsze obawa, że człowieka nie znają... można więc sobie skutecznie pomódz podpisując wzajemność. Rozumiesz... mądrój głowie dość na słowie.

Pan Wincenty przyjął ten układ z zapalem.

— Zgoda, odezwał się, dobrze...

— Ale tu i drugi obowiązek się następuje — dodał praktyczny pan Ferdynand, musimy wzajemnie starać się dla siebie wywieść o sytuacji osób które nas obchodzą... bo na nieszczęście, wiele awantur i kobiet zrujnowanych wyjeżdża do wód na polowanie.

— To się samo z siebie rozumie — odparł młodzieniec, że na ślepo się puszczać nie można... Okropne bywały przykłady... Znam Alfreda barona...

— A i ja go znam.

— Złapał się szkaradnie.

— Wiem, wiem.

— U wód ją poznał... prowadzili taki *train* że ją wziął za milionową, ona jego miała za bogacza... a teraz.

— Słyszałem... idą do rozwodu...

— Haniebne szalbierstwo...

Napili się po kieliszku wina i kazali podać kawy i *Chartreuse*.

— Mój drogi panie Wincenty... dodał ponawiając uścisk dłoni Ferdynand, idźmy zgodnie, pomagajmy sobie i ostrzegajmy się wzajemnie; niech jeden drugiemu w drogę nie wchodzi... Słowo?

— Słowo...

— Teraz-że mnie objaśnij kto tu jest... i jakie ty masz widoki...

— Ja, dotąd żadnych.... Baronowę von Dorfer nieco znając z daleka i ostrożnie trzymam się około niej ale nie posuwając zbyt daleko...

— Rozumnie, rzekł Ferdynand. Uczynię ci uwagę jedną jako starszy już a doświadczeńszy. Baronowa twoja wygląda jakby się sama za męża *data occasione* wydać chciała. Tu tedy sęk. Partya mogłaby być nie złą; podziły bowiem wdowy przy dobrém prowadzeniu ich, w rękach człowieka doświadczonego, nie są do odrzucenia... ale. Ale córka dorasta... niepodobna ją wiekuiście zatrzymać w domu... Ktoś przyjdzie i pochwyci. Ożeniwszy się zaś z córką znowu, nie ma gwarancyi że matka się nie wysłiznie i nie chapnie z sobą majątku... Gra więc niebezpieczna... ryzyko zbyt wielkie; trzebaby chyba z córką się żenić... a matkę wziąć w troskliwą kuratelę... lub....

Uśmiechnęli się do siebie dziwnie, rozumiejąc bez słowa.

— Dodam do tych bardzo trafnych uwag pańskich, rzekł rozmarzony nieco winem Wicek, iż sama pani jest zamknięta w sobie, sztywna, dumna, trudna, formalistka, arystokratka, zimna i zdradza charakter wcale nie łagodny...

— Więcej kto tam jest? zapytał Potomski.

— A no, ta dziwna ekscentryczna jakaś a podejrzana piękność, o której mówi dziś Wiesbaden

cały... stojąca właśnie w tym hotelu baronowa Ewelina Skrzycka jeżeli się nie mylę. Uważano, że dziś rano bardzo długą i żywą prowadziła rozmowę ze Starzą... to coś znaczy.

— Ale ja ją nieco znam... szepnął oczy spuszczaając Potomski, widziałem się z nią dziś rano.

— Doprawdy! przysuwając się spytał Wicek... wzajemnie więc objaśnij mnie pan...

— Nie wiele więcej ci powiem nad to coś mi o pani von Dorfer ofiarował. Dzieckiem za życia nieboszczyka jój ojca widziałem ją w Górze. Owdo-
wiała nie dawno po młodym mężu, z którym pożycie było ciężkie i nieszczęśliwe... Czy charakter czy dola uczyniły ją dziwaczną, nie wiem... Ale to pewna, że kobieta téż nie łatwa do zdobycia i nie łatwa będzie do rządzenia. Jedynaczka, pieszczoszka, piękna, bogata niezmiernie... trzeba się z góry przygotować i zostać *prince consort* i najniższym sługą. Ale nęcąca i urocza! człowiekby się zgodził na wszystko i parę milionów dodatku...

Oczy Wincentego zaświeciły.... spojrzał w zwierciadło przeciwległe, żeby się przekonać że nie zbrzydł.

— Zechcesz mnie pan jój przy zręczności przedstawić — rzekł.

— Chętnie... ja mało mam nadziei, żeby się z téj strony co uczynić dało, wszakże niechęć za-

niedbować zrzeczności... Dziwaczka może przez dziwactwo mnie wybrać...

Rozśmiał się...

— Z pewnością przeszkadzać nie będę... dodał pan Wincenty... ale radbym choć bliżej się jej przypatrzeć...

— Nic nie mam przeciwko temu... wzajemnie przedstawiśz mnie pani von Dorfer... rzekł stary kawaler... no, a więcej kto jest jeszcze?

Wino czyniło wymownym i dowcipnym pana Wincentego, począł więc przegląd wiesbadeńskich piękności, a sąd jego dowodził że mimo młodego wieku nabył już w wysokim stopniu praktyki życia... Potomski z przyjemnością się przysłuchiwa gawędce ostrój, dowcipnej, złośliwej bojawiającej w młodzieńcu niepospolite zdolności skierowane już ku wyspekulowaniu sobie bądź co bądź pozycyi i niezależności w sposób jak najłatwiejszy, uwalniający od pracy dłużej a mozolnej, od pokornego dorabiania się....

— Cudzoziemek massy są, kończył pan Wincenty, ale tych bliżej poznać nie miałem czasu... Angielek do wyboru... liczba znacząca. Na Niemki nie zwracam uwagi, bo są w ogóle nie majątne a rodzice nadzwyczaj metodyczni... począwszy od metodyki i świadectwa szczepionój ospy trzeba się zbliżając do nich spowiadać im ze wszystkiego...

— E! o Niemkach mowy nie ma! dodał krzywiąc się pan Ferdynand... nieco obiadem rozrzuwniony. A Amerykanki?

— Amerykanek jest kilka... ale o tych dziś jeszcze bliższych wiadomości udzielić nie mogę... Zresztą, dorzucił wstając i spoglądając na zegarek, będziemy się widywać codziennie i wspólnie sobie naszych postrzeżeń udzielać.

Rozmowa przeszła powoli w śmiech i żarty staro-kawalerskie, — zostali oba najlepszymi przyjaciółmi oceniając wzajemnie usługi jakie sobie oddać mogli. Dla p. Wincentego wchodziły w rachunek nawet obiady które razem zjadać mieli...

— Ten młody człowiek może mi być bardzo użytecznym... mówił w duchu Potomski... dobrze żem się do niego przybliżył....

— Do widzenia! do widzenia! — Rozeszli się zadumani nad planami przyszłej kampanii, która nie łątwą się obiecywała.

Sale gry jaśniały już rozświecone gazem, polyskując złoceniami, a wielka ciżba najróżniejszej powierzchowności ludzi cisnęła się do stolików, przy których nie było dość miejsca na pomieszczenie wygodne wszystkich namiętności skupiających się do koła gorączkowo.

Widok sal gry ma w sobie coś straszliwie dzi-
kiego, dziwnego, przerażającego... wchodząc tu czło-
wiek zrzuca z siebie poczucie przyzwoitości, zapomina
czém jest zwykle ... chciwość, żądza jakaś walki
z tajemniczym losem... oszala go... rozmarza... Nie
widzą nic prócz stołu i pieniędzy ... rzadko która
fizyognomia zachowa zimną powagę i cechę posza-
nowania siebie... rzadko kto jest tu panem sobie...
Wchodząc, jeszcze człowiek miarkuje się, trzyma na
wodzy... uśmiecha prawie pogardliwie, mierzy okiem
rozpalone lica tych co tu już dłużej przebywszy
w kąpieli ukropu... postradali wiedzę tego co się
z nimi dzieje. Ale zaledwie przysunął się... począł
grać... nieznacznie ulega tym samym symptomatom,
które tylko co obudzały w nim pogardę.

Nic sprzeczniejszego nad powierzchowność sal
z tragikomedją jaka się w nich odbywa... Ustrojenie
gilotyny w kobierce i brzozy mogłoby się tylko do
przybrania sal gry porównać.

Nigdzie człowiek nie spada niżej, nie zezwie-
rzęca się bardziej, nigdzie kobieta nie wydaje się
poczwarniejszą, wstrętliwszą istotą...

Widzieć młodą, piękną, poetyczną niewiastę
rozwścieczoną żądzą niepojętą, nieprzytomną, z oczy-
ma wlepionemi w kupkę złota, bledniejącą i czer-
wieniejącą naprzemian... zapominającą o dzieciach
głodnych, które płaczą na sofie w kątku... jest praw-

dziwie piekielnym obrazem. Przedsień otchłani!... A ci ludzie wystygli, zimni, znużeni, oprawcy, którzy ostatni grosz szaleńców ściągają jakby ścinali głowy ... a wejrzenia dzikie tych co już ostatni grosz stracili... a rozbudzanie się namiętności często kończących wystrzałem i powrozem... a spory i kłótnie, a dziecinne rozpacz... a bezmózgie chwilowe radości ... *Pandemonium*... Gdy się na to wszystko patrzy obojętnym okiem widza ... gdy się pomyśli że to wodzenie na pokuszenie... prawdziwa sprawa piekła... w istocie przywodzi do upadku niemal bez wyjątku wszystkich... co się na nie narażają i przypomni iż to rzecz dozwolona, uprzywilejowana, protegowana naówczas gdy tyle stokroć mniej szkodliwych rzeczy się zakazuje... to upokarzające i wstydlive.

Chociaż wszyscy zgodnie jedni przed drugimi ręczyli że nie grają, że gra jest im obojętną, że tak chyba dla zabawki postawią czasem florena... że nie zaglądają po kilka dni do rulety i *trante et quarante*... jednakże pod wieczór... znaleźli się jakoś dziwnym wypadkiem po różnych końcach stolika.

Nawet wielce umiarkowany i wytrawny Starża i wielce rozsądny Prokop Hamowski, niemówiąc już o Potomskim ... próbowali szczęścia ... nawet pani Baronowa von Dorfer powierzwszy córkę przyjacielce, siadła z rulonikiem... będąc pewna że Pan Bóg nie mógł odmówić swych względów i w grze

wysoce urodzonej i tak dystygowanej pani. — Sta-
wiła z tém przekonaniem że plebeusze tylko mogą
być w grze nieszczęśliwi...

Obejrzawszy się na wsze strony, z niezmierną
ostrożnością, unikając oczów, wcisnął się do rulety
pan Wincenty de Darnocha... Dla niego... więcej
niż dla kogokolwiek gra była stanowczą ... twarz
miał bladą, oczy przymknięte ... wyglądał jak idący
na stracenie.

Szedł jednak. Przyczyną dla której iść musiał,
było zupełne wyczerpanie ostatnich środków. Uciekać
się do pożyczki nie było podobna i na nic by się
nie zdało: — albo uchodzić z Wiesbadenu lub sta-
wić musiał los na kartę. Serce mu biło — oprócz
zegarka wziętego na kredyt w Paryżu i garderoby
niezapłaconej stanowiącej *son outil de profession*, bez
której cóżby począł ten co musiał być elegantem
bo niczém inném być nie chciał — nie miał więcej
nad dwadzieścia florenów w kieszeni.

Zimny pot oblewał mu skronie, a świeżo zje-
dzony obiad i wino wypite, wcale go nie umocniły
na duchu. Na chwilę potrafił być zapomnieć o swo-
jem położeniu, ale rychło wróciło ono przed oczy
z całą swą grozą i strachem... W hotelu należało
się już... przeszło sto reńskich... Nie było innego
sposobu tylko grać. Czasem P. Wincenty wierzył

w gwiazdę swoją... tym razem miał jakieś fatalne przeczucia.

Zręcznie, niepostrzeżony potrafił się docisnąć do skrawka obłożonego stołu... wyjął parę florenów i postawił je ręką drżącą... wygrały... Śmielszy już podniósł oczy, podwoił... wyszedł szczęśliwie.

Za trzecim razem powodzenie sprzyjało jeszcze... W najgorszym wypadku było o czém grać powolniej, czekać szczęścia i dobijać się... Z wygranych przyszła odwaga, odetchnął, spojrzał jaśniej... Szczęściem zdało mu się że nikt znajomy go nie widział, a oto szło bardzo... Postawił znowu znaczniejszą nieco kwotę... o cudo! wygrywał jeszcze; miał więc dziś szansę z której należało korzystać. Zawahawszy się nieco dobył co miał w kieszeni, rozdzielił na dwoje i rzucił na stół...

Chwila oczekiwania była straszną ale skończyła się jeszcze zwycięstwem. Po niemém obliczeniu wypadku gry Wincenty znalazł się w ogóle wygranym paseset florenów.

To go ośmieliło i już nie patrząc czy będzie widzianym lub nie, na dobre w grę się puścił...

W pół godziny sam sobie dobrze nie zdając sprawy z tego jak do znacznej zdobyczy przyszedł, prawie olśniony szczęściem jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, Darnocha znalazł się właścicielem około dwóch tysięcy reńskich. Chciał grać jeszcze,

ale ostrożność radziła mu poprzestać... zwłaszcza że ostatnie stawki go zawiodły.

Odszedł więc powoli od stolika i miał się wysunąć z sali, gdy uczuł że go ktoś chwytą za rękę...

Nie poznał zrazu twarzy której oczy surowo się w niego wpatrywały; były to rysy gdzieś widziane, dawno, widywane długo; ale Pan Wincenty wahał się z nadaniem im nazwiska nie wiedząc do jakich lat życia miał odnieść to wspomnienie. Stali tak oba milczący, gdy młody człowiek z ręką na temblaku odezwał się.

— Jakto? ty mnie nie przypominasz panie Wincenty?... ty mnie?

— A! na Boga! to Guccio ... Cóż to jest ta ręka na temblaku... co ty tu robisz?...

— Jabym się najprzód ciebie mógł spytać co znaczy ta twoja przesadna elegancya pod którą trudno mi było rozpoznać ubogiego i pracowitego współtowarzysza akademii... i co znaczy że tak śmiało grasz... a nadewszystko że przystąpić mogłeś do tego piekielnego gry stolika?

Pan Wincenty pobladł, zmieszał się, ale nie odpowiadając na zapytanie, ujął rękę towarzysza i wyszedł z nim do ogrodu. Tu usiedli na ławce.

— Zawsze, rzekł powoli Darnocha byłeś do zbytku surowym i inaczej pojmowałeś życie... widzę żeś się tych stoickich zasad nie pozbył. Cóż dziwnego

że młody pragnę się przyzwocić pokazać i że wypadkiem spróbuję szczęścia.

— Zapewne, nie w tém dziwnegoby nie było... a przecież po tylu latach niewidzenia spotkać ciebie elegantem jakimś niesmacznym, u stołu gry, zrobiło mi bolesne wrażenie.

— Cha! cha! bolesne wrażenie! powtórzył Darnocha, ale cóż ty tu robisz?...

— Ja się kuruję naprawdę... a nie gram nigdy i z pogardą patrzę na niedołęztwo próbujące zysku bez pracy... Jako twój dawny kolega pytam cię ... co się z tobą dzieje. Jeden z najlepszych uczniów zszedłżeś na ... takiego próżniaka!!

A! wiesz że mnie to boli.

— Ale niechże cię i nieboli i przeboli, jesteś jakiś podrażniony, egzaltowany, nienaturalny... Wypadki! Nie mam zajęcia, o miejsce trudno, przybyłem z jednym z moich przyjaciół... cóżem winien że kilka florenów postawiwszy od niechcienia.

— Ale ja patrzałem jak ty grałeś?

— No! i cóżes widział?

— Grałeś namiętnie.

— Smieszny jesteś, nie można grać bez tego, krew zakipieć musi.

— Więc nie grać.

— Ja prawie nie grywam... Ostatnie słowa wypowiedział Wicek z urazą i zamilkł — zamilkł

tę i towarzysza jego smętny i przybity. Ale po chwili dłoń ku niemu wyciągnął.

— Przepraszam cię, rzekł, uraziłeś się choć nie było o co. Dawna nasza przyjaźń i koleżeństwo dawały mi prawo odezwać się do ciebie jak do brata... Zabolalo mnie gdym cię poznał... uspokój mnie, wytłumacz mi... Wicku, przecież nie przeszedłeś do obozu tego, który z życia robi sobie igraszkę... tyś wart był innéj doli...

Wincenty obejrzał się w koło bacznie, potem krzesło przysunął bliżej do Augustyna, podparł się na rękę, przybrał postawę tragiczną, a że wygrany pieniądz który czuł w kieszeni dawał mu natchnienie, począł w następujący sposób.

— Słuchaj mnie i nie potępiaj — rzekł — nie sądzę wedle siebie boś silny i cierpliwy, Bóg ci dał charakter żelazny i krew zimną, ... ja mam temperament gorący a usposobienie niecierpliwe. Tak jest, mogłem i mozem być powinien pójść drogą inną, skończyłem jak wiesz nauki świetnie... nazajutrz po złotym medalu i patencie sądziłem że się o mnie ubiegać będą. Czekałem, ale nikt się nie zgłosił, potem o ile to się z pojęciem méj godności zgadzało, począłem czynić pewne kroki aby się gdziekolwiek umieścić. Obiecywano wszędzie... ale wszystko było zajęte...

Obliczywszy się z dniami i funduszami mo-

głem przewidzieć kiedy z medalem i patentem nie będę miał co jeść.

Poruszyłem protekcyę, starania robiąc, wycierając przedpokoje napróżno... Syn ubogiego oficjalisty, bez stosunków, byłem lekceważony, popychany i w końcu zmuszony do rozpaczliwego rzućcia się ze sfalszowaną postacią, mową... w salony, w towarzystwo arystokratyczne ... pod protekcyę starych pań różowanych i przekwitłych piękności.

Było to podle ... ale ze mną nie mogło być inaczej... od dnia gdy zacząłem kłamać, robić długi, grać komedye — zaczęło mi się powodzić... Praca mi nie szła, oszukiwanie doskonale... Myślisz że świat ten miałby poszanowanie ubóstwa, trudu, skromności?... o! nie, ale lubi pochlebców, potrzebuje dworaków, nie przebiera w tytułach byle zyskał zwolennika...

Tak wciągnąłem się w próżniacze życie, w potrzebę zbytku i okulem łańcuchem kłamstwa, którego już rozbić nie mogę... Sądz, potępiaj... ale niech w wyroku twoim i współsprawcy też zapomnianymi nie będą.

Milczał przez chwilę Gucio...

— Mój drogi, rzekł, łudzisz się... wyrobiłeś sobie fałszywe pojęcie położenia, świata, aby siebie uniewinnić. Tymczasem nikt tu, wierz mi, nie winien w tej sprawie, oprócz ciebie.

— Otóż go masz ... tak!

— Wicku kochany ... człowiek nigdy na nikogo oprócz siebie rachować nie powinien i nie ma prawa...

Ze społeczności chrześcijańskiej, braterskiej, stanowiącej wielką rodzinę przez miłość wspierającą się wzajemnie wyszliśmy niestety — doszliśmy do upragnionej emancypacji człowieka, do peryodu przejściowego, przez który do zespolenia ludzkości, na nowych jakichś podstawach zapewne, idziemy — tym czasem człowiek jest oddanym sobie i na siebie tylko rachować może.

Dziś potrzeba walczyć i zdobywać stanowisko, stać się potrzebnym ludziom, dowieść im swój wartości i powoli dobijać się pracą, trudem ... celu.

Nie przeczę że byłoby piękniej dla społeczności a łatwiej dla nas gdyby nas brała w opiekę, ale obwiniać jej nie można gdy tego nie czyni. — Chcieliśmy swobody, mamy ją.

Nigdy też na świecie nie było łatwem dojść do czegoś... Tyś żądał aby ci twój złoty medal wypłacono jak weksel ... *à vue* ... ale nauka i zdolność nie są jeszcze wszystkiem w człowieku...

— Jesteś i byłeś nudnym moralistą.

— Tyś płochy jak dziecko, mój Wicku, żal mi cię, bo z tym poglądem na świat, przebawisz

może młodość swą, ale na przyszłość nic się nie dorobisz.

Darnocha machnął ręką.

— Co mi tam... No... a ty surowy mój mentorze... a ty?...

— Ja idę pomalutku moją drogą.

— I potknąłeś się jak widzę? Cóż znaczy ta ręka na temblaku.

— To — przypadek na kolei... ale jest mi lepij, mówić o tém nie warto.

— Nie ożeniłeś się?

— Ja? spytał śmiejąc się Guccio — ja mamże do tego prawo ... nie wyrobiwszy sobie stanowiska?

— Twój ojciec jest bogaty.

— Tak — ojciec nie ja...

— Cóż myślisz ... do czego się bierzesz.

— Pójdę do handlu...

— Ty! zawołał ze zgrozą Wicek — ty! admirał Mićkiewicza... poeta... literat... ty! do handlu! i będziesz pieprz sprzedawał.

— Będę pieprz sprzedawał a wieczorami Mićkiewicza czytał. Życie ma swe ciężary, potrzeba umieć je ciągnąć i dźwigać...

Poezja jest osłoda, ale obowiązki przede wszystkim.

— Wiész co, rzekł Wicek, żeś ty się jeszcze

stał nudniejszym niż byłeś — to są wszystko frazy! trudno być anachoretą...

Gucio spojrzał na niego i nie mu nie odpowiedział... oba czuli, że się już chyba nie porozumieją, oba litowali się nad sobą wzajemnie.

— Długo bawisz w Wiesbaden? spytał Wincek odwracając rozmowę.

— Ścisłe tyle, ile mi nakazana zabierze kuracya. Przyznam ci się, że mnie to życie nie bawi a upokarza. Patrząc na ludzi starych, poważnych goniących za głupimi rozrywkami, za dystrakcyami dziecinnymi — wstyd mi czoło okrywa.

Dodaj do tego że jestem Polakiem i czuję położenie mojego kraju, obowiązujące wielce, — smutne a brzemiennie przyszłością. Porażto na rozpraszanie życia, mienia i czasu na zabawki?...

— Widzisz kochany Guciu — rzekł towarzysz, znowu wpadasz w te deklamacye bez określenia ściślejszego, bez znaczenia, oklepanki, ogólniki, achy... Chcieliżbyście aby Polska znowu wdziała żałobę i...

— Nie rozumiesz mnie... mamy rany do leczenia, mamy straty do powetowania, i pracy ogrom dla przyszłości.

Zniecierpliwiony pan Wincenty ruszył ramionami...

— Nie zrozumiemy się... mówmy o czém innym... Masz jakie znajomości.

— Żadnych. Dziś jakiś oryginał hrabia Starża przypytał się do mnie i raczył zapraszać do siebie, ale to towarzystwo hrabiowskie nie dla mnie, ja tam nie pójdę.

— Widzisz... hałasujesz na mnie, a przesąd kupczyka wyszedł mimowoli jak szydło z worka... dlaczego?

— Dlatego że się nie chcę narażać na upokorzenia, nie mam im co przynieść czémbym się wkupił w ich grono ... a

— A ja żyję z niemi, nie daję sobie chybić i bardzo mi z tém dobrze.

— Tak... ale czy im mówisz żeś synem ubo-giego oficjalisty?

Darnocha nie przyznał się że przed panią von Dorfer mówił o kupnie dóbr w Galicyi, mając całego majątku sto złotych w kieszeni — zamilkł gryząc usta.

Gucio się uśmiechał...

— Słuchaj, rzekł wstając — ja ciebie nie nawrócę, a ty mnie nie popsujesz... bądź zdrow... Jeżelibyś ostatecznie się zrujnował szukając szczęścia, a nie miał już co robić ... pamiętaj, że w sklepie moim w Poznaniu, czekać cię zawsze będzie, choć skromne miejsce komisanta... tylko... nie przy kasie...

— *Farceur!* odparł Wicek... *attendez moi sous l'orme, vous m'attendrez longtemps.*

Bez żartów, dobranoc...

— Dobranoc...

I tak ruszając ramionami rozeszli się dwaj towarzysze w strony przeciwne, — Gucio poszedł z książką do domu.

Byłby może pan Wincenty daleko opryskliwiej przyjął rady i przestrogi swojego dawnego współucznia akademii, gdyby wygrana wieczorna nie czyniła go pobłażającym, szczęśliwym i pełnym wyrozumiałości dla całego świata... Znajdował to bardzo pięknem ze strony Pana Boga, iż się na nim poznał i tak go dzielnie podtrzymał. Ale za ten złoty medal i za tak piękną twarzyczkę coś mu się też od Opatrzności należało. Honor jej czynił przecie.

Szedł litując się nad tym nieszczęśliwym pedantem Guciem... który świata i życia nie rozumiał...

Zwyczajnie kupczyk... syn kupca... krew nad stołem przykuta od wieków, zastygła i zgęstniała... On czuł w sobie szlachetniejszą rasę... i dumnie podnosił głowę...

Noc była prześliczna... księżyc jakby z dekoracyi teatralnej naumyślnie się wysunął i srebrzył ścieżki, brylantował fontanny, gdy gaz złocił pasami do koła aureole budynków i pstrzył ulice pod drzewami.

Ta mieszanina dwóch światel, dźwięki muzyki, gwar ciżby przechadzającej się, śmiechy wesołych kobiet, migające twarzyczki upięknione fantazją nocy... mogły najobojętniejszego człowieka rozmarzyć. — Teatralny ten obrazek, sztuczny, wrzawliwy, wielomby może nie przypadł do smaku, dla człowieka jak Darnocha był ideałem piękna. Nie pojąłby on majestatycznej poezyi puszczy i stepu, ale tę maleńką, przyprawną, wyelegantowaną, almanachową, ten pejzaż podobny do kolorowanej litografii... tę scenę tak przypominającą teatr... czuł całą duszą, zmalął i schudł.

Było to właśnie czego mu było potrzeba, aby w nim podnieść uczucie... Człowiek był sztuczny i pokarm kłamany...

W téj chwili szczęśliwego usposobienia i odwagi... ujrzał nie opodal stojących Ewelinę ze Starzą i... oczom nie wierzył z Potomskim.

Potomski oczewiście był obowiązany go przedstawić.

Obcesowo wpaść na to towarzystwo i prosić o zaprezentowanie, nie uchodziło. Darnocha postanowił skinąć na pana Ferdynanda i wezwać go do spełnienia obietnicy.

Ale nim mu się to udało wykonać, postrze-

żono go, Ewelina domyśliła się celu tych kołowań i przechadzek, Starża się uśmiechnął.

— Otóż lew krążący i szukający kogoby pożarł — odezwał się Starża. — Ostrzegam niewinną ofiarę aby się miała na ostrożności.

Ewelina szkiełko przyłożyła do oczów i śmiało zmierzyła potworę.

— Lalka — rzekła... nie jestem dziecko, przestałam się bawić niemi... ale tak jestem znudzona... że nie byłabym od tego aby mi go zaprezentowano...

— Właśnie zdaje mi się, przerwał zdradliwy Potomski, że jemu o to idzie wielce i że czyha na mnie.

— Dajże mu się pan złapać i przyprowadź go tu — tupiąc nóżką odezwała się piękna pani.

— Pozwalasz pani...

— Ja ostrzegam o niebezpieczeństwie, śmiejąc się dorzucił Starża...

— O!... proszę być spokojnym...

Ewelina już dostatecznie była uwiadomioną o Darnosze, aby wiedzieć jak sobie z nim postąpić.

W chwili gdy na pana Ferdynanda skinął Wicek, Potomski był gotów i pospieszył ku niemu.

— Nieprawdaż? chcesz abym cię przedstawił?

— Zdaje mi się, że w tém nie ma nic niewłaściwego?

— Owszem, chodź...

Nim Darnocha miał czas się zastanowić, jak ma w największym awantażu stanąć przed uroczą pięknoscią, pociągnięty, wymieniony po nazwisku już stał przed nią.

Ewelina przyjęła go zimno ale z ciekawością, Starża był milczący i zamknięty ... Wypadało rozpocząć rozmowę — przywykły do salonowego paplotania, Wicek się uśmiechnął i dosyć pospolitym sposobem zagaił, chwając Wiesbaden, wieczór, park i widok...

— Dziwi mnie to, że panu się może coś tak pospolitego i zużytego podobać — odezwiała się Ewelina — jest to dekoracya wielkiej opery. — Ja już jestem zepsutsza, mnie to ani bawi, ani dziwi... Znać żeś pan młody i nieużyty...

Wicek postrzegł, że poszedł drogą fałszywą, ale cofać się nie wypadało...

— Nie myślę, rzekł, upierać się przy mojem przekonaniu a raczej wrażeniu. Są ludzie co lubią naturę dzikszą, mniej przybraną, ja się przyznaje, że i pejzaż cywilizowany wolę od dzikiego.

— A! zawołała Ewelina — *chacun son goût...* Pan tu już od dawna? czy raz pierwszy?

— Niedawno przybyłem, ale nie poraz pierwszy... lubię Wiesbaden...

— Grasz pan?

— Czasem, ale bez namiętności.

— Któżby się do niej przyznał! Mnie gra nie bawi, ale ludzie przy niej bardzo zajmują. Biedne ludziska!

W czasie téj krótkiej rozmowy, Wincenty stawał w różnych pozach i nieco się desynował przed pięknoscią, która to pogardliwym, nieznacznym przyjmowała uśmieszkiem...

Był wszakże onieśmielony wielkim blaskiem kobiety, której wyższość i urok jój mimowolnie mu się czuć dawały... Żadna jeszcze w życiu takiego na nim nie uczyniła wrażenia... Nie wiem jakby dalej było poszło, gdyby z za drzewa, *deus ex machina*, nie zjawił się wcale dla Wicka nie w porę pan Hamowski...

Wprost poszedł do Starzy.

— Zaprezentujże mnie pięknej pani, rzekł ... nie godzi się bym przeszedł mimo i nie złożył jój u stóp hołdu mojego.

Ewelina słysząc to już się śmiała ... ale zobaczywszy pocziwą twarz Hamowskiego nieco jój przypominającą Pastranę — uczuła dla niej półlitościwą sympatyę.

— Mój dobry stary przyjaciel, pan Prokop Hamowski — rzekł Starża — zacność i pocziwość z kośćciami.

— Przyjaciele hr. Stanisława są z prawa moimi, odezwała się Ewelina podając mu rękę.

— A cóż Asińdzce po takich jak ja, starych, poczwarnych, domatorach ... wyglądalibyśmy przy niej jak łopuchy przy róży... Mimo to gdy zabłyśnie gwiazda, wszystko co żyje jój się kłania... Nie miej mi Asińdzka za złe że się do niej cisnę, dobrze to i popatrzeć na takie światło boże...

— Dla czegoż hrabia pana nie ostrzegł że nie lubię pochlebstw?...

— To pani masz moje słowa za pochlebstwo! No proszę! zawołał Hamowski... a ja przysięgam, że i połowy tego nie powiedziałem co czuję.

Spojrzał na Wicka który stał blady błagając oczyma miłosierdzia... pocziwy Hamowski ulitował się jego strachu...

— Jak się masz panie Wincenty, rzekł... oto dla wacpanów młodych tu miejsce ... nie dla nas... Myśmy powinni być z daleka.

— Przepraszam młodych, przerwała Ewelina i tego pana którego przed chwilą poznać dopiero miałam przyjemność — ale Starża wie najlepiej, że ja starych daleko nad dzisiejszą młodzież przenoszę...

Naturalnie mogą być wyjątki... ale skutkiem zapewne jakiegoś przymrozku który ich zwarzył w pierwszych dniach wiosny... młodzi ludzie nasi są kalekami ... ani czucia u nich, ani prawdy, ani serca, ani... porywu... Wiele rozumu, wiele nauki, ale co mi potem... mnie kobiecie.

— Słyszysz waćpan, panie Wincenty zawołał Hamowski, a brońże się... wydają wam wojnę...

— Nie podnoszę rękawicy, odparł Darnocha... nie czuję się na siłach do walczenia z urokiem słowa pani. Boleję nad tym sądem... ale...

— Ja więcęć nad nim boleję... niż pan, kończyła Ewelina, ale go zmienić nie mogę... Nie ma w was życia... Siwi jesteście w dwudziestym roku, doświadczeni w piętnastym, rozczarowani w dziesiątym... Nieodszownie przymrozek schwycił w kolebce...

— Wszyscy? odważył się szepnąć Darnocha.

— Przypuszczam wyjątki! Gdzieś może pierś matki osłoniła roślinkę wątłą... i mróz jęć nie zważył — ale... nie spotkałam wyjątku.

Wiek jest praktyczny, panowie jesteście praktyczni... życie jak te maszyny które tworzycie.

— Spodziewam się że mi pani otwartości nie wezmiesz za złe, rzekł ośmielając się Darnocha. Pani może masz słuszość, a myśmy téż może przymrozkowi nie winni... Zgadzam się na sąd, ale niech mi pani powie, szczerze i otwarcie czy kobiety są lepsze, czy więcęć w nich jest uczucia, serca, poezyi, poświęcenia?

Czy nie od kobiet powinien płynąć przykład?...

— Pan jesteś niesprawiedliwy. Nie zgadzam się, odrzekła Ewelina, ażebyśmy były tak martwe i ostygłe jak wy. Gdyby tak było, nie jesteśmyż

i my, istoty bierne i przez was ogłoszone za takie, odbiciem przez was stworzonego świata! Dajcie nam panowanie, a zobaczycie, że ludzkość na skrzydłach podniesiemy ku niebu...

Śmiejcie się panowie... ale ja będę prorokiem... Oto gdy przez was świat zlodowacieje, wystygnie, gdy wy go odrzecie z całej poezyi, z ideału, z uczucia, z tego czém on żył lat tysiące... gdy nareszcie wszystko okryjecie całunem i będzie smutno jak na cmentarzu a nudno jak na prelekcyi niemieckiej... postrzeżecie się, iż bez pewnego żywiołu i technienia świat żyć nie może... Naówczas... naówczas przez kobietę odrodzi się świat i ona królową jego się stanie, w jej piersi ocaleje to czego wasz rozum i nauka ani zastąpić ani braku dopełnić potrafi... przyjdziecie na kolanach błagać ją o iskrę dla rozpalenia znowu Znicza, który oświeci i ogrzeje ludzkość.

Epoka męzka się kończy... epoka niewiasty nadchodzi!

Starża załamał ręce...

— Koniec świata! zawołał — o moja śliczna pani... gdzieżeś to marzenie chwyciła latające motylem! powiedz...

— Przyniósł mi je mój smutek... odpowiedziała Ewelina...

— Moja dobrodziejko, odezwał się Hamowski,

jest około jedenastój, a ja o tej porze zwykle spać idę, jednakże mimo godziny spóźnionej, proszę o głos. To co asińdzka prorokujesz, już się nieraz działo... a u nas w Polsce... tyle było domów szczęśliwych ilu mężów pod pantoflem. U nas kobieta królowała zawsze... a ja nie powiem żeby nam z tém bardzo źle było... Tylko, moja dobrodziejko, wiesz asińdzka co to była za kobieta! to była niewiasta biblijna! bohaterka, a nie błyszczący motyl.

— Jak ja... przerwała Ewelina.

— Przepraszam, dodał Hamowski, waćpani dobrodziejka wyglądasz prawdzie na motyla, ale nim nie jesteś...

Tymczasem zagajam sesyą i solwuję ją na jutro...

— U mnie na godzinę trzecią na obiad, dodała w koło kłaniając się Ewelina, panowie wszyscy? wszak prawda.

Ona podała rękę Starzy i powoli poszła do hotelu.

— Ale to jest niepospolite zjawisko! rzekł Wincenty zdumiony, to fenomenalna ... istota.

Hamowski śmiał się.

— Kochanie, rzekł mu na ucho — tylko nie oszalej, ostrzegam cię ... bo z tego napewno nic nie będzie.

Gdy około pani Eweliny garnęło się i skupiało całe prawie towarzystwo polskie, starzy i młodzi, z pretensyami i bez pretensyi... reszta kobiet zupełnie była zaniedbana i osierocona. Czuła to mianowicie baronowa von Dorfer, która boleśnie była dotkniętą, że i ona i córka chodziły same, a nikt im nawet w smętnych nie towarzyszył przechadzkach.

Za pierwszém spotkaniem wybierała się ostro wyrzucać to szczególnie panu Darnosze... ale ten przylgnął tak do Eweliny, że ani go było już spotkać...

W braku innych widoków — pan Ferdynand Potomski zaprezentował się pani von Dorfer i dosyć był łaskawie przyjętym...

Jemu także ciasno i ciężko było wśród świetnego dworu czarownej owój pani... na wszelki wypadek bliżej chciał poznać baronowę i zbadać grunt...

Miał niezmyśloną chęć ożenienia... czas upływał, nic się jakoś nie nastreczało...

Baronowa ostrożnie bardzo... wszakże nie pogardziła jego towarzystwem. Przynajmniej nie chodziła już tak bardzo sama...

Na pociechę zazdrosnym, a na przekorę wielbicielom Eweliny... w chwili gdy się jój dwór coraz powiększał i groził pochłonięciem w siebie całego polskiego towarzystwa; nowa gwiazda zajaśniała na horyzoncie.

Była to istota tajemnicza, okrywająca się

mgłami, mało komu znana, ale przedstawiająca się od razu w blasku, który mógł współzawodniczyć z aureolą otaczającą Ewelinę.

Piękna ta pani która zwana hrabiną Kaisersfeld w towarzystwie rosyjskiem uchodziła za Rosyankę, z Polakami czasem mówiąc przyznawała się do pochodzenia polskiego, przez męża liczyła się do Niemiec, z matki podobno miała stosunki w Szwecyi, a wychowana we Francyi, mogła być wziętą za Paryżankę.

Była to kobieta nie pierwszej już młodości, ale jeszcze tak piękna że młodsze gasły przy niej.

Umiała bowiem być i była uczenie piękną; a sztuka nie mniejszą grała rolę w tém jak natura...

Zdawała się lub przynajmniej chciała uchodzić za bogatą, rozumie się że należała do arystokracji. Miała krewnych we wszystkich książętach krwi, panujących i najświetniejszych imionach. Ale jakoś mimo to nikt o niej nigdy nie słyszał... Z opowiadań zdawało się, że żyła na największym świecie, że była przyjmowaną na dworach i cieszyła się szczególnymi względami kilku głów koronowanych.

Trochę zarywała na niebieskie pończochy, czytała wiele, mówiła o literaturze umiejętnie, z niechcienia przyznawała się, że korespondowała z Larmartinem, była w przyjaźni z panią Sand, że znała

Hajnego, że Humboldt był jój poufałym... a Bulwer stałe z nią korespondował...

Szczyciła się nawet biletem poetycznym W. Hugo.

O jednym tylko mężu dotąd w żadnej rozmowie nie było nigdy wzmianki, mistyczna ta postać nikła tak, że ściśle oznaczyć nie było podobna... czy jeszcze istniała na świecie żyjących.. lub dostąpiła już chwały niebieskiej.

Hrabina Kaisersfeld przybyła do Wiesbaden nieznaną prawie nikomu... ale nazajutrz już miała dwór, przyjaciół, czcicieli, wielbicieli i koteryę.

Szczególniej mężczyźni powierzchowności pięknej i młodzi powoływani byli na służbę. Kazała ich sobie prezentować, a kto raz mówił z nią pół godziny, już był podbitym. Najwytrawniejsi potracili głowy, ale najdziwniejszym sposobem każdy z nich ubolewał nad towarzyszami a sam jeden miał się za najszczęśliwszego wyłącznie. Takich najszczęśliwszych było z dziesięciu...

Do kobiet nie tyle miała szczęścia piękna hrabina, wszakże potrafiła i z nich wkrótce uwić sobie dosyć piękny wianuszek. Rozumie się w otoczeniu swoim królowała.

Opisać jak wyglądała ta piękność dojrzała, posągowa... jest nad wyraz trudno. Twarz miała regularną i prawdziwie klasycznych rysów... białości

może nieco zbytcej, ale mączka ryżowa chłodzi w czasie upałów... Figura, kibić, ramiona i ręce nie zrównanych były kształtów...

Na pierwszy rzut oka czarowała, ćmiła, zachwycała... oczy jej strzelające śmiało, zabijały od pierwszego strzału.

Ta jednak była różnica pomiędzy nią a Ewelina, że urok pierwszej powoli słabł i siły pozbywał, gdy druga z każdym dniem go nabywała, przy bliższym poznaniu.

Hrabina Kaisersfeld była w najczystszej znaczeniu tego wyrazu — damą... ale artystką godną wieńców i oklasków.

Żadna rola najtrudniejsza nie odstręczała ją zadaniem, nawet naiwne młode dziewczętko grywała gdy było tego potrzeba...

Oprócz literatury i muzyki hrabina czasem się zajmowała po trosze polityką... ale przekonania jej były tajemnicą, gdyż ich nigdy nie wyraziła zbyt jasno, a strzegła się je objawiać całkiem w liczniejszym zgromadzeniu. W rozmowach poufnych wypadało tak, że czasem extra się okazywała monarchiczną, legitymistką i katoliczką, potem ultra-demokratyczną i radykalną, naprzemiany sympatyczną dla Polski, zagorzałą patriotką rosyjską... nieprzyjaciółką Napoleona i Francji, wielbicielką Bismarka i Prus... i naodwrot. Była to fantastyczność czy

rachuba... lekkość czy zbyt pobożanie dla drugich... nie wiemy. Ale nikt stanowczo o barwie hrabiniej wyrzec nie mógł — pewno była tylko ... przyjaciółką porządku.

Towarzystwo polskie zrazu niezbyt było skłonem zbliżyć się do hrabiniej która w obozie moskiewskim liczyła znaczne grono wielbicieli; wszakże zrezygnowała pani postarała się sama o polskie stosunki i urządziła swój czas i dom tak umiejętnie, aby dwa żywioły przeciwne nigdy się prawie w nim z sobą nie spotkały.

Zaraz w pierwszych dniach po przybyciu kronika Wiesbadeńska cała była jej doskonale znaną. Eweliny od wejrzenia na nią nie raczyła sobie podobać... nazwawszy ją — awanturnicą... W otoczeniu jej wszakże uderzyła ją szlachetna postać, szerokie ramiona i dystygowane bakembardy pana Wincentego i zawyrokowawszy, iż zdałby się jej na szambelana; kazała go sobie przedstawić — i Darnocha został przykuty do wozu.

Tu uczuł się odrazu w swoim żywiole... Naturalnie nowemi obowiązkami obciążony, nie mógł już być zbyt częstym gościem u Eweliny, ale ani on nad tém, ani ona nie ubolewała...

Na obiedzie zaraz pierwszym pan Wincenty pobity w rozmowie kilkakroć, widząc że nie czyni postępów, nie wywiera wrażenia, uczuł się zniechęconym.

Traktowano go jak młodego chłopaka bez konsekwencji...

U hrabinéj Kaisersfeld przeciwnie w kilka dni był poufałym gościem, miał swe godziny ... *tête à tête* i zdawało mu się, że go szczególnie zaszczycano względami.

Podniosło go to we własném przekonaniu, że się przecie na nim poznano ... a tu miał i ten widok, że przez stosunki hrabinéj mógł się wcisnąć do dyplomacyi jakiegokolwiek, co było życia jego marzeniem i ideałem...

Ewelina o tyle rada była przybyciu rywalki, że ta jéj natrętów i niepotrzebną część dworu na swój koszt zabrała. Zostali przy niej sami wierni i sympatyczni.

Gorzéj wypadło to dla baronowéj von Dorfer... której pozostał pan Potomski jeden, wierny wprawdzie, ale nie na wiele przydać się mogący — nie starał się bowiem ani o nią ani o córkę... ale kunktował...

Baronowa wnosila z tego że będzie się starał o nią... ale on się nie spieszył.

Oprócz Potomskiego był jeszcze ten z ręką na temblaku nieborak Gucio, który się zdaleka kłaniał pani baronowej, co ją zawsze niecierpliwiło, a rumieniło lica Julki...

Moroz od spotkania swojego ze Starzą tak umiejętnie manewrował w swych wycieczkach po parku, że się już z nim nie zszedł wcale. Starża opowiedział Ewelinie rozmowę, przyznał się do prawdopodobnie mylnego sądu o młodym człowieku, zrehabilitował i zaostrzył tem ciekawość wdowy. Ale napróżno polowano dotąd na Moroza... zejść go już ani na ławce, ani w ulicy nie było podobna.

Im więcéj wszakże unikał, tém bardziéj zaostrzał ciekawość... Ewelina powtarzała Starży — ale pokaż że mi pan raz przecie tego skromnego i cichego młodzieńca, któremu książka starczy za towarzystwo i który unika nas tak uparcie — ja chcę i muszę poznać tego oryginalnego kupczyka; dla saméj jego dumy.

Starża ruszał ramionami.

— Zkądże go pani wezmę? nie mogę go szukać przez policję i przyprowadzić gwałtem.

— Ale kiedy ja każę! śmiejąc się dodawała piękna pani...

— Gdybyś to pani powiedziała młodszemu niż ja ... westchnął Starża — ale niedołędze kula-wemu...

— Który przecie prześciga młodych i zdrowych i myślą i sercem i zręcznością.

— A! pochlebnica.

— Ale nie... nie! mówię prawdę, bo pana kocham, bardzo kocham... śmiejąc się powtarzała Ewelina i podawała mu rączkę. Naówczas Starża westchnąwszy najczęściej już nic nie odpowiedział... kończył westchnieniem tak silném jak przekleństwo...

— Jednego razu tak właśnie skończyli między sobą rozmowę, — a byli sami — gdy Starża spojrział w oczy pięknej swój przyjaciółce i rzekł powoli ...

— Że téż pani nie znasz ludzi....

— Ja? nie znam ludzi...

— Szczególniej starych, dodał hrabia... Nie wiesz pani że w nich przygasła stłumiona wiekiem, przysypana popiołami, okryta nie jednym całunem, żyje wszakże młodość... ze wszystkimi słabościami swemi... że stary tak dobrze oszaleć może jak osiemnastoletni młodzieniec pod gorącymi promieniami pięknych oczów, a jest to największe nieszczęście, najstraszniejsza męczarnia na jaką może być narażonym człowiek... i położenie upokarzające... Więc — mówię ci, droga pani... nie śmiěj się — nie uwodź mnie na pokuszenie.

— A! mój drogi Starżo! odpowiedziała smutnie — gdybyś choć ty się zakochał... wierz mi... już taka jestem biedna... taka biedna...

Hrabia śmiejąc się skłonił...

— Ale do... nie wiem czego — zawołał, ja bo nie chcę być tym... choć ty!

Ewelina zarumieniała się mocno.

— Oboje żartujemy — rzekła... Chodźmy szukać tego tajemniczego młodzieńca...

— Czy i jemu chcesz zawrócić głowę.

— Jemu i wszystkim kto się tylko nadarzy.

Szukając owego tajemniczego młodzieńca, który zdawał się tak starannie ich unikać, jak oni chcieli go znaleźć; trafili wcale niespodzianie na znajomość niepożądaną i niewygodną.

Był to petersburgski Polak, który gdzieś, kiedyś na pięć minut widział w towarzystwie Starżę, a teraz postanowił korzystać ze zrzeczności, aby się razem do niego i do pięknej Eweliny przypisać.

Starża zaledwie sobie mógł przypomnieć owego Jeremiego Pawłowskiego, który obyczajem kraju dodał był sobie jeszcze herb do nazwiska i zwał się panem Jeremim Lubicz-Pawłowskim. Na bilecie wizytowym figurował też herb z trzema krzyżykami u spodu i tytuł *Conseiller d' état etc.*

Jeremi od młodu był w służbie w stolicy w jednym z departamentów Senatu, a społeczność tatarsko-moskiewska, ta mieszanina dziwna barbarzyństwa i elegancyi, wykształcenia powierzchownego i demoralizacyi wewnętrznej nadała mu formy zupełnie odrębne któremi się odznaczał, pomimo że starał się pilno wyglądać na europejskie stworzenie.

Jeremi Lubicz Pawłowski miał lat zaledwie czterdzieści, ale wydawał się daleko starszym, bo go życie owo na szampańskim winie i niszczący klimat i zgniły oddech rozpusty przetrawiły zawczasu i zjadły. Nikt cały nie wychodzi z pod wpływu tych niezdrowych żywiołów.

Służba wreszcie, niewola przyodziana w jakieś zwodliwe formy liberalne i postępowe — cały tryb życia tylko obrachowanego na użycie i zbogacenie, spodliły do głębi nieszczęśliwą tę istotę, Lubicz przychodził do świata europejskiego z tak różnemi zasady, jeżeli je nazwać się godzi tém imieniem, iż musiał postępować jak najostrożniej aby co chwila nie wydać się z osłupiającém zepsuciem swém, przyjętém naiwnie jako konieczność i rzecz zwyczajna.

Dziwiły go co krok stosunki nowego dlań świata, równość ludzi, poufałość ubogich czujących godność swoją i pracy, brak poszanowania bałwochwalczego dla tytułów i majątku, naostatek i to że przekupstwo będące w Moskwie osią wszystkich

robót, wszelkiej sprawy, tu się uważało za srom i nikiemność.

Nawykły nie tylko do brania pieniędzy ale do pośredniczenia najwyżej położonym urzędnikom w ich tajemniczym chwytaniu na wsze strony; z sumieniem startem i zbrukanem, miał werniks cywilizacyi za starczące wynagrodzenie spodlenia... Zresztą wszelkie namiętności, wszystkie żądze, wszelkie sposoby ich nasycenia zdawały mu się uprawnionemi. Liberalizm jego poczęści się na tém zasadzał.

Z temi pojęciami petersburskimi Radzca Stanu przybył po raz pierwszy za urlopem do wód i prawdę rzekłszy po stolicy moskiewskiej i jój życiu uczuł się tu w tak dziwném położeniu, w tak nowój atmosferze, iż w niej po prostu żyć nie umiał.

Mimo najstaranniej ułożonej powierzchowności, w ruchu, w rodzaju wykwinności, słowie, minie. uśmiechu nosił tak wyraziste piętno tatarszczyzny... iż jedna tylko omyłka była możliwą... brano go niekiedy za trochę otartego Persa lub Turka... za Polaka niestety nie było sposobu wziąć go, chociaż się do pochodzenia tego zagranicą przyznawał, a tań starannie, iż był niegdyś przyjął już prawosławie, bo mu z tém było wygodniej.

Do religii zresztą jak do narodowości nie przywiązywał żadnego znaczenia.

Od dość dawnego czasu moskiewscy postępowcy, schwyciwszy kilka fałszywych idei socjalistów europejskich, z młodzieńczą fantazją i całe po tatarsku wyrobili je na swój sposób. Tego mieszańca kilku niedorosłych prawdek a mnogiéj ilości zarozumiałego fałszu używa dziś Moskwa jako nowego systemu, jako nowéj podstawy społecznej.

Potrzeba się zbliżyć do Moskali, żyć z niemi, obcować, aby zrozumieć do jak ostatecznego szalu może doprowadzić zasada na pozór bardzo piękna, gdy padnie na taki grunt nieuprawny i wiekami zachwaszczony.

Wszystko, co społeczność europejska przeżyła, przepróbowała, przeboleła, i złożyła jako połamane narzędzie między złomy — tu wychodzi jako młode, żywe i nowe na scenę!

Ale dodatki jeszcze miejscowe przystrajają te doktryny, a jedyna tradycja, jaką zachowali Moskale z wieków barbarzyńskiego, pogańskiego komunizmu... czepia się wszystkiego. Tradycja ta ukazuje czasy z przed emancypacji człowieka jako prototyp, do którego ma zdążać społeczność. Godzi się ona cudownie z despotyzmem, który z masami czuje się bezpieczniejszym niż z klasami, jakie cywilizacya wyradza.

Wszystko zbić w masę, intelligencye, mienie, ziemię, a potem wydzielić po równo wszystkim, nie dać się podnieść żadnej wyższości nad poziom... stwo-

rzyć kraj, w którymby Car i lud tylko istniał, czerń posłuszna — to zadanie doktrynerów moskiewskich. Oprócz tego zniwelowania, radziby narodowości téż, wiary, wszystko, co w żywocie ludów stanowi ich indywidualność, od siekiery zciosać na jednkie bryły i bierwiona.

Najbardziej krańcowe socjalizmy i komunizmy nigdy tak daleko nie sięgnęły jak tu. Wszczepiono te nauki młodzieży, znacznej części ludu, biurokracyi, a w ostatnich czasach ożeniono je z patryotyzmem i pchnięto w najwyższe sfery rządowe.

Lubicz Pawłowski także im hołdował, — zdziwił się niezmiernie znalazłszy w cywilizowanej istocie Europy to co uważał za nowość i postęp, rzucone między stare rupiecie...

Przez kilka godzin można było mówić o rzeczach ogólnych, obojętnych nie postrzegłszy w nim skałmuczonego, ale najmniejsze potrącenie o kwestyę społeczną odkrywało dzikiego człowieka.

Zbyteczném byłoby mówić że Lubicz grał za pamiętane, że był kobieciarzem obrzydliwie rozpustnym, że jedzenie i picie uważał za cechy zdrowego postępu i liberalizmu. — Bez szampańskiego nie siadał do stołu, ... kosztował wszystkiego co najdroższe... Rzucał pieniędzmi przez próżność, a z ludźmi obejść się nie umiał, bo Radzca Stanu był wedle

jego pojęć, istotą uprzywilejowaną — jednym z amatorów tego bóstwa, które się zowie — Car.

Wszystkie te cechy jego charakteru i nałogi życia, czyniły zeń istotę dosyć niezdolną, choć w pierwszém zetknięciu nawet dość miłą. Dopiero dłuższe obcowanie odkrywało choroby nieuleczone, gnileca tego z którego nic już podźwignąć nie mogło.

Nie był to człowiek ograniczony, ale pracował mało, nie czytał nic prócz tego co rozrywało chwilowo, a powierzchowne swe wykształcenie winien był tym okrucichom wiedzy które przynosi rozmowa.

Ujrzawszy Ewelinę tak piękną, tak śmiałą i otwartą, tak lekceważącą ściślejsze formy towarzyskie, Lubicz wyobraził sobie że trafił na petersburską piękność posuwającą emancypację aż do ostatecznego sponiewierania się.

Przylgnął więc rozpustnik do zachwycającej pani, omyliwszy się zupełnie, a przyniósł jęj i Starży ciekawy w sobie egzemplarz nowego hybryda.

Ewelinę drażniła ta postać zagadkowa i w europejskiem towarzystwie całkiem nowa, choć w moskiewskiem pospolita. To co opowiedział naiwnie o swęj stolicy zdawało się niepojętém a było prawdziwem. Jako wtajemniczony w życie dworu i klas

wyższych wiedział wszystkie ciekawe anegdotki, malujące chorobliwy stan moskiewskiej społeczności.

Były w nich rysy nie do wiary dziwne a pełne znaczenia.

Mimowolnie Starzy przychodzili na myśl porównania Rzymu za czasów Atylli z Europą naszej epoki i Moskwą. — Tak cywilizowany a zniedołężniały Rzym poglądał na to barbarzyństwo które go zalać miało.

Dziś po raz wtóry gotuje się ten sam katalizm, powtarza z osobliwszą jednością charakteru... przewiduje... i zapobiedz pono nie będzie mu podobna.

Lubicz był naturalnie dodatkowo jeszcze pansławistą, zdawało mu się czemś bardzo szczytném zabicie milionów ludzi w jedną nieokreśloną masę słowiańską pod berłem białego Cara ...

Polskie tradycje wygasły w nim zupełnie, języka prawie zapomniiał... Z całej przeszłości wszakże zachował jedno wspomnienie, umiał nutę i słowa mazurka Dąbrowskiego i -- dziwna rzecz — ile razy mu one zabrzmiały, zgniły ten człowiek płakał, zwilżały mu się mimowolnie powieki, drgało serce — moskał nikł — na chwilę z popiołów odradzał się jeszcze Polak.

Ale to nie trwało dłużej nad brzmienie mazurka.

Ewelina po kilku rozmowach i instynktem kobiecym poczuła w p. Lubicz Pawłowskim to, czém on był w istocie. Rozumiała ona, że słaby z charakteru stał się tym hybrydem mimowoli ulegając wpływowi środka, w jakim żył. Niższe istoty karmiąc się i mieszkając w liściu zielonym, całą jego barwę przybierają. — Ludzie są także czasem owemi zielonemi gąsienicami.

Upadły ten człowiek zdał się jéj wszakże zdolnym uleść zdrowszym wpływom i pozwoliła mu iść za swym wozem, zchodząc niekiedy aż do popularnego wykładu całę przeciwnych tym doktrynom, które Lubicz bez samowiedzy wyznawał.

Lubicz, który był chciw towarzystwa pań pięknych, pociągniętym téż został łatwo przez hrabinę Kaisersfeld, a z tą jako z mieszkanką niegdyś stolicy i pół rosyanką cudownie się rozumieli. Tak i Radzca Stanu był dla niéj pospolitym, zwyczajnym, dla niego taka hrabina była zrozumiałą i powszednią. Bywał przecie na dworze...

Chwilowa wszakże rozrywka, jaką się stał ten nowy przybysz, nie zraziła Ewelinę od poszukiwania młodego człowieka z ręką na temblaku.

W rozmaitych dnia porach przechodząc park, a szczególnie w tych godzinach, gdy w nim najmniej osób bywa, udało się wreszcie Ewelinie,

w towarzystwie Starzy, znaleźć raz samot^{nie} ~~trzeć~~ się przechadzającego Gucia...

Nie uciekł nawet na widok podchodzących do niego ...

Ewelina zmierzyła go ciekawemi oczyma kobiety, która szuka jak Diogenes... człowieka. Na pierwsze wejrzenie zdał się jój chłodnym i prozaicznym. Jest to losem ludzi, co nie grają komedyi i nie polują na posagi, że się pospolitym oczom wydać muszą — prozaicznymi, zwyczajnymi. Ale Ewelina miała zbyt wiele trafności sądu i uczucia, by po chwili pod tą nieobiecującą powierzchownością nie odkryć wcale niepospolitej istoty.

— Już téż pan jesteś nie do przebaczenia dzi kim i potrosze dziwakiem, rzekł Starża witając się, że tak od ludzi uciekasz... Szukam pana od kilku dni oto z tą piękną panią, której brak towarzystwa równie jak mnie, by was koniecznie w nasze wciągnąć — a zdaje się, że umyślnie unikasz... bo nigdzie pana spotkać nie można. Pan Augustyn Moroz z Poznania, dodał prezentując.

— Baronowa Ewelina Skrzycka...

Augustyn skłonił się skromnie.

— Niezmiernie mi ta wymówka pochlebia, odpowiedział, znak to, że z naszej pierwszej, krótkiej rozmowy niezbyt złe o mnie pozostało wrażenie... Dzikim ani dziwakiem nie jestem, do mizantropii za

młodym i nie czuję w sobie usposobienia, ale zdaje mi się, że panu hrabiemu wypowiedział moje przekonanie co do... stosunków...

— Tak, rzekł Starża, ale, zmiłujże się — u wód! u wód przyjętém jest robić wiele i łatwych znajomości.

— Szanowny hrabio, ja nie należę do tych, którzy z pobytu u wód robią sobie rodzaj Saturnaliów i wyjątkowe jakieś chwile... Życie zawsze nawykłem brać seryo.

— Masz słuszość, odparł Starża — przyznaję się, że to powiedział bez myśli. Ale... tém bardziej go poznać pragniemy... mało nas jest.

— Mało, dodała Ewelina — takich, z którymi by dłużej wyżyć można i żądało się ... Pańskie osamotnienie dowodzi, że to nasze przekonanie podzielasz. Jest już więc pewna zgodność opinii, pewne współluczucie co nas zbliża, powinniśmy się zrozumieć.

Augustyn znowu się uklonił z jakimś dziwnym uśmiechem na ustach.

— Pani, rzekł — znowubym dziękować powinien... a tymczasem lękam się tylko, bym dobrej, zbyt pochlebnej o mnie opinii przy bliższym poznaniu nie stracił.

Ta wymiana kilku pospolitych i ciężko jakoś wyłożonych grzeczności, zniecierpliwila żywą Ewelinę...

— Bawim się w słowa, zawołała, jak dzieci w piłkę, podrzucając sobie cześć komplementa... dajmy już temu pokój... chodź pan z nami... masz pan wiedzieć, że jestem stworzenie dziwaczne, znudzone, samowolne... że szukam rozmowy i ludzi... że nie zważam na formy światowe... że tęsknię za poezją życia... słowem, że jestem popsute dziecko... Pan mnie intrygujesz... chcę pana poznać i każę panu z władzy méj kobiecój... iść z sobą a więcej nie uciekać ode mnie. Powiedzże mi pan, dlaczego od ludzi stronisz... ale bez obwijań, bez bawełny... tak szczerze prosto, jak człowiek do człowieka mówić powinien, gdy się kłamstwem brzydzi.

— Ale hrabia powinien już być powtórzyć moje przed nim tłumaczenie?

— Hrabia! hrabia mi to źle jakoś wyłożył, chcę to słyszeć z ust jego, aby się z nim sprzeczać.

— Jestem synem kupca i kupcem... nie należę więc do tego świata co państwo... w waszém towarzystwie byłbym zawsze intruzem... Nabijać mu się nie widzę powodu...

Ewelina stanęła i spojrzała nań.

— Co to jest kupiec i syn kupca? spytała — Czy jesteśmy w Indyach? Dlaczego pan towarzystwo wykształcone masz za tak wyłączone?..

— Bo ono niém jeszcze jest, rzekł Gucio.

— Czemuż go przerobić się nie staracie... dlaczego to nie miało być posłannictwem waszém, jeżeli czujecie godność i równość swoją. Tém usuwaniem się właśnie odosobniacie starą arystokrację i trzymacie ją w jej zamkniętém kole... Wiele w tém z waszej strony i dumy jest i... pozwól sobie powiedzieć — lenistwa duchowego ... nie kochacie nas więc jak braci?

Gdybyście w istocie mieli ku nam miłość chrześcijańską; a nie pogańskie uprzedzenie — szli byście z apostołstwem gorącym przebojem do tych salonów, które są odgradzone od świata, wnieśli byście do nich żywioł nowy... zdrowy, ożywczy...

Moroz wysłuchał, spojrział na śliczną panią mówiącą z zapałem i skłonił przed nią głowę z uszanowaniem.

— Dajesz mi pani tak dobrą naukę, tak zdrowy pogląd na sprawę stosunków społecznych, że jakkolwiekbym się z panią rad pokłócić, nie mogę. Masz pani słuszność — w tym względzie nie jesteśmy na wysokości naszego stanowiska. Coś jednak się da powiedzieć na ułagodzenie sądu... Przeszłość cała, byt długi w podrzędném położeniu, upokorzenie wiekowe nie pozwalają nam odrazu poczuć w sobie siły, jaką mieć powinniśmy... Jest to słabość, nieudolność, ale *avec des circonstances atténuantes*.

— Na to się zgadzam, zawołała Ewelina... Są też ze strony téj niby arystokracji nieboszczki podobne łagodzące okoliczności, które tłómaczą, że i ona pierwszych kroków nie czyni, choćby może powinna...

— Przypuszczam je i przyjmuję, odpowiedział Moroz, więc wzajemnie — przebaczenie.

— O! zgoda! przebaczenie! przejednanie, miłość i pokój... gdzież potrzebniejsze są, bardziej obowiązujące jak u nas... dodała Ewelina. Naród nękanym, prześladowanym powinienby choć instynktem zwierzęcym skupić się jako jeden mąż ku obronie.

— A rozbija się, dodał Starża — jak trup, z którego uleciała dusza... Jest w tém coś fatalnego, coś przerażającego! Patrz pani, jak my sami pracujemy, aby sobie wszelką siłę odebrać, jak u nas wszystko się rozdrabia, rozprasza... przerabia w antagonizmy, w boje... w niechęci...

— To są skutki, rzekł Guccio — jeżeli się nie mylę — wszelkiej wielkiej niedoli... skutki jakiegoś popłochu, który odosabnia i rozbija, dopóki rozmyśl nie powróci stracony... dopóki trwa przerażenie bezrozumne...

Zdaje mi się, że ono ustać musi, że w narodzie znajdzie się ktoś, co nam ową myśl wypowie, potrzeby sformułuje i uderzy masy, które pójdą za nim.

Nie można się nigdy spodziewać po instynkcie, aby przeszedł granice, w których jest możliwy... instynkt ma sferę działania ograniczoną... Dalej już musi go zastąpić dla tych, co samoistnie iść i wieść się nie mogą — rozum ludzi wybranych, tych mężów opatrności, których roli przeważnej żadna teoria historyczna obalić nie potrafi...

Nam, niestety, dotąd brakło i braknie dziś jeszcze przewodzców narodu... wielkich światel, charakterów wielkich... potęg tych, co moralną dyktaturę chwytają i trzymają w silnej dłoni. Nigdy ona potrzebniejszą nam nie była... ale — oglądam się, szukam i męża opatrności nie znajduję...

Ewelina słuchała z wielką uwagą, a poważny zakrój rozmowy, dając jej miarę człowieka, powiększał zajęcie nim. Moroz przewyższał wszystkich, co ją otaczali, z wyjątkiem Starzy. Było to miłe i niespodziane zjawisko.

— Słyszac pana tak zdrowo sądzącym o sprawach naszych, tak piękne mówiącym rzeczy, do prawdy podwójnie się gniewam na pana, że uciekasz od ludzi.

Ale słuchaj pan... ja mam moją teorię, w której rolę wielką gra kobieta... ja wierzę w nasze posłannictwo i siłę, i w imię ich jeszcze rozkazuję panu ...

Podala mu rękę.

— Bądźmy przyjaciółmi, choćby na czas pobytu w Wiesbaden...

Augustyn tak się czuł swobodnym w tém towarzystwie... iż z prawdziwém uczuciem wdzięczności podał rękę Ewelinie.

— Słowo?

— Słowo...

— Otóż jeszcze mały komentarz, który panu jego obowiązki określi. Jem obiad o trzeciej w hotelu *vier Jahreszeiten*, ile razy zechcesz przyjść do nas i uprzyjemnić mi tę chwilę smutną karmienia bydłęcia... będę panu rada, przyjmuję przed obiadem od 12tej, po obiedzie do herbaty, a od herbaty... do białego dnia, jeżeli się muzyka i rozmowa bardzo przeciągną ... Drzwi moje stoją otworem zawsze...

Zlituj się pan, tylko wybij sobie z głowy, żebyś mi mógł być natrętnym. Ja jestem aż do śmieszności prawdomówna... gdy się nudzę ziewam głośno, a gdy chcę być samą, drzwi bez ceremonii zamykam...

Właśnie w porę skończyły się te układy, by na podanie uprzejme ręki Eweliny panu Morozowi, przechodząca w towarzystwie Potomskiego pani von Dorfer patrzeć mogła... Baronowa wniosła ztąd, że to być musiał *extra* - przyzwoity młody człowiek

i posmutniała myśląc, iż niepotrzebnie odwracała się od niego, gdy się im kłaniał...

Wkrótce też do towarzystwa Starży i Moroza, przybył Lubicz Pawłowski chwilowo zwolniony przez hrabinę Kaisersfeld, która *cour pleniére* trzymała przed kursaalem, zgromadziwszy koło wielkie prze-rozmaitych narodowości.

Pawłowski nadszedł jak zawsze wesół, wy-elegantowany, z uśmiechem zimnym na ustach, który miał za cechę wysokiej cywilizacyi...

— Cóż tam słyhać panie radzco! spytał Starża.

— Amerykanin, który jak pan wie zapewne, panie hrabio, wygrał zawczoraj 50.000 franków...

— Przegrał? to naturalna...

— I te pięćdziesiąt i drugie tyle swoich...

— Strzeliłże sobie w łeb czy nie?

— Dotąd jeszcze żyje...

— Książę Sazonów?

— Wygrywa! to szalone szczęście! Znam Ja-kimfa Agatonowicza jeszcze z Petersburga... jemu się tak zawsze powodziło... Niewiadomo, co ten czło-wiek ma za talizman szczęścia. We wszystkiém mu szło... Cztery razy był pod sądem, wyszedł czysty i jeszcze drugich pogubił, ożenił się z wdową po bogatym kupcu, która mu zapisała dwa miliony i umarła w pół roku... Na dworze jak on położony!

z Adlerbergami przyjacieli! Przez niego się robią wszystkie sprawy...

Byłby paplał o tym Salomonie nieszczęsnym, gdyby mu nie przerwał Starża.

— Widziałem pana w towarzystwie hrabinéj... wesoło się bawicie...

— Szkoda że państwo nie znacie Maryi Sergiejewnéj... to kobieta, którąby pani oceniła! To rozum ministeryalny! to dowcip... to nauka, panie... to druga księżna Lieven, dyplomatka... a piękna! ach!

— Kochasz się pan w niéj panie radzco, spytała Ewelina.

— Pani, ja — ja się kocham we wszystkich na świecie pięknościach, nigdy się zdecydować nie mogłem na wyłączną miłość dla jednéj. Taka już moja natura! Patrząc na Maryę Sergiejewnę kocham się na zabój w niéj, a nazajutrz w innéj i tak...

— Dobrze że się pan do tego przyznajesz.

Radzca się rozśmiał głupowato.

— Ale tam do hrabiny naszéj, kto się docisnie... tam panie dwór i konkurentów do jéj wejrzeń, tłumy i — ja zdaleka wielbiciel... Ot, Polak jeden zdaje się Darnocha czy 'coś... tam nadskakuje jak szalony...

Moroz ruszył ramionami.

— Jak się panu gra wiedzie? zapytała Ewelina.

— Mnie — pomaleńku, ani źle ani dobrze, jestem bardzo ostrożny, odparł Lubicz Pawłowski...

O czém inném nie podobna z nim było mówić, chyba jeszcze o karcie obiadu w kursaalu...

Sam on to czuł i zwykle wyczerpawszy temata rozmowy kłaniał się i odchodził — i tym razem stało się podobnie, kilka komplementami obdarzył Ewelinę, zdjął kapelusz, pokazał łysą głowę i wszedł do sympatyczniejszego towarzystwa hrabiny Kaisersfeld.

Tak upływały dnie sezonu w Wiesbaden z małemi odmianami w wycieczkach, nowych znajomościach i zabawach.

Ci, co przybyli istotnie dla zdrowia, byli dosyć zadowolnieni, ci co przyjechali dla rozrywki, rozmaicie mówili i sądzili o tym roku, ale panie i panowie z projektami matrymonialnemi — przebąkiwali o zmianie pobytu na Homburg, Baden lub Nauheim nawet.

Baronowa von Dorfer odzywała się, że jój tu nie służyło powietrze, w istocie ona była może najnieszczęśliwszą. Oprócz bardzo podrzędnie wyglądającego Potomskiego nie potrafiła przywabić nikogo, ani sobą, ani córką. — Julce z tém było obojętnie, bo się jak dziecko bawiła, ale matce ściślej obracho-

wujacéj się z czasem... rzeczy przedstawiły się inaczej. Stracony rok!! rok! stracona podróż — i nie pierwsza dawały do myślenia.

W samotnych swych przechadzkach, majestatyczna dama mówiła sobie:

— Gdyby ten Potomski... oświadczył się o mnie.. nie byłabym może od tego... Dosyć zakonserwowany, prezentuje się przyzwoicie, ma *żargon*... ma majątek jakiś (choć pewnie odłużony)... jużbym i za niego poszła, to wdowieństwo, *c' est une position fausse*. Julka jest dość ładna, by się wydała nawet bez posagu... to pączek... ale... to będzie cudo!..

Samo jéj zdrowie delikatne nie dozwala myśleć o prędkim zamażpójściu...

Nie mogła baronowa von Dorfer przebaczyć odstępstwa szczególniej pięknemu Wincentemu Darnosze, który przeszedł *avec armes et bagages* do hr. Kaisersfeld...

Pocieszało ją tylko to, iż słyszała na swe uszy, jak Hamowski mówił, że był synem oficjalisty...

Całe towarzystwo polskie codzien się zmniejszające i powiększające przypływem i odpływem gości — zachowywało zawsze jeden właściwy charakter różnobarwny... nic mniej nie było do Polaka jednego podobném nad drugiego Polaka...

Polacy z Wołynia... z Kongresówki, z Galicyi, z Księstwa... nawet językiem swym mówiąc nie zawsze się rozumieli, a cóż dopiero wyobrażeniami! Nikt też może więcej nie unikał nikogo nad nich, gdy się z ziomkami spotykali... Para prób zjednoczenia jakiegoś nabożeństwem, zabawą, wspólną myślą, zupełnie się nie powiodły... Z pod moskiewskiego knuta wyrwańcy wiedzieli, że mają po za sobą szpiegów, obawiali się mówić z braćmi...

Zwłaszcza w pierwszych dniach... chodzili osamotnieni ... w publicznych miejscach nie śmiejąc przemówić po polsku... aby wróciwszy do domu nie przypłacili chwili swobody kontrybucją i wygnaniem.

Było to wieczorem późnym, księżyc nie zszedł jeszcze... mrok opasywał park pusty... sale gry za to świeciły rzesistemi blaski... a na krzesłach przed pałacem rzadka widać było albo już zgranych, filozoficznie rozmyślających nad niestałością losu lub wycofanych od stołu z małym zyskiem i cieszących się własną roztropnością... kilka cygar czerwonemi końcami błyszczało w mroku... kelnerzy przesuwali się zwolna.— czuć było że ruch i życie całe skupiały się w téj chwili około zielonych stołów...

Z wyciągniętymi szyjami, z wlepionemi oczyma

w ruletę, młode kobiety, starcy siwowłosa, dzieciaki bezwase... ścigały dziwaczne losu przemiany... Wśród ciszy złowrogięj, ledwie kiedy niekiedy spór jaki namiętny półgłosny przerwał duszącą atmosferę tego milczenia śmierci...

Hrabina Kaisersfeld siedziała wygodnie rozłożona w fotelu, który jęj adoratorowie potrafili zdobyć w restauracyi, miała wygodny podnózek, i paląc cygaretkę, zdawała się rozmyślać głęboko... Na ten raz ruleta odkradła jęj niemal wszystkich zwykłych asystentów: a brzydka ospowata, milcząca towarzyszka podróży, panna Herzog dotrzymywała jęj jedna placu, z miną kwaśną i znudzoną.

Po chwili tego osamotnienia, gdy drugą cygaretkę dobywała już hrabina postrzegła nadchodzącego Darnochę, który szedł z sali gry i z czoła pot ocierał. Odwróciła głowę.

— *Chère Claire*, rzekła pocichu... *faites un petit tour... j'ai deux mots á dire á ce petit monsieur...*

Nawykła do biernego posłuszeństwa, odchożenia i przybywania na zawołanie panna Herzog, poczęła się natychmiast przechadzać nad sadzawką, jak gdyby z własnej woli, hrabina zwróciła się do Darnochy.

— Zapal pan cygaro, daj mi ognia, rzekła żywo — i siadaj tu przy mnie... tu — blisko. Czy przegrałeś?

— Trochę! rzekł stłumionym głosem Wincenty.

— Ale nie wiele?..

Darnocha nadto był dumnym, żeby się przyznać, iż się zgrał do ostatniego florena. Szczęściem długi były popłacone.

— O! nie — *une bagatelle!* odpowiedział.

— A drudzy? spytała hrabina.

— Kto taki, pani?

— Nasi znajomi.

— Grają z szczęściem różném, rzekł Wicek... nie bardzo uważałem.

— *Cela se conçoit, le jeu absorbe...*

— To szczególna rzecz, dodała po chwili — jak wiele jest Polaków w Wiesbaden... Czyby mieli tu jakie narady!..

Ostatnie wyrazy wymówiła cichszym głosem.

— Narady? podchwycił młody człowiek... nie sądzę...

— Ale bo oni zawsze spiskują...

— Przynajmniej już nie dziś, jak mi się zdaje... odpowiedział Darnocha...

— A mnie się zdaje, że się pan łudzisz... albo mało jesteś zawiadomiony o tém, co się dzieje albo... ale nie przypuszczam: żebyś mi pan tego, co wiesz i myślisz, powierzyć nie chciał?

— A! pani, zawołał Darnocha, jakże można coś podobnego pomyśleć nawet! ja... ja...

— Więc chyba nic nie wiesz?..

— Zupełnie nic...

— Mnie się zdaje... widzisz pan, są tu ludzie ze wszystkich stron Polski, to rzecz uderzająca... Wszyscy się skupiają w pewnych domach, chodzą z sobą, mówią cicho... *ile a du louche... ils sont donc incorrigibles...*

Hrabina zamilkła na chwilę.

— Doprawdy, rzekła pocichu — ludzie serca i rozumu powinni raz koniec położyć temu polskiemu szaleństwu. Boć nareszcie nie pierwsi Polacy doznają losu narodu podbitego. Cóż na to poradzić? tylko umieć przyjąć wolę przeważną wypadków... zgodzić się z dołą, z położeniem...

— I ja tak sędzę, odezwał się Darnocha.

— *Mais il faut agir dans ce sens*, mówiła hrabina — wreszcie zbliżyć się do téj Rosyi, w której rękach są bądź co bądź losy wasze...

Ja sama, dodała — mam w żyłach jakąś kropelkę krwi polskiej... los Polski mnie obchodzi...

To mówiąc obejrzała się bacznie...

— Przysuń się pan tu do mnie...

I poczęła coś szeptać powoli, długo na ucho Darnosze., który słuchał, bladł, zżymał się, na ostatek spokorniał i gdy rozmowa niedosłyszana się skończyła, wstał z twarzą w płomieniach, z sercem bijącym, upokorzony, przybity...

Ciche te szepty trwały długo, chwila była wybornie wybrana...

— Przyjdiesz pan do mnie jutro rano o dziesiątej, dodała w końcu hrabina — nie każę przyjmować nikogo... *nous en reparlerons...*

Najzepsutszy z ludzi gdy stawi w życiu krok stanowczy, który o przyszłości jego ma rozstrzygać, gdy mu się przyjdzie rozstać z głosem sumienia i drogą, jaką one wskazywało — doznaje niepokoju i trwogi...

Nie wiem w jakim położeniu znajdował się Darnocha, ale twarz jego, ruchy, zdradzały człowieka walczącego z samym sobą. Hrabina już była odjechała z panną Herzog i młodym Rosyaninem, który ją miał tylko do progu hotelu odprowadzić, Wicek chodził wzdłuż kursaalu, chłodząc się, obcierając czoło, wzdychając, rwąc rękawiczki i miotając jak opętany.

Wprawdzie i wypadek gry mógł się do tego rozdrażnienia przyczynić, ale inaczej się objawia upokorzenie zgranego, inaczej trwoga opanowująca na brzegu... przepaści, w której ma utonąć — poczciwość —

Z krzesła zakrytego cieniem kasztana patrzył nań długo, badawczo, uważnie Guccio Moroz. Znaj-

dował się tu wypadkiem, gdy Wicek wyszedł zgrzany, gdy przysiadł na rozmowę z hrabiną... nie słyszał on nic, a czuł wszakże co się stało... Postawa Wicka utwierdzała go w domysłach, które obudziły przypadkowo osiągnięte wiadomości o hrabinie.

Jeden z towarzyszków uniwersyteckich Gucia, wstąpił był do Wiesbadenu dla widzenia się z nim, zobaczył hrabinę i opowiedział mu jęj historję z dobrego zaczerpniętą źródła.

Od kilku dni zbierał się Moroz ostrzedz Dar-nochę... zdawało mu się, że nie ma już chwili do stracenia. Wstał więc z krzesła i gdy Wicek wybierał się już odejść, pochwycił go za rękę...

Niespodzianie tak zaczepiony wzdrygnął się i zachnął, jakby go na gorącym jakim złym schwytano uczynku... ale ochłonął zaraz postrzegłszy przyjaciela...

— Czekał, mam ci kilka słów do powiedzenia, rzekł Gucio.

— A ja... to szczęście że się spotykamy, chciałem iść właśnie do ciebie.

— Ty, do mnie...

— Tak jest, stłumionym głosem odezwał się Wicek — tak... mam do ciebie — prośbę.

Stanęli naprzeciw siebie. — Oba zakłopotani — nie wiedzieli, od czego rozpocząć. Augustyn wszakże pierwszy odzyskał władzę nad sobą.

— Powiesz mi, rzekł, co chcesz odemnie, a jeżeli rzeczy dla mnie możliwej zażadasz, bądź pewien, że ci jój nie odmówię... Tymczasem, mam ci udzielić przestrogę i z tą spieszę, bo zdaje mi się, że czas jest wielki. Widuję cię codziennie w towarzystwie hrabinéj... jesteś z nią poufale... codzień bliżej, czy wiesz kto jest ta kobieta? znasz jój przeszłość?

— Nie — ale kobieta młoda, miła, dowcipna, czytana, towarzystwo dobre, stosunki ogromne, widzi mnie dobrém okiem, dlaczegóżbym nie miał z usposobienia jój i okoliczności korzystać?..

— Wincenty — ozwał się poważnie Guccio — zdaje mi się, że mimo twój lekkomyślności nie potrzebuję ci przypominać obowiązków... Wszystkie słabości się tłómaczą, ale rozmyślna zdrada świętej sprawy...

— Zkądże tak daleko się posuwasz?..

— Mam do tego powody, ważne, wielkie — stanowcze ... Ciebie ciągną tam, zkąd czystym nie wyjdiesz, rozmyśl się... jutro być może za późno!

Wincenty się zmieszał mocno.

— Jużciż, rzekł, znając cię, trudno mi przypuścić... żebyś, żebyś miał podsłuchać jakąś rozmowę i źle ją zrozumiawszy...

Guccio odskoczył aż, wyrwawszy mu rękę.

— Samo to przypuszczenie mnie obraża —
zawołał — ale zarazem ciebie potępia...

Darnocha stanął coraz bardziej i widoczniej
zбитy i upokorzony. Chciał się tłumaczyć.

— Rzecz jest jasna, żadne tłumaczenie nie
służy! słuchać go nie będę! Rób co ci się po-
doba, jesteś przestrzeżony... dopełniłem obowiązku...
bądź zdrów...

Wicek pobiegł za nim i chwycił go gwałtem
pod rękę którą mu wrywał.

— Zmiłuj się, porozumiejmy się, nie gniewaj
się... pozwól...

— Mógłbym i miałbym prawo się gniewać —
rzekł z uczuciem, ale się raczej lituję nad tobą.
Zszedłeś z drogi pracy, na drogę fałszu... po téj
pochyłości jeszcze chwila a wstrzymać się już od
zupełnego upadku będzie niepodobna... Dla sprawy
świętej strata jednej takiej ofiary jest niczém, —
ale zdrada — upokarzająca i bolesna. — W najcięż-
szych próbach doświadczają się umysły i chara-
ktery... w téj chwili dezertować z obozu jest...
niekczemnością... Nie idzie mi o sprawę powtarzam
ci... tę Bóg prowadzić będzie, a jednym człowie-
kiem więcej mniej nic nie znaczy, idzie mi o ciebie...

— Ale zkądże te domysły?

— Z serca, które ci sprzyjało... rób jak chcesz..

ale pamiętaj... są kałuże, z których grzęzawicy się nie wychodzi...

Zmieszany coraz bardziej Wincenty protestował, z mowy jego jednak znać było, że niezupełnie czystym i niewinnym się poczuwał... Guccio milczał... i uchodził ścigany ciągle przez niego...

Tak doszli do ulicy...

— Miałeś do mnie prośbę — dodał Augustyn — mów, bo odejść muszę.

Darnocha zamilkł, widocznie do najwyższego stopnia zakłopotany.

— Tak jest, rzekł — miałem, ale teraz nie mogę już udać się z nią do ciebie... Przed godziną... grałem i przegrałem wszystko com miał... idzie o to, abyś mi pomógł, chwilową pożyczką... którą zwrócę... ręczę... gdyż jestem w największym w świecie kłopotcie... a nie mogę udać się do kogo innego...

— Wyjedziesz z Wiesbaden? zapytał Guccio — jakie są twoje projekta, co myślisz robić z sobą... ja potrzebuję o tém wiedzieć...

— Ja się nie mogę ani obowiązywać ani tłómaczyć... postępujesz ze mną jak z małym chłopcem...

— Wincenty, uderz się w piersi, zasłużyłeś na to... poszanowałbym cię, gdybyś dbał i zasłużył na szacunek... Otwarcie ci powiem... pożyczysz — będziesz grał znowu... a jeżeli się zgrasz... co naj-

prawdopodobniejszém? Miałbym ci do tego rodzaju życia i namiętności dopomagać? — Jeżeli jedziesz natychmiast, aby się starać o zajęcie i pracę... jestem na twoje usługi, ale tylko pod tym warunkiem...

Darnocha otarł pot z czoła, milczał i zdawał się walczyć z sobą.

— No — jadę, jadę rzekł stanowczo — ale przecież dwadzieścia cztery godzin czasu dasz mi do pożegnania i wyboru w drogę...

— Słowo?

— Słowo.

Augustyn dobył pugilares i żadaną sumę wyliczył na drżącą dłoń Darnochy, dodając tylko do niej:

— Mam słowo.

Zburzony rozmową i wypadkiem wieczora, Moroz, którego w hotelu czterech pór roku oczekiwano na herbatę, potrzebował się przejść nieco ochłodzić, oprzytomnieć, nim się odważył próg jego przestąpić. Było już po jedynastój, herbatę u pani Eweliny wcześniej się nie podawała, gdyż do godziny zamknięcia gry nie można było na gości rachować. Jedni grali u zielonych stołów, drudzy ciekawie grze się przypatrywali. Zwykle

rozmową ożywione to posiedzenie wieczorne, z pomocą muzyki i gorących sporów nieuniknionych, gdy bieżących zadań życia dotknięto — przeciągało się w noc późno. Nie było to bardzo higieniczne przy wodach, ale kuracja jest podobno najpodręczniejszą zawsze rzeczą w tych zakładach zdrojowych.

Gucio wszedł później od innych i zastał już towarzystwo całe zebrane koło okrągłego stołu... Oprócz gospodyni, hrabiego Starży, który był jakby domowym, wszyscy znajomi Eweliny stawili się dnia tego na poufałą pogadankę, wszyscy prócz nieszczęśliwego Darnochy, który znikł odebrawszy żądaną pożyczkę. Nawet świeżo się zapoznawszy z panią von Dorfer, gospodyni i ją zaprosiła z córką, dla której czuła jakąś sympatyę.

— Dla czegoż to tak późno? spytała Ewelina Moroza podając mu rękę w progu... czyś pan o mnie zapomniał, zaco się będę gniewała — czy...

— A! nie pani — ale miałem ważną i cudzą sprawę do koniecznego załatwienia... przychodzę cały zburzony, podrażniony i siadam w kątku ażeby ochłonać... niech mnie pani nie pyta i ulitowawszy się nie patrzy nawet... bo na nieszczęście nawet wytłómaczyć się nie mogę...

— Nie drażnijże pan ciekawości mojej... siadaj i odpoczywaj... ale muszę go wprzód przedstawić baronowej von Dorfer...

Oprócz znanych nam już z opowiadania tego osób, świeżo przybyłych znalazło się jeszcze kilka, dopełniających grona najróżnorodniejszego pod wszelkimi względami jakie sobie wystawić można. Nie było w niém cudzoziemców, a kółko zdawało się z nich złożone... język francuski prawie wyłącznie słyszeć się w niém dawał... pod jego przykryciem nie znać przynajmniej było, że wielu z gości bardzo źle mówiło po polsku i dłuższej w tym języku nie mogło utrzymać rozprawy. Jeżeli chwilowo odezwała się polszczyzna, z podziwieniem tak wielkie w niój dawały się postrzedz różnice prowincjonalnych akcentów i wyrażeń, iż się niekiedy nie zupełnie rozumiano.

Zwykle język francuzki wypełniał to, czego zabrakło nie dosyć wprawnym do jasnego wyrażenia swój myśli.

Nie wiem czy jest na świecie naród, któryby w potocznej rozmowie potrzebował tak często posługiwać się obcym językiem... mając własny, bogaty, giętki, od wieków uprawiany, starczący najwyższymi duchu potrzebom. Smutno się przyznać, żeśmy podobno jedni w tym wypadku.

Ale smutniejszą może i dziwniejszą dla bacznego postrzegacza była różnica niezmierna zdań i pojęć nawet w najżywotniejszych kwestyach, na które każdy zapatrywał się z odrębnego stanowiska.

Z każdego zakąta kraju przychodziła idea inna, inne plany, inne dzieje, programy — żadnej spójni w tém wszystkiém, ani sposobu porozumienia się.

Lubicz Pawłowski niezapominając o swoim stanowisku urzędowém, starał się uniewinnić moskiewski terroryzm, a wytłómaczyć niedostępną dla innych ideę panslawistyczną, choć tu na starym gruncie europejskim cywilizacyi zachodniej szanującej indywidualizmy narodów, z tą sztuczną i fałszywą mrzonką trudno mu było się dać zrozumieć. Plątał się, męszał i zaskoczony nowemi dla siebie zarzutami, nie mógł dotrzymać placu... Przed oczyma jego zjawiały się poglądy i zasady tak niespodziane i poważne, że oślniony niemi nie znajdował nic na swą obronę. W rozmowie z Galicyanami, z obywatelami poznańskiego księstwa, co chwila czuł się wyrzuconym z siodła, na którym spokojnie i bez zgryzoty sumienia siedział długie lata. Dziwił się że z nienacka dowodzono mu to zacofania niezmiernego, to radykalizmu krańcowego, który sam o tém nie wiedząc z barbarzyństwem graniczył.

Trudno jest skreślić obraz chaotyczny sporów do jakich wzmianka o ogólnych interesach Polski dawała powody. Lubicz był zaciętym po moskiewsku nieprzyjacielem germanizmu, który za niebezpieczniejszy uważał daleko nad moskiewską srogość

i despotyzm... po troszę dzielili jego zdania niektórzy Galicyanie, znający Moskwę tylko z odgłosu szczodroblowości. Umiarkowańsze i chłodniejsze umysły przenosiły walkę z Niemcami w drogach legalnych, w granicach zakreślonych poszanowaniem pewnych życia objawów, nad bój z dziczą, co nie nigdy uszanować nie umiała...

— Jeżeli mi dadzą do wyboru, mówił Starża, czy mam być rozstrzelony czy powieszony, czy mam zostać Niemcem czy Moskałem, — zaiste wybór będzie trudny... ale bądź co bądź postawiwszy to śmiertelne pytanie w inny sposób to jest czy wolę zostać człowiekiem czy bydlęciem... wybiorę z pewnością ostatnie. Niemcy są często obalamuconymi ludźmi, Moskale dotąd jeżeli nie całymi zwierzęty, to więcej bydlęciem niż człowiekiem... Germanizm nie zdiera ze mnie dostojeństwa ludzkiego... gdy

Lubicz uczuł się dotknięty...

— Pan nie znasz, rzekł, narodu moskiewskiego... jest młody, pełen siły, ma ogromną przyszłość przed sobą. Europa jest strupieszalą...

— Wszystko to już nie raz trafiło mi się czytać w moskiewskich gazetach — odparł Starża, ale to czyste bałamuctwo... Wolę zgrzybiałość europejską, z której się łatwo na nowo odrodzić i odmłodzić może, niż ową młodzieńczą siłę narodu,

który w nic szlachetnego nie wierzy, a jest nieuleczonęj głupoty i ślepoty. Nieprawdą jest ta świeżość i młodość którą się chwalicie... wszystko złe, denerwujące, niszczące, wszelkie jady cywilizacji, jęj choroby jużęście przejęli, wcieliili sobie... a zdrowęj cywilizacji Zachodu wzdrygacie się dla tego, że zmusiłaby was do pracy, do ofiar, do reformy... Młodość narodu moskiewskiego nie objawia się w jęgo życiu, narody młode prawdziwie mają popędy wielkie, heroiczne, szlachetne... Tylko istotnie zgrzybiała-machiawelska polityka i do szczętu trądem jęj zjedzony naród, może się puścić bez zgryzot sumienia na takie bezecne prześladowanie, jakie młoda Moskwa wywiera na nieszczęśliwą Polskę... W narodzie młodym zaszczipiono dawno zarody, które mu dziewięczą jęgo moralność, wpojoną w serce człowieka przez Boga — odebrały. Wiekowa niewola zgniotła tak co tam być mogło szlachetniejszego, jak niektóre dzikie plemiona ugniatają czaszki nowonarodzonych dzieci. W Moskwie człowiek się rodzi już niezdatnym do niczego prócz do ślepego posłuszeństwa. Cała siła narodu jest właśnie w tém że indywidua wyrzekają się jęj na korzyść caratu i przemocy; ale taka siła daje tylko przyszłość materyalną, zdobywczą, burzącą zarazem, i bezpłodną. Moskwa zagarnia, niszczy cywilizację, wytępia narody, stworzyć nic nie potrafi. Rozrośnie

się w cielsko i rozpadnie w zgniliznę... Misya jěj będzie spełnioną dopiero, gdy się na proch rozsypie.

Całe jěj posłannictwo historyczne ograniczało się dotąd niszczeniem, to co zbudowała, jest nagromadzoną gruzów kupą...

Lubicz zbladł słysząc to, zaczerwieniał, chciał coś odpowiedzieć, nie umiał.

— Nie przeczę, dodał Starża, że kiedyś odrodzony może wejść na inną drogę i stać się człowiekiem naród rosyjski, dziś jest trzodą tylko, która roztrąca co spotka.

Z różnych stron zaprotestowano, podniosły się głosy przeciwko germanizmowi, przywłaszczającemu sobie ziemie słowiańskie.... ale one nie były wstanie obronić Moskwy...

— Czy moskwicenie uważacie państwo za lepsze od germanizacyi? spytał Starża... Jest to robota też sama z tą różnicą, że gdy Niemcy wykonywają ją po ludzku, Moskwa robi to nie już jako dziec.... ale jako wściekła trzoda bydła....

Lubicz aż pochwycił za kapelusz.

— Mówię gwałtownie, rzekł ostygając Starża, bo też czuję mocno... nie jako Polak już, ale jako człowiek, co w tém wszystkiém jest poniżającego dla ludzkości i człowieka! Gdyby nie szło o Polskę — powiedziałbym toż samo, bo tu idzie o ogólne prawa

syna Bożego, o samą ideę prawa... sprawiedliwości, nienaruszalności sumienia...

Gdy jeszcze dodamy, że myśl i słowo te najdroższe dary Boga, użyte są w Moskwie świętokradzko na obronę tego co obronioném być nigdy nie może, oburzenie rośnie, wzmagą się, aż do szaleństwa... Historya przedstawia nam wiele przykładów bezprawia i gwałtu, ale nigdy nigdzie cynizm zbrodni nie doszedł do tego stopnia...

— Przepraszam, zawołał Lubicz, Anglicy broniący handlu trucizną w Chinach, mordujący tysiącami w Indyach... Rzeczpospolita Stanów Zjednoczonych oznajmująca że plemiona Autochtonów wytępić musi.... Meksyk który zapowiada że cudzoziemców wyrzuci bo ich nie potrzebuje... sąż lepszymi?..

— Są jeszcze gorszymi, rzekł Starża, bo Moskwie wiele dla jój dzikości przebaczyćby jeszcze można, nigdy Anglii i Ameryce... Ale wasza Moskwa ma się za lepszą, młodszą, uczciwszą, a jest już dziś tak zjedzoną jadem demoralizacyi politycznej, jak to strupieszale społeczeństwo.

Podniosły się głosy różne... Spór się wszczął niezmierny i do niczego nie wiodący, bo każdy stał przy swoim zdaniu uparcie... nareszcie słuchająca dotąd w milczeniu rozmawiających Ewelina, podniosła się zarumieniona, cudowna natchnieniem, które z jój oczów strumieniem blasku strzelało.

— Pozwólcie panowie, rzekła, kobiecie wrzucić słowo do zbyt dla niej może poważnej, i nad siłę naszą rozmowy... I my bolejemy chorobą wieku, czemużbyśmy choć poskarżyć się nie mogły! Wszystkie te symptomy, które tak jasno widzicie... wszelkie złe pochodzi z tego że społeczność chrześcijańska straciła swą siłę przewodnią, swojego ducha — że nie ma wiary w to czém urosła, a nie zastąpiła jój niczém.

Nie jesteśmy jeszcze poganami, a chrześcianami być już przestaliśmy, niestety... Zasady zostały pokruszone... formy tylko zachowano... Społeczność wróciła w istocie do pogańskiego ubóstwienia sił i siły... Boga nie ma... Z Bogiem w niebo uleciały anioły poezyi, miłość, ofiara, braterstwo... czyste rozkosze ducha które nędzę czyniły znośną.

Dla tego nam dziś przedewszystkiém potrzeba dobrego bytu, zaspokojenia nie tylko życia, wymagań koniecznych, ale zbytkowych. Dla tego znowu cielowi złotemu bijemu pokłony... i jesteśmy nieszczęśliwi... i jesteśmy nad wyraz biedni...

— Tak jest, dodał Starża, i świat którego postępy materyalne, naukowe, umysłowe są ogromne — moralnie jest w widocznym upadku. Nie widzi już nic wyżej, nic idealniejszego nad dobrobyt na ziemi.

Łudzim się winszując sobie niezmiernych zdo-

byczy nad materją kupionych kosztem ducha — ducha upadkiem...

Filozofia pozytywna, teoria Darwinowska, ekonomia polityczna... i polityka mocarstw są z sobą w doskonałym logicznym związku. Rozebrawszy je widać jasno że człowiek ma się za ciało i w duszę wierzyć przestał... Upadek literatury idzie zatem z konieczności... Życie się układa na staro rzymski sposób, rodzina rozwiązana... małżeństwo upadłe nisko, macierzyństwo zaparte...

Demoralizacya zstępuje od zubożniętych klas wyższych do ludu... a gdzie oświaty brak i chleba! tam owe teorye przyjmują się i kwitną bujno...

W obronie pracy wieku stanął ktoś jeszcze i zbyt może poważna rozmowa zwolna przez interesowanych, którzy jęj wydolać nie mogli, roztopiła się w pospolitą codzienną gawędę. Na wysokościach tych kwestyi ledwie kilka osób mogło ją utrzymać. Ewelina otworzyła fortepian, zapraszając do niego Julię, którą matka skłoniła do zagrania Chopina. Niestety! był to Chopin pensyonarski... usalonowany... zmiękczony jeszcze... ale zawsze serdecznie miły i sympatyczny.

Gdy około fortepianu i Julii gromadzili się mężczyźni, Ewelina zbliżyła się do siedzącego na boku Augustyna.

— Nie pytam co panu jest... ale szczerze,

chciałabym pocieszyć i rozbić te chmury... Czy to co osobistego?

— Pani, rzekł Moroz, w osobistych cierpieniach człowiek ma więcej potęgi, panuje im... ale gdy nas dotknie coś czemu zaradzić nie podobna, na przykład upadek człowieka któregośmy kochać chcieli i życzyli mu dobrze... gdy dźwignąć niepodobna patrzy się na lecącego w przepaść...

— Tak to nad wyraz boleśnie, zawołała Ewelina... ale... nie dopytuję już więcej, bohym gotowa odgadnąć...

Scisnęła jego rękę... i odeszła...

Ten uścisk milczący a tak niewinny dostrzegła baronowa i zwracając się do Potomskiego, zzymnęła ramionami. Potomski się uśmiechnął.

— Jest dziwnie śmiałą... szepnęła...

— Ale któż ten młody człowiek z ręką na temblaku... bo w końcu zaczyna mnie intrygować...

— Jest to, o ile wiem, rzekł Potomski, a wiem od towarzysza uniwersyteckiego Darnochy, syn niezamożnego kupca... Kupeczyk jedném słowem... Mówią tylko że bardzo wykształcony i z umysłem wyższym...

— Teraz w towarzystwach, dodała baronowa, dziwne czasem postacie spotkać i znajomości zrobić można... Śliczna rzecz znajdować się w salonie z kimś kogo się jutro może znaleźć w sklepie za kontuarem.

Towarzystwo nasze się nieszanuje, to też szanować go nie będą.

To mówiąc dama zacięła usta i podniosła głowę.

— Bo proszę pana dobrodzieja, mówiła z uczuciem godności, wprowadzam tu córkę, robi się znajomości, zawiązują stósunki... przypuszczam jaką niedorzeczną skłonność... cóż za skutki! Boć przecie córki za kupezyka wydać nie mogą...

Potomski na wszystko się zgadzał...

— Córka pani baronowej jest nadto dobrze wychowaną, dodał, ażeby nie miała swój godności... a zresztą osoba tak młoda jeszcze...

— Prawda że to dziecko... i więcej myśli o kwiatkach i ptaszkach niż o czémkolwiek inném... ale... może się to i za kilka lat nam przytrafić...

Nie pojmuję pani Eweliny... salon jej to prawdziwie uczta ewangeliczna.

— U wód... szepnął Ferdynand.

— Ale wszędzie trzeba się szanować, zawołała dama, ja się przyznam panu że jakkolwiek nam brak towarzystwa... ja tu już więcej nie postanę... nie — nie.

Istotnym powodem dla którego baronowej salon się niepodobał, było jednakże że w nim takiej roli jaką chciała grać nie mogła. Piękność jej rozkwitła bujnie, świeża i ponętna... gasła i pospolitą

się stawiała przy wdziękach Eweliny, Julka skromna i bojaźliwa nie robiła też wielkiego wrażenia. A przytém jakoś na seryo nikt się nie trafiał...

Pomimo groźby rzuconej baronowa jednak pozostała czas niejaki, a że Potomski odszedł od niej dość była rada, że się Starża przybliżył.

Hrabia słynał z nielitościwego szyderstwa i usposobienia żartobliwego, bystre jego oko odga-dło, przeczuło raczej dla czego baronowa sztywniej-sza jeszcze dnia tego była niż kiedy indziej. Siadł przy niej wzdychając i począł rozmowę narzekając na czasy, obyczaje... w duchu niezmiernie konserwa-tywnym.

Baronowa uchwyciła temat znany i miły, pu-ścili się nim na przegony tak daleko, że pani von Dorfer aż na mieszaninę klas w społeczeństwie uty-skiwać zaczęła.

— No gdzie to kto co podobnego widział, dodała, aby naprzykład lada komisant lub kupeczyk był w towarzystwie naszym przyjmowany i to jesz-cze z dystynkeyą...

Oczy jój wskazały z oburzeniem na Augustyna Moroza. Starża aż podrósł z uciechy, znajdując w tém doskonały pretekst do ulubionej mu mistyfikacyi.

Z lat swój młodości jeszcze wyniósł on smak do tych igraszek, które czasem bardzo się kończyły

tragicznie. Przybrał postać i minę surową, poważną, oblókł się tajemnicą...

— Kto pani powiedział że to jest kupeczyk? zapytał...

— Ależ wszyscy tak utrzymują, nie chcąc zdradzić Potomskiego odezwała się pani baronowa.

— Starża z politowaniem się uśmiechnął.

— Jakto? byłoby wątpliwé?

— Widzisz pani jak on tu jest przyjmowanym... cicho szepnął złośliwy Starża... i potrząsł głową... To są umyślnie puszczone wieści... powiadam pani, ale pod największym w świecie sekretem... w tém jest... tajemnica...

— Tajemnica...

— Tak jest... której wyjawic nie mogę... dodał Starża... powiem tylko pani, jeżeli mnie nie zdradzisz, że ten młodzieniec podróżujący incognito należy do jednej z najmożniejszych i najznakomitszych rodzin krajowych... Głowa przewrócona... chce umyślnie uchodzić za kupeczyka... aby świat poznać... nie wiem zresztą... jakieś tam głupie romansowe ma plany...

— W istocie? spytała baronowa.

— Tylko na miłość Boga, niechże mnie pani nie zdradzi i zachowa to przy sobie... zaledwie parę osób wie o tém...

Baronowa popatrzała z dala na Augustyna.

— Mnie się téż, rzekła bardzo cicho, wydawało niepodobieństwem żeby to był młodzieniec tak niskiego pochodzenia, zbyt szlachetne ma rysy...

— Tak... tak! potakiwał Starża.

— Pan nie wiesz zapewne, dorzuciła pani von Dorfer, że myśmy go spotkały w drodze, w wagonie, był dla nas niezmiernie grzecznym... Potém nie prezentowany kłaniał się nam... ja miałam się naturalnie na ostrożności... Ale dziś potrzeba być tak oględną matce mającej córkę na wydaniu!!...

Na tém skończyła się rozmowa a hrabia szczęśliwy że rzucił nasionko mogące wydać owoce interesujące, usunął się prędko, aby sarkastyczny wyraz jego twarzy nie zdradził mistyfikatora...

Wszyscy téż powoli żegnać się lub nie żegnając po cichu uchodzić zaczęli.

Nazajutrz o dziesiątej z rana wpuszczony został do przybytku hrabinéj Kajsersfeld pan Wincenty de Darnocha, i po dość długiej tajemniczej z nią rozmowie wyszedł z twarzą rozplomioną, niespokojny ale widocznie wesół i szczęśliwy.

O jedenastej już wory pieniędzy zniesiono do sal gry i walka z losem rozpoczęła się na dobre... Nie zważając na słowo dane Morozowi, młody chłopiec jeden z pierwszych przybył do rulety i

około południa odszedł od niej ze znaczną wygraną... zmęczony.. ale ośmielony. swoim szczęściem, uzuchwalony niemi do najwyższego stopnia.

Słowo dane wcale go w przekonaniu jego nie obowiązywało jak skoro mógł pożyczone oddać pieniądze, tak sobie wyrozumował i postanowił szukać przyjaciela. Moroz mu się nastreżył... Na widok jego miał chwilę wahania się i niepewności Wincenty, ale zuchwalstwo przemogło. Zbliżył się do niego odważnie uśmiechnięty.

— Dzień dobry ci...

— O której jedziesz? spytał Moroz.

— Właśnie szedłem się przed tobą wytłomaczyć — podziękować za udzieloną mi wczoraj pożyczkę i powiedzieć ci że dla bardzo ważnych interesów, od których los mój przyszły zależeć może — niepodobna mi już wyjechać.

— Niepodobna? spytał Augustyn, zostajesz.

— Muszę zostać... rzekł sucho Darnocha zwracając pieniądze... Serdeczne dzięki.

Nic nie mówiąc młody chłopiec, schował zwróconą pożyczkę.

— Panie Wincenty, odezwał się cofając rękę podaną do uścisku — sam przyznasz, że po wczorajszym moim a dzisiajszym twym znalezieniu się ze mną, dalsze nasze stosunki są niemożliwe. Życzę panu szczęścia i powodzenia w jego nowym zawodzie,

Ostatnie wyrazy wymówiwszy z przyciskiem, ukłonił się i odszedł...

Darnocha zapłonął cały, drgnął ale jak przykuty do miejsca pozostał...

Towarzystwo polskie w Wiesbaden w tych dniach pomnożyło się znowu kilką nowo przybyłymi spóźnionymi osobami, które posądzać było można iż już nie dla wody i zdrowia przyjechały.

Pani Karlińska obywatelka z płockiego z dwiema pięknymi córkami, osoba niemłoda, chorowita i niemal jawnie wzdychająca do pozbycia się Józ i Stasi, rozumie się w jak najświetniejszych warunkach na co obie panienki zasługiwały.

Pani Karlińska odbywała już podróże do wód od lat kilku, jeździła do Karlsbad, Ostendy, Ems, Spa i miała przeliczne znajomości po świecie całym. Ewelina, Starża i znaczna część gości była jej poufale znajomą. Osoba była dobra, zacna, miła, zgodna, ale miała tę słabość, że się straszliwie obawiała aby Józia i Stasia nie zostały staremi pannami.

Józia i Stasia hoże, rumiane, wesole, dobrze wychowane, łagodne miały za sobą wszystko oprócz posagów, które były enigmatyczne...

Majątek był bardzo znaczny... ale oprócz Józ i Stasi mieli państwo Karlińscy dwóch synów,

żyli na wielką stopę, panny były przywykłe do elegancyi i zbytku. Ubogi nie śmiał się do nich posunąć, a bogaci szukają zwykle jeszcze bogatszych... Wiedzano przytém że pani Karlińska z domu hrabianka Odgórska za lada kogoby ani Józi ani Stasi nie wydała ... potrzeba było koniecznie imienia.

Biedna chora mama stękając wozila swe rozkwitłe różyczki ... a nigdzie ... nikt nie śmiał się do nich przybliżyć. To czyniło ją smutną i budziło mizantropiczne uwagi nad teraźniejszym światem i ludźmi... Tak śliczne panny !!

Razem prawie z panią Karlińską przyjechali państwo Bursey; którym udało się z Ukrainy wyrwać mimo surowej klauzury i znaleźć grosz na podróż, mimo ssących kontrybucyj moskiewskich.

Burski niegdyś za lepszych czasów marszałek, prezes, figura znacząca, człowiek niezmiernie bogaty, pan dóbr rozległych, spokojny i legalny, który się nigdy do żadnych politycznych i patryotycznych robót nie miewał, zaszczycony przez cesarza Aleksandra krzyżem św. Włodzimierza, przez Mikołaja Anną na szyję, a przez Aleksandra drugiego wstęgą orderu ś. Stanisława z gwiazdą ... był zawsze tego zdania że z moskalami należało żyć zgodnie ... i można się było porozumieć... Teraz z systemu, z zasad całego życia zbiła go gorzka rzeczywistość.

Doznawszy prześladowania równo z innemi, napróżno odwoływał się do swych zasług, zrównano go z buntownikami i tak zbito z tropu że zupełnie nowego swego i kraju położenia nie rozumiał. Był milczący i smutny... Próbował jeszcze czasem bronić rządu a hałasować na rewolucyę, ale pierwsze mu się wcale jakoś nie udawało...

Za granicą naturalnie wielce był oględnym w stosunkach.

Towarzyszyła mu w podróży żona jego, maleńka, chuda, ruchawa, gadatliwa, która nigdy nie była piękną a postarzaawszy stała się straszliwie brzydka ... pomimo to strojąc się niezmiernie i wagę przywiązując do mód i ubioru przesadną. Łatwo się domysleć że ulubionym jój językiem był francuski, że liczyła się do najwytworniejszego świata i z nim tylko żyć mogła... Miała z sobą córkę pannę Hersylię, słusniejszą od siebie ale niezmiernie z twarzy do matki podobną... Panna Hersylia używała lornetki ciągle, mówiła mało, patrzyła z góry i doskonale wiedziała że mieć będzie półtora miliona posagu. Była to jedna z najświetniejszych partyi na Ukrainie...

Zaledwie przybywszy do Wiesbaden i rozpatrzywszy się w liście znajdujących się tu gości, Burscy natychmiast złożyli uszanowanie hrabinie Kaisersfeld, o której położeniu u dworu i rozległych

wpływach wiedzieli. Trafiło się tak iż w czasie ich bytności znajdował się teraz nadzwyczaj częsty gość — pan Darnocha, który został państwu prezesowstwu *cum omni formalitate* zaprezentowanym.

Hrabina widocznie protegująca młodego człowieka została opatrnościowo uderzona myślą zeswatania Darnochy z bogatą dziedziczką; w tym celu zaimprovizowała mu tytuł hrabiego.

Prezes Burski któremu młodzian krochmalny, przyzwoity, mówiący ślicznie po francusku i chlubiący się tak bujnemi angielskimi bakembardami, bardzo przypadł do smaku, zwłaszcza po pierwszych rozmowy frazesach w duchu ultrakonserwacyjnym; zważywszy jeszcze iż go znalazł w domu osoby tak politycznie niepokalanych zasad ... uczuł ku niemu wielką skłonność.

Żargon jego podobał się matce ... córka wpa-trzywszy się weń przez lornetkę znalazła go *très comme il faut*...

Państwo Burscy zabawili nieco dłużej. Pan Wincenty musiał odejść, a z oddalenia jego skorzystała nieporównanie zręcznie hrabina napomylając o nim kilkakroć w rozmowie z nadzwyczajnemi pochwałami. Improwizatorka niezrównana ułożyła na ten raz umyślnie całą historję Darnochy, obudzając dlań największe współczucie.

Z ust pani Kaisersfeld ... była to najlepsza

w świecie rekomendacya... Burscy odeszli, Darnocha w kilka godzin powrócił, a piękna gospodyni powitała go zagadkowym uśmiechem.

— Podziękujże mi i ucałuj tę rękę, zawołała wyciągając białą i istotnie prześliczną dłoń ku niemu — wszystko ci sprzyja, a masz we mnie doprawdy przyjaciółkę...

— Nie pytając już składam dzięki, rzekł przysiadając na stołeczku niskim Darnocha.

— *Seulement ... suivez bien ce que je veux vous dire* — panna prezesowna Burska nie jest ładna ... prawdę powiedziawszy nawet ... *elle est affreusement laide*, ale czy się na to zważa żeniąc? Ma półtora miliona posagu ... a ja ci ją swatam... Postępować będziesz wedle mojej instrukcyi. Bilety z tytułem hrabiego każ zrobić zaraz ... ktoż to kontroluje? — każdy, kto chce jest hrabią za granicą! Resztę ja poprowadzę...

Uśmiechnęła się...

— Do stolika gry ani mi się zbliżać i ... *Je vous garrantis le succès...*

Milczeniem pełnem skromności i ucałowaniem nadliczbowém ręki przyjął tę wieść Darnocha... Świetne ożenienie, nie patrząc na następstwa jakie miało za sobą pociągnąć, było jego marzeniem... Stawał od razu niezależnym ... tak nie lubił i nie umiał pracować, a tak żyć i świecić pragnął? —

Dwie świeże panny Karlińskie, strojna panna Burska uzbrojona ukraińskiem pochodzeniem z ziemi mlekiem, miodem i posagami płynącej, w dodatku jeszcze para wdów w wieku w którym się chętnie i przyzwocie za mąż wychodzi, nie przebierając do zbytku w konkurentach choćby niezupełnie już świeżych.

Melancholiją okryły czoła grona niewieściego w Wiesbaden, obliczającego mężkie towarzystwo tak, jak czasem łakomy liczy na półmisku kawałki, czy się też dlań co zostanie... Na tyle kandydatek jawnych i niby niewidocznych, choć łatwych do odgadnienia — nie było dostatecznego mężczyzn zapasu... Papiery panów Potomskiego, Lubicza Pawłowskiego i nieco podtuptanych kawalerów znacznie poszły w górę na niewieściej giełdzie. Pani von Dorfer którą nudziło wdowieństwo postanowiła w duszy zapewnić sobie raz przecie tego nudziarza Ferdynanda, który trzymał się jój stale ... ale, ale zdawał się ciągle obliczać gościniec wolny do odwrotu na wszelki wypadek.

Chociaż nie wątpiła baronowa już z jego obejścia się z niemi, że w razie decyzji o nią nie o córkę się oświadczy — nudziła ją ta flegma i ta ... miłość cicha do zbytku, ostrożna aż do oziębłości...

Julka nawet niby najniewinniej i bezwiednie czasem pana Ferdynanda ukłuła ... ale gdy się odwró-

cił ku niej zdziwiony alluzją — znajdował ją tak naiwną, tak o niczem nie wiedzącą, że ją o fluteryę nie śmiał posądzić.

Pani Dorfer w interesie swój strategii wyrzucała sobie nieco, że w początkach nie korzystała z ukłonów tajemniczego młodzieńca — uchodzącego za kupczyka — byłby jój mógł służyć do obudzenia zazdrości i przyspieszenia rozwiązania... Ale możnaż wszystko przewidzieć i narażać się na spoufalenie z kramarzami!!

W miarę jak całe towarzystwo coraz się stawało liczniejszém, wesołość zaraźliwszą i głośniejszą — jedna Ewelina widocznie pośępniała, straciła śmiałość ... zmieniała pierwszą swą fizyognomią narzucającą się i błyskotliwą. Zmiana ta nie uszła bacznych oczów i wywołała komentarze, które jednak skończyły się wyrokiem — Fantastyczka!! dziwaczka...

Starża, który ją znał lepiej, więcej od innych wagi przypisywał téj powolnej ale znaczącej metamorfozie ... wiedział on że w téj kobiecie nie było fałszu, a co się objawiało na zewnątrz, płynęło z głębi i było fizygnomią jój duszy ... jeżeli się tak wyrazić godzi.

Znajdował ją teraz częściej niż dawniej w domu, nad książką, przy robocie w której widocznie szukała roztargnienia i nużącego zajęcia, i nie

w tym humorze już trzpiotowatym, prawie dziecinnie wesołym, który jój był właściwy....

— Znowu pani przypomnę, rzekł raz siadając koło niój żeś mi pani dała pewne ojcowskie i opiekuńskie przywileje nad sobą — pozwólże w imię ich spytać.... co pani jest? znajduję ją zmienioną.....

— Co mi jest? odpowiedziała Ewelina — ale, kochany przyjacielu, mnie trudno jest samój przed sobą wytłumaczyć się z tego stanu apatyi i odrętwienia — cóż dopiero przed tobą? Jestem chora, to prawda, na tę chorobę wieku nierozpoznaną przez lekarzy, która się zowie — zwątpieniem, znużeniem, prostracą.....

Wiesz że w ciężkich chorobach, czepia się człowieka dziwactwo, nadzieja uleczenia środkami najśmieszniejszymi. Tak było ze mną, łudziłam się tu jadąc — tu jadąc! powtórzyła z przyciskiem i uśmiechem smutnym — tu!... że znajdę jakichś nowych, lepszych, wyjątkowych, wybranych ludzi, że mnie to z niemi, ze światem i życiem pogodzi..... Tymczasem oprócz was

— Baronowo, bądźmy szczerzi.... rzekł Starża, czyś się zawiodła także i na panu Augustynie? zdaje mi się że rąbnę szczerze, że on cię obchodzi i zajmuje.....?

— Ewelina skrzywiła się nieco....

— Mów obchodził ... zajmował, w czasie przeszłym odpowiedziała potrząsając główką.... Bardzo to w istocie zacny, miły, światły młodzieniec, istota sympatyczna ... widzicie, jestem zupełnie otwartą, — ale chłodny, dziwnie chłodny i zbyt pilnujący siebie a zbrojny jak niezdobyta twierdza, która się obawia napaści....

— Czy dla tego, rzekł uśmiechając się Starża, iż nie śmie ci okazać że się śmiertelnie zakochał?

— Zakochał! on! ale cóż znowu? ty postrzegacz tak trafny, możesz mi to powiedzieć? Człowiek ten grzeszy tém właśnie iż pamięta, myśli, boi się aby uczucie nim nieowładnęło dopóki po kupiecku nie obliczy iż pożądaný towar da się nabyć tanio, bez kłopotu i będzie w dobrym gatunku....

Otóż ja tego nie lubię zbyt się lęka zawodu i zdrady ... zatem za mało pragnie tego zakochania, o którym mówisz a którego niema wcale...

— Jesteś pani dziś straszliwie złośliwą, kłającą i podrażnioną?

— Złą jestem, złą, nie zaprzeczam ... podchwyciła Ewelina — ale bo téż wszędzie się spotykam ze sztywnym rozumem, z rachubą, wszędzie z chłodem i niedowierzaniem, życie nie ma polotu, młodość niema wiary, serce niema ciepła...

O mój Boże — dodała smętnie spuszczaając oczy na robotę — ja nie potrzebuje, nie chcę, ażeby ten człowiek zakochał się we mnie, tylko żeby mógł kochać.... a o tém zwątpiłam, kochać jak ja pojmuję, i choćby bez nadziei, iść na męczarnie dla ideału, kochać z serca potrzeby ... tak jak się to niegdyś na starym... a dziecinnyim świecie kochano, kiedy wolno było być heroicznie nedorzecznym... a niekoniecznie tak rozumnym, jak dziś jest każdy od lat dziesięciu....

A! mój! hrabio! znajdź mi ty taką miłość pocziwą, nieopatrzną, szaloną ... żebym na nią mogła choć zdaleka popatrzeć, pocieszyć się nią, powiedzieć sobie — świat nie umarł!! ludzie jeszcze kochać umieją... i mogą...! Wyrzeknę się szczęścia dla siebie bylebym wiedziała że jest możliwém... wówczas cierpliwie na nie do lat piędziesięciu czekać będę....

— Droga pani, odpowiedział poważnie Starża — żadasz wiele Wierzę ja w kwiat paproci, ale nie każdemu dano go widzieć w wigilią Ś. Jana. Ta niewiara jest tak pospolitą iż się z nią już nieraz spotkałem w życiu. Przypomina mi to com dawno już słyżał z ust księżnej E..... S z domu księżniczki C..... Pani ta miała z górą lat sześćdziesiąt gdy to mówiła, była więc w kwestyi zupełnie bezinteresowaną. Patrzała na świat

długo, w pożyciu domowém była dosyć szczęśliwą, niewiem z kąd jéj to przyszło...

— Ale cóż mówiła? co mówiła? nie cierpliwie spytała Ewelina.

— Księżna mówiła iż wyobraża sobie że świat i ludzkość skończą się w ten sposób, że ludzie kochać przestaną; do miłości wstręt uczują, małżeństwa z obu stron staną się niepodobieństwem i ród nasz wygaśnie ziewając.... Staruszka powtarzała to nie żartem, poważnie, jakby z głębokiego przekonania.

Idea jest dosyć oryginalną ale niewiara, z której wyrosła rozumie się w sześćdziesiątym roku, w dwudziestym ... trudna jest do pojęcia.

— Mam dwadzieścia i kilka ... rzekła Ewelina i znajduję, że księżna miała słuszość, widziała proroczo....

Świat już się powoli kończy....

Co do mnie, ponieważ nie kochając za mąż nie pójdę, bo bym się sama sobą brzydziła zatem, *j'en fais mon deuil* a niechcę i nie myślę już iść za mąż nigdy ... ale gdybym téż na pociechę w tém sercowém wdowieństwie mojem choć widzieć przynajmniej mogła dwoje ludzi coby się nie urzędownie nie przez rozpustną fantazyę chwilową ... ale na śmierć, okrutnie zakochali ... taką Franceskę z Lancelotem, Heloizę i Abellarda... Zaczynam posądzać poetów że skomponowali miłość

jak wyinwentowali Feniksa, Smoka i Salamandrę. Świat stary ubierał w wieńce proste cielesne żądze... chrześcijaństwo stworzyło miłość heroiczną, rycerską ... a! donkiszotowską także ... jest to sobie bajka ... a myśmy od dzieciństwa wierzyli w jej prawdziwość!!

— Biedna moja marzycielko ... rzekł Starża — jakże mi cię żal... chcesz na powszedni dzień tego, co się codzień przygadza... Są fenomena na niebie i ziemi, na które wieki czeka niebo i ziemia ... a przecież choć w sto lat raz przychodzą...

— Prawda! prawda! odpowiedziała Ewelina — jestem niecierpliwa i zepsuta — pieszczoszka chcę kafelka z pieca, gwiazdki z niebios ... niestety!! nacóżeście tysiąc lat kłamali tak cudne poemata o miłości... na co ja się niemi karmiłam i uwierzyłam w Feniksa, który jest może brudnymi żabskami karmiącym się bocianem....

Starża wstał i długo chodził zamyślony po pokoju...

— Ale powiedzże mi pani, odezwał się stając przed nią, coby ci z tego przyszło gdyby się w tobie zakochał jaki nieszczęśliwy ... coby do ciebie nie śmiał przystąpić, którego by dzieliło położenie, który by musiał kochać cię jak Gwebro słońce o mil tysiące?

— O! niech się tylko zakocha ... przerwała Ewelina — słońce zleci na ziemię...

Jeżeli pokocha szczerze, prawdziwie, miłość ta odbije się w mojem sercu ... ja ją poczuję, ja jęj odpowiem ... a gdy pokocham ... Starzo ... położenie, stósunki, względy ... skruszę na proch i zdepczę ... wyrwę go choćby ze szpon śmierci i grobu!!

Stary patrzył na nią rozjaśniony, z uwielbieniem i powoli skłonił przed nią głowę nisko...

— Cześć ci istotą wybrana ... rzekł — ale biedna... nie mówmy już o tém... Gdybym był młodym mógłbym oszaleć dla ciebie — stary chcę ci być stróżem, opiekunem, ojcem ... bo się boję...

Z tego pragnienia czystego, poetycznego łatwo możesz wpaść w ułudę...

— Nigdy! odparła Ewelina...

— Miłość ta przyjdzie, jęj pragnienie jest jęj przeczuciem, dodał hrabia — ale co ona z sobą przyniesie?

— Jakto? musi mi dać szczęście! zawołała piękna pani.

— Szczęście ... tu! westchnął ruszając ramiona stary — policz ile to co się tu zowie szczęściem wlecze za sobą utrapień. — Was dwoje... myślisz — to świat cały ... ale w powszedniem życiu, po za wami, po za wybranym twym, stoi rodzina, stósunki, przesady, formy ... pełne karykatur i plam,

tło podobne do tych dekoracyi Shakspearowskiego dramatu ... starych ... w których Żuljeta występowała, idealny swój profil malując na oszarpanych ścierkach...

— Bądźże pewien iż ani Żuljeta nie widziała ścierek, co ją otaczały, ani poeta się niemi zrażał, bo technienie poezyi jak miłości technienie tworzy z kału dyamenty — z niczego światy!

Tyś stary, zgrzybiały, nielitościwy... rzeczywistość fałszywa skula cię w swoje kajdany żelazne... Ja trzymam z Ozanamem, że ideały są rzeczywistością a ona złudzeniem i nicstwem...

Cóżby mnie miały obchodzić te ukąszenia komarów, gdy anioł na skrzydłach ku niebu mnie unosi! ja bym tego nie czuła! Dzień jeden kochać — i umrzeć, raz widzieć to światło życia i zamknąć powieki...

Niewiem, jam tak szalona że szczęśliwa dobrowolnie bym może wzięła truciznę, ażeby skonać nim przyjdzie odczarowanie...

— Za nadto czytałaś poetów! rzekł Starża...

— O może nadto byłam — zawiedziona i nie-szczęśliwą w progu życia — szepnęła Ewelina... Sama sobie powiadam żem dziwaczna i śmieszna, a jakiś głos wewnętrzny szepcze mi przecie iż i mnie jeden dzień w Arkadyi się należy... dobry mój opiekunie...

Cóżem winna że z prozą życia pogodzić się nie umiem i nie mogę, z człowieka upadkiem i poniżeniem, z tém wszystkiem do czego spokojniejsi nareszcie przywykają jak więzień do stęchlizny swego zamknięcia. Gdyby mi nie świeciło trochę ideału na ziemi... wyżycbym nie potrafiła ...

— Nie chcę cię rozczarowywać, rzekł Starża — ale podobno ideały są w niebiesiech... a ziemia będzie wiecznie karykaturą tego co marzym ...!

Ale nadzieja jest największém szczęściem — usypiaj z nią i marz...

Tą razą jak po wielu podobnych rozmowach, *deus ex machina*, ukazał się niespodzianie wchodzący Guccio. — Starża zamilkł nagle, popatrzył na gospodynię, która się zarumieniła.

Gość był pomieszany i blady, siadł co najrychlej, czując może iż nadszedł nie w porę i przerwał poufną rozmowę. Hrabia wedle swego obyczaju, mimo znaków dawanych mu przez Ewelinę aby pozostał, wziął za kapelusz i zagadał coś o grze, o przegranój, o nałogu i zabierał się do wyjścia —

— Jeżeli hrabia idzie, to ja, odezwała się Ewelina do Guccio — proponuję panu przechadzkę... Pora piękna, a ja długo w miejscu usiedzieć nie umiem... Starża woli pójść grać, my co nie gramy pójdziemy może trochę się orzeźwić powietrzem...

— Z największą przyjemnością — rzekł żywo przybyły.

Ten frazes stereotypowy wywołał ruszenie ramion pięknej pani.

— Idziemy więc! zawołała.

Podała mu rękę i dosyć jakoś posępna, dość niecierpliwa zwróciła się z nim nie na zwyczajną a oklepaną przechadzkę do parku, ale za miasto w piękne góry zielone...

Szli długo dosyć to milcząc, to mówiąc o rzeczach obojętnych zupełnie.

— Pobyt mój w Wiesbaden, odezwał się Augustyn po chwili — zostawi mi po sobie na całe życie niezatarte wspomnienia... Nie będziesz się pani gniewać na mnie, choć to na pospolity frazes, jakimi się pani brzydzisz, wygląda, gdy powiem... z trwogą,,, że jój winien je będę...

— A! doprawdy? spytała Ewelina — dziękuje panu... ale z jego smutnej postawy nigdybym się nie mogła domysleć, posądzić, że nasze towarzystwo choć trochę mu zrobiło przyjemności, — że było nie ciężarem ale przynajmniej rozrywką.

Moroz popatrzał i zamilkł. —

— Niech mi pani wierzy, odezwał się po namyśle — że to co mówię, wyszło z głębi wdzięcznego serca i duszy —

Mógłem tylko powiedzieć za mało i niezręcznie — w téj chwili czuję ile stracę...

— Jakto, stracę! spytała Ewelina —

— Będę musiał wyjechać w przedce, rzekł Moroz. Wczoraj odebrałem list od mojego ojca, kuracya jest prawie skończoną, obowiązki powołują mnie do domu... Odjadę z żalem, ze smutkiem, — przewidując że mi już pewnie drugi raz w życiu taka szczęśliwa nie zabłyśnie chwila.

Ewelina popatrzała nań bacznie, ale poważnie i chłodno, nie mógł dostrzedz lekkiego ust jój drżenia i zmiany twarzy.

— Gdyby panu w istocie było tak dobrze z nami... a! życie tak krótkie, tych chwil jaśniejszych tak mało — mógłbyś przecie uczynić pan jakąś ofiarę i dłużej nieco z nami pozostać.

— Tak pani, ale do chwil jasnych, do jaśniejszych ludzi, niepotrzeba się może nadto przyzwyczajać —

Człowiek przeznaczony do walki i cierpienia, rozpieszcza się wśród nich, a rozpieszczony marnieje. —

Życie twarde jest i ciężkie. —

— Więc podług téj teoryi — chwile jasne byłyby zakaznym owocem?

— A przynajmniej niebezpiecznym pokarmem, gdy do nich podniebienie nawyka. Szczęście jest wyjątkiem, cierpienie prawidłem ... lekarstwem.

— O! proszę mi bardzo wskazać to panaceum.

— Zdaje mi się żeś je pani czytała na pieczętce mojej, umyślniem je obrał za godło, aby nigdy o niem nie zapominać ... Powtarzam to ciągle sobie: „Życie chorobą— lekarstwem praca.“

— Chorobą życie! chorobą! powtórzyła Ewelina— tak! to być może— ale jakże smutno z tą myślą się oswajać...

Lekarstwo może dla tego tak skuteczne, że powoli— zabija.. —

Milczeli tęskno, idąc powoli.—

Ewelina zdawała się nabierać odwagi i siły.

— No, nie jedźno pan jeszcze ... nie jedź— odezwała się po krótkim milczeniu— proszę pana... Sam mówisz że ci tu bardzo źle nie jest.— Proszę, choć nie mam do tego żadnego prawa oprócz mojego egoizmu...

Będzie mi tu tęskno i smutno z tym pocziwym Starzą... Przecież coś choć dla kąpielowej przyjaźni uczynić się godzi...

Gucio się zarumienił.

— Ale pani, rzekł niezręcznie— ja się prawdziwie lękam ... abym ...

Ewelina podchwyciła.

— Uzegóż się pan lękaś? biednej, bezbronnej kobiety ... minęły już te czasy gdy wejrzenie nasze pętało, słowo rozkazywało, nadzieja uśmiechu czyniła szczęśliwych...

Jesteście wszyscy wystygli — od dzieci prawie rozczarowujecie się swobodą życia i obyczajów, która wszelki urok ściera ... kobieta dla was jest istotą rodzaju żeńskiego powszednią i spospolitowaną... to więc co mówisz o niebezpieczeństwie ... nawyknienia za grzeczność tylko ująć może... Nie lękacie się niczego ... jesteście tak swobodni ... a tak zresztą obojętni...

Moroz drżał cały.

— Niechże mnie pani nie liczy do tego ogółu — rzekł zwolna, nie jestem wyjątkowym wcale, ale do dzieci wieku takich jakie pani widzisz wszędzie po świecie — do prawdy nie należę. Nie mogę dać na to lepszego dowodu, jak będąc posłusznym rozkazowi i — zostając w Wiesbaden. — Jestem z tego najszczęśliwszy... chociaż mój ojciec...

— Czy tak surowego masz pan ojca? spytała Ewelina.

— Surowego, nie, ale nieubłaganego gdy idzie o spełnienie obowiązku.

Piękna pani zamyśliła się nieco. —

— Szanuję charaktery energiczne, rzekła — Jest przecie sprawiedliwym i choć trochę wyrozumiałym na wymagania!... takie jak moje?

— A! pani jest to prawość sama — odparł Guccio i pod surową powierzchownością serce anielskie. Od prawideł wszakże, które z zasad przez się przyjętych wyczerpnął, żadna siła ludzka oderwać go nie potrafi. —

Nie potrzebuję mówić pani, że ojciec mój jest w najściślejszym tego wyrazu znaczeniu — demokratą, tak wyłącznym w swych przekonaniach, tak surowym jak czasem bywa stara arystokracja, w pojęciach swych przywilejów z łaski Bożej. — Ojciec jest dumny swym pochodzeniem ludowym, mieszczańskim, jak jaki Montmorency genealogią od krucyat. Ale z tą dumą dziecka ludu łączy pojęcie wielkich obowiązków, jakie ona wkłada, wymaga od tych, których jest bratem, ażeby idei swój i posłannictwa byli godni. — Dla tego może wszystko co odrywa od ziemi, od pracy, co unosi w sfery poezji i marzenia, co człowieka zmiękcza i łagodzi, uważa jeśli nie za grzech to za niebezpieczeństwo... Ileż to razy z obawy abym obozu nie rzucił i nie zszedł z placu walki, — odebrał mi Götthego, spalił Mićkiewicza, ile szpagatów wyrzucił mi oknem na ulicę...

Ojciec mój, będąc człowiekiem wieku swojego i klasy, purytaninem jest w swym rodzaju ... obawia się odstępstwa, a odstępstwem nazywa inny tryb życia, inną nawet pracę nad tę, która mu się zdaje dla nas przeznaczoną. Znajduje on w niej nie tylko cel materyalny, nie tylko nabytek siły, ale jakby higienę życia i potrzebę zdrowia i czerstwości. Dla niego ideałem jest ziemia urządzona w ten sposób aby potrzeby jak największej liczby mass — były zaspokojone, aby wspólnemi spójnemi trudy szli ludzie do wybicia się z zależności od natury, od sił nieprzyjaznych, a z pracy machinalnej, bezmyślniej, podnieśli się wyzwoleni do inteligentnej, więcej duchowej i godniejszej człowieka. Na téj drodze w istocie tyle jest do zrobienia, że mu przebaczyć można iż spocząć nikomu nie dozwala... Może z tych kilku rysów już go sobie pani wyobrazisz nieco... Jest to Spartanin w szarój kapocie kupieckiej, kocha mnie, ale miłość jego jest nieubłaganą w wymaganiach i nie daje się ugiąć gdy w sumieniu zaczerpnie pojęcie obowiązku...

Ewelina słuchała, lekkie drżenie znowu przebiegło po piękném jéj licu... westchnęła.

— Jakkolwiek ubolewam, że ze swego programu ojciec pański wyrzucił poezję, widząc jéj stronę enerwującą a nie chcąc dojrzeć twórczej i wzmacniającej — nie mogę nie poszanować tak pięknego

charakteru człowieka... Obawiam się tylko aby ten Spartanin, jak go nazywasz, nie skazał was na szarą polewkę rzeczywistości... na całe życie. — Pan zdaje mi się pogodzić byś umiał zadanie wieku i ludu z wiekuiłą serca potrzebą. —

Jakkolwiek surowy — (boję się go, wyznaje —) dodała, ależ tak znowu bardzo za złe wam nie weźmie że trochę dłużej zostaniesz z nami?

— I ja się tego spodziewam, odparł weselęj Gucio — odpiszę, co nie będzie kłamstwem ani przesadą że moje zdrowie wymaga jeszcze dłuższego pobytu... Nie lubi on oderwania się od pracy, ale nie chciałby mnie widzieć kaleką lub niedołęgą...

— Ale, powiedzże mi pan co znaczy ta ręka na temblaku ... nie śmiałam go pytać o to, przerwała troskliwie Ewelina ... a dotąd nie wiemy, czy to przypadek ... czy ... ?

Gucio się zmięszął.

— Tak jest, rzekł — to przypadek, rzecz mało znacząca, silne stłuczenie... Zamilkł, nalegać nie wypadało, chociaż przypadek i stłuczenie nie wiele tłómaczyły. Po chwili obojętnej rozmowy Ewelina zwróciła się ku miastu... Oboje pomieszani byli i nie swoi, rozmowa po kilkakroć jeszcze wpadała na poufalsze zwierzenia, ale gdy już miała pewną zwyczajową przestąpić granicę ... cofała się lub zwracała jakby przeleżała... Ewelina zwykle śmiała do

zbytku, otwarta więcćj niż kobietom przystało ... tym razem zdawała się umyślnie hamować.

Zbliżyli się już do miasta ... Moroz westchnął.

— O! nad wyraz, rzekł, przykroby mi teraz było opuścić Wiesbaden z tą myślą, że tu panią zostawię ... panią coś tak dla mnie była łaskawą. Jestem niezgrabny jak zwyczajnie kupczyk, płacząc się, prawie oklepane komplementa, gdy chciałbym coś znaleźć świeżego, nowego, silnego na wytłómaczenie mojej wdzięczności za tę dobroć anielską ... za jej dla mnie wyrozumiałość. Szczęściem żeś pani mi zostać kazała, bo nie wiem jakbym był potrafił wyjechać ... nie miałbym odwagi...

— Odwagi? powtórzyła Ewelina ... na ten raz brak odwagi panu się przebacza, ale w innych wypadkach?

Mężczyzna powinien mieć odwagę olbrzymią, ogromną, mieć ją za siebie i za biedną drżącą kobietę... Szczególniej gdy kto jest jak pan zacnym i czystym ... nie tylko winien być odważnym ale prawie zuchwałym ... nadewszystko zaś otwartym i szczerym... Ja jestem tylko słabą kobietą a widzi pan ... jakem do zakłopotania was otwarta ... prawdomówna ... nic nie taję...

Pamiętaj to pan ... proszę...

Wyrazy te były znaczące, zarumienili się oboje bardziej jeszcze ... potem Ewelina jakby dla ode-

brania zbytniej wagi swym słowom zaczęła śmiać się i żartować... Moroz szedł zamyślony ale z twarzy jego promieniało jakby z serca dobywające się szczęście. Powrót z przechadzki był weselszym i swobodniejszym niż jej początek... W ulicy jakby umyślnie czekający na nich zdarzył się Starża, ażeby sami przez miasto nie powracali...

— Wiecie państwo wielką nowinę, zawołał śmiejąc się ... oto dwa aż podobno na raz skojarzą się przez najadę Wiesbadeńską pobłogosławione małżeństwa ... dwa! *qu'on se le dise!* na liczbę naszego towarzystwa nie jest li to zadowalniającém? Statystyka matrymonialna ma swe znaczenie ... po każdój wojnie i klęsce, bale i małżeństwa się podwajają...

— Ale mówże kto za kogo wychodzi! spytała Ewelina ... *vous me faites venir l'eau à la bouche!* niechże ujrzę tych szczęśliwych!

— Hrabina Kaisersfeld niezmiernie czynna zawsze, która jeżeli nie nawraca na katolicyzm izraelitów i nie werbuje dyplomatów dla cesarza wszech Rosyi ... nie zaciąga pożyczek dla siebie lub dla małych państw odłużonych — przecie coś robić musi ... w Wiesbaden zamierzyła choć jedno szczęśliwe stadło skojarzyć... Mówią że popiera nader

gorliwie maryasz panny prezesownej Burskiej z pięknym Antynousem de Darnochą... Zdaje się że w tym celu dotychczasowy *simple gentilhomme* Mr. Vincent de Darnocha, bilety swe wizytowe kazał z małym przerobić wariantem ...:

Mr. le Comte Vincent Ch...

Hrabiostwo to *avant la lettre*, oktrojowała mu protektorka, pasując go zapewne *à huis clos*...

— Nie bądź pan tak zły ... przerwała Ewelina.

— To będę nudny, a pani nudziarzy nie nawidzisz, odparł Starża.

— No, to bądź zły, a mów dalej, ale po cichu...

— Darnocha jest teraz nieustannym gościem w domu prezesa, zdaje się w łaskach samej pani i panny... Wielcy obserwatorowie nie wątpią że się to stułą i pierścieniem skończyć musi.— Żonę mieć będzie wprawdzie nie piękną, ale posażną, umiejacą się prezentować z dystynkeją, mówiacą po francusku i ... prezesównę... !!! A! gdyby ów mąż znakomity który miał tak ciekawą z Bibikowem rozmowę...

Prezes Burski — wiedział co Hamowski rozpowiada o ojcu narzeczonego i jego zaletach jako doskonałego ekonoma ... bo — niestety ... ojciec tego hrabiego jest nawet dotąd, co najwięcej rządzcą w dobrach pana...

Toby mu wcale nie ujmowało temu Antinou-sowi, dodał Starża, i owszem ale po cóż kłamię?

— Dla mnie to jest szczególniej bolesném przerwał Moroz — Darnocha był moim towarzyszem w Uniwersytecie, pokładaliśmy na nim najpiękniejsze nadzieje, zdolności miał wielkie ... a dziś to wszystko ... marnieje ...

— Nie, przerwał Starża — spożytkuje naukę i talent na korzyść panslawizmu moskiewskiego, którego zdaje się chce zostać rycerzem obrońcą. Jest rzeczą niewątpliwą, że hrabina mająca tyle misyi różnych ile włosów ... (jeżeli ma włosy) zyskała go panslawizmowi ... nie mając gdzie właściwiej umieścić i ... w nagrodę zapewne myśli go ożenić bogato...

— A! i możnaż tu mieć szacunek dla świata i ludzi, w którym takie frymarki w biały dzień się odbywają z krwią zimną, — gubi się młodzież, ten zastęp prawdy obrońców ... zdradza ją i przechodzi do obozu fałszu ... Młody człowiek z uczuciami świętymi i czystymi młodości ... sprzedaje się dla próżności, i próżnowania ... a! to okropne!

Starżo kochany, mówmy o drugim małżeństwie, ażeby nie mówić o pierwszym...

— Drugie, jest mniej pewném, dodał hrabia... ktoś gdzieś podsłuchał czy podpatrzył skłonności Potomskiego do baronowej von Dorfer, a inny zarę-

cza iż baronowa gotową jest złapać go za pierwsze wyrzeczone słowo i poprowadzić do ołtarza, aby raz przecie wdowieńskie życie zamknąć na kłódkę małżeńską. — Dramat pomiędzy wdową a starym kawalerem odgrywa się z cieniowaniem godnym wprawnych a doświadczonych artystów...

Dla oczu profanów którzy żądają scen gwałtownych nie pochwycony postęp ku rozwiązaniu ledwie dojrzanym jest, dla smakoszków i ludzi wytrawnych co za doskonała komedya!... Baronowa nie śmie być zbyt natarczywą, boć zresztą nie ma tak bardzo o co, a z drugiej strony, czasoby nie chciała stracić ... Potomski waha się, kunktuje, natrafia na niektóre ostre kanty charakteru ... na groźne objawy woli, na złe humory dowodzące afekcyi wątrobowej ... wszystko to trwoży go. Jednego dnia czułym bywa aż do skraju oświadczenia, drugiego chłodnieje jakby natychmiast miał pożegnać. Oboje cierpią, a że nie są w wieku w którym z uczuciami i wrażeniami igrzać wolno bezkarnie ... jeżeli nie dojdzie małżeństwo, może się to skończyć na złotaczce przynajmniej...

Powiadam państwu jest to dramat dla nas smakoszków, w którym nie brak nawet epizodów ciekawych...

Potomski jużby się był może i oświadczył, w tém przybywają dwie panny Karlińskie, dwie różyczki

rozwite świeżo... Józia i Stasia... Potomski jest wielbicielem właśnie takich rozwitych i pełnych różyczek ... to go powstrzymuje... Baronowa widzi go ponuro ciągnącym w ślady pięknych panien, a piękne panny nie odstraszaające się jego łysiną... Mama już robiła małą *enquête preparatoire* o szlachectwie i majątku Potomskiego na wszelki wypadek.

— No i cóż dalej, co dalej — podchwyciła Ewelina — mów, mów... Widzę że już się wstrzymujesz, a ja dziś ze smutku i nudy ogromną ilość ploteczek połknąć jestem gotową ty ... masz je zawsze w zapasie stary przyjacielu, potrząś sakiewkę podróżną...

— Niestety ... próżne już te sakwy moje, odparł Starża ... nie mam już w nich nic, prócz ... trochę złośliwego projektu Hamowskiego. Znacie państwo tego oryginała w węgierce, który tak głośno gada jakby sam był głuchy, śmieje się burzliwie i rozsiada przy stole bez względu na to że jest w ciasno zaludnionej Europie nie w domu... Poczciwy ów szlachcic oburzony tém że Darnocha odgrywa tu rolę panicza i hrabiątka, zbiera się na zapoznanie z prezesem aby przy zdarzonej okoliczności udzielić mu prawdziwej genealogii przyszłego zięcia. W innym człowieku nazwałbym to złośliwością,

u Hamowskiego jest to proste oburzenie na fałsz którym się brzydzi...

Ewelina uśmiechnęła się.

— Byłby to piorun...

Byłaby to słuszna kara — dodał Starża ... ale nie zapominajmy że hrabina Kaisersfeld jest kobietą sto razy przebieglejszą i zręczniejszą od dziesięciu Hamowskich... Jeżeli postanowiła swego protegowanego ożenić, to go ożeni bogato, nie tu to w Moskwie, w Petersburgu, z jaką księżniczką Gruzyską, kniaziówną tatarską lub ... amerykanką bez tytułu a z dollarami.

— Szczęśliwy de Darnocha! rozśmiała się Ewelina — zyska to czego pragnie ... miejsce w dyplomacyi, żonę nie piękną o którą nie będzie potrzebował być zazdrosnym i majątek na który nie zapracuje...

Potomski, po owym obiedzie pod czteroma porami roku, na którym przyjmując Darnochę zawarł z nim zaczepno-odporne przymierze — skreślił był potem plan całej przyszłej kampanii, który się nigdy nie miał wykonać. Darnocha nazajutrz już o nim zapomniał uniesiony prądem szczęśliwych okoliczności... Potem spotykali się rzadko, przybycie hrabiniej, zawarte z nią stosunki, odsunięcie się z koła,

w którym się Potomski obracał, niespodzianie uzyskana protekcyja, rozdzieliły sprzymierzeńców związanych tylko interesem. Zaniechali się wzajemnie... Potomski zrazu chciał korzystać z zawartego układu ale znalazł zimną obojętność w młodym człowieku i oburzony odsunął się od niego, nie oszczędzając go wcale, gdy się o nim mówić zdarzało. Osamotnienie baronowej von Dorfer którą pan Wincenty opuścił, uczyniło ją dla Potomskiego przystępniejszą, korzystał więc z tego i ostrożnie wprowadził, ale z nadskakującą grzecznością usługi jej swe poświęcił.

Dramat o którym wspomniał Starża odgrywał się w istocie, choć może bujna wyobraźnia postrzegaczy nieco mu dodawała kolorytu.

Potomski nie mogąc darować zdrady i sprzeniewierzenia Darnosze, a może bardziej jeszcze jego dumno-pegardliwych tonów, cicho knował przeciwko niemu.

Trudno było zaszkodzić mu u protektorki, bo ta miała już wyrobione a niewzruszone zdanie o wielkich nadziei młodzieńcu ... ale jak skoro dowiedziano się że począł bywać u Burskich, że tam na coś naksztalt małżeństwa się zbiera...

Potomski, Hamowski, a nawet wciągnięty w spisek nieco zazdroszczący mu pozycyi jego Jeremi Lubicz Pawłowski, postanowili wywieść Burskiego

z błędu. Hamowski byłby to sam może uczynił, poddmuchnięty tém żywiej się wziął do dzieła.

W ogólności pan Darnocha nie miał przyjaciół—jedna hrabina unosiła się nad nim, popierając go silnie, w reszcie towarzystwa więcej znajdował niechętnych i chłodnych niż życzliwych... Był w nim chłód wężowy który przestraszał.

Pan Wincenty czuł że go nie lubią ale nie wiele dbał o to.

Zerwawszy prawie stosunki z towarzystwem polskiém, wcisnął się w to koło hybrydów, które nie było ani moskiewskiém, ani polskiém, ani europejskiém, a gotowém było zawsze zostać tém z czém mu będzie wygodniej. Toć było najwłaściwsze dlań miejsce i prawem powinowactwa prędkiej później musiał się dostać w tę sferę.

W chwilach to nie samej walki która rozgrzewa najobojętniejszych, ale ... w upadku i niedoli wyprobują się ludzie a moralna ich wartość ocenia najlepiej. Kogo klęska oddala od sprawy świętej, a przegrana w przekonaniach łamie— ten pisze na siebie wyrok albo sromotnego niedołęztwa albo podłości nikczemnej.

Czoło stawić panującej opinii, iść przeciwko prądowi ogólnemu, opierać się hałaśliwym wrzawom tłumu, dowodzi charakteru i energii przekonania.— Nie dzieląc ich nawet potrzeba przed niemi,

gdy się na ten sposób objawiają, skłonić czoło z poszanowaniem... bo wszelkie przekonanie szczere jest czcigodne, a gdy się okupuje ofiarą — święte... Z dnia nadziei w chwili niepowodzenia nawróceni... o! to tłum spodlonych, którym się z obu stron płaci pogardą.

My na nieszczęście — nadto jesteśmy znękani, prześladowani, uciśnieni, abyśmy się upadkom dziwić mieli — ale jak nie boleć nad niemi!

W czasie prześladowania Dyoklecyanowego chrześcijanie także kupowali sobie świadectwa składanych ofiar i przez słabość zapierali Chrystusa jak dziś inni zapierają się Polski.

Nie zaszkodziło to sprawie chrześcijaństwa, nie zaszkodzi polskiej sprawie, że plugawe wyrzutki odejdą od niej... Nie jeden z płaczem, ze zgryzotą wróci potem, gdy przyjdzie trwoga, do macierzystego progu... ale z stygmatem na czole...

Nie wyjdzie nigdy z pamięci tych co go znali, ta dziwna postać odstępcy, wzgardzona od Moskwy, zapomniana przez Polaków, którą Puszkina napiętnował w swym wierszu... Tadeusz Bułharyn... Bułharyn, który pisał wprzód po polsku nim zaczął po moskiewsku i był polskim żołnierzem nim został czynownikiem petersburskim — jak Sękowski drugi odstępcą ojczyzny i języka, chwycił się pióra dla pieniędzy... W literaturze ówczesnej

brakło pismaków, talentów, zdolności, a Moskwa się zawsze cudzém żywić przywykła... Poszedł więc ów apostata na dziennikarza i pamflicistę do Petersburga, a nie zawiódł się, bo go okryto złotem i — błotem.

O błoto dbał widać mało; pieniądze lubił...

A jednak w téj postaci tak upadłej, znikczemniejszej, sprzedającej po kawałku sumienie jak się sprzedają ulicznice ... coś pozostało polskiego — zgryzota!! W najtajniejszym kątku jego mieszkania, gdzie nigdy szpiegowskie nie sięgnęło oko, za parawanami sypialni wisiały portrety Kościuszki, Dąbrowskiego, Poniatowskiego, Sobieskiego... Rejtana.. Zmoskwiczony ów człowiek w chwilach ucisku dusznego zamykał się z cieniami tych czystych bohaterów, aby choć myśleć choć płakać po sprzedanej ojczyźnie... za trochę pieniędzy a dziesięć kroć więcej pogardy.

Wytłumaczcież ten fakt psychologiczny?

Któż wie! jeżeli tam łzę uronił... czy mu w niebiesiech bohaterowie nie wyjednali — przebaczenia.—

Darnocha idący nieśmiało w ślady nie Bułharynów i Sękowskich, ale nędzniejszej gawiedzi — (korrespondentów dziennika warszawskiego) — w téj chwili jeszcze nie miał najmniejszego poczucia podłości jaką popełniał. Wymowa hrabiny Kaisersfeld, która ze stanowiska europejskiego zachowaw-

czego argumentami Emila Girardina umiała dowodzić i przekonywać o niedorzeczności marzeń polskich i miłości platonicznej jakiejś tam małej a bezsilnej... nieistniejącej na ziemi tylko w ideale ojczyzny... podziały silnie na Darnochę... W ustach zalotnicy pięknej jeszcze a wprawnej we wszelkiego rodzaju nawracania, argumenta te nabierały szczególnej powagi... Umiała ona uśmiechem straszliwego szyderstwa arystokratycznego zbywać co jej zbyt uparcie stawiało na drodze, mówiła tak przekonywająco w imię rozumu, praktyki, prostej rachuby ... naostatku w imie niby dobrze zrozumianego interesu tej nieszczęśliwej Polski ... *cette malheureuse Pologne!*

Trzeba było słyszeć jak brzmiała w jej ustach zesnurowanych ta nieszczęśliwa Polska!! O! szyderstwo!

Darnocha jako wtajemniczony nieco w ostatnie wypadki znający ludzi i sprawy, które w obozie moskiewskim znano nie dość lub fałszywie — zdobyczą być wielce pożądaną dla tego koła, do którego hrabina należała. Czerpała od niego pani Kaisersfeld niezmiernie ważne wskazówki, z których umiała korzystać...

Po całych też wieczorach zajmowały ją tajemnicze jakieś korespondencje.

Oprócz tego Wincenty młody, przystojny podobiał się osobiście stariej a zużytej zalotnicy, która tém wiećej lubiła kwiaty, że już sama przekwitała.

Chciała go do siebie przywiązać stale węzłami wdzięczności, któraby stósunki utrwałała... Spodziewała się ożeniwszy go sprowadzić z żoną tam gdzie sama miała przebywać. Panna Burska nieładna, nie-miła, niezbyt młoda, nie była dla niej wcale straszna rywalką, — a hrabina mogła maskę młodości wiekuiście zachować — jak Ninona —

Wprowadzony w dom prezesostwa przez hrabinę, obdarzony przez nią lekkomyślnie tytułem, zbogacony romantyczną historią jakąś zapewniającą mu gdzieś i kiedyś milionowy spadek — Darnocha zyskał sobie nadzwyczajną potulnością, pokorą, usłużnością, pochlebstwem — rodziców względy i favor widoczny u panny. Zręcznie dosyć wynosił on wielkość i znaczenie prezesa jako męża politycznego; prezesowej smak i dowcip wielbił niemal na klęczkach, a pannie... wmówił że jest najdystyngwowaną istotą... wybraną, jakiej równiej nie mają dwory monarchów i najstarsze dynastye...

Nie mogąc oczywiście wbrew zwierciadłu chwalić piękności, unosił się nad tém *je ne sais quoi de distingué, de noble cette superiorité innées ... cet instinct... etc...*

Panna uwierzyła iż jest niezrównanie dystyngowaną, a była w istocie niesłychanie śmieszną parafianką.

Nawzajem w domu prezesa chórem wszyscy unosili się nad wychowaniem, talentami, powierzchownością, zdrowym sądem — taktem młodego człowieka...

Za dystynkcyę, panna Hersylia odwdzięczyła mu się tym — taktem...

Burskiego zawsze mającego skłonność ku tój pocziwój Moskwie, i to dla Darnochy jednało, że go widział protegowanym przez wszechmogącą hrabinę Kaisersfeld... a znał przykłady, gdzie jój protekcyja z małych urzędniczków celnych w pół roku cudem tworzyła najwyższych dygnitarzy.

Hrabina była nietylko w Petersburgu tak wszechmogącą, co dziwniej miała potężne wpływy w Berlinie, w Paryżu, w Wiedniu, w Turynie, nie mówiąc już o małych dworach księżtewek niemieckich, gdzie list jój był rozkazem...

Szło jednak prezesowi o bliższe nieco wyjaśnienie istotnego położenia, pochodzenia, rodziny, stosunków i pokrewieństw młodego człowieka... oraz... stanu jego fortuny.

Sądził bowiem naiwnie, że hrabia coś choćby nieco zawikłanego mieć gdzieś musi. Kilka razy

zręcznie o to zagadywał protektorkę — ale ta go zbywała ogólnemi frazesami.

— *Mais mon dieu — cher president... c'est un homme distingué... du meilleur monde... bien élevé, ayant des relations très étendues... et qui certainement à un grand avenir...*

Burski nigdy z niej więcej nad to wydobyć nie potrafił.

Tymczasem Darnocha korzystał ze swobodnych form życia u wód, stał się potrzebnym, wcisnął, omijając nieco prezesa, wkradł w łaski pani i panny. — Pannie Hersylii powtarzał ciągle, iż z jój dystynkcyą dosyć się było pokazać, by zrobić furorę na dworze cesarzowej Eugenii; zaognił jój wyobraźnię wizerunkami paryzkiego życia...

Dziewica w okularach poczęła gwałtownie wzdychać do tego żywota dla niej przeznaczonego ... Darnocha umiał nieznacznie przekonać ją, że nikt nad niego, w ten żywot by ją lepiej nie potrafił wtajemniczyć. — P. Hersylia panowała nad matką, matka co chciała robiła z ojcem (strzegąc się tylko zbyt mu widocznie dyktować prawa), Wincenty więc stał się panem w domu, wprzódby nim pozycyę jego spróbowano podkopać.

Ale w położeniu na kłamstwie zbudowaném nigdy nie ma spokoju, z chmury zawieszonéj nad głową winowajcy, wiecznie mu grożą pioruny.

Nieprzyjaciele pięknego młodzieńca możeby byli go ostrzeliwali z boku nie wając się szturmu przypuścić, gdyby nie rozolutny P. Prokop Hamowski.

Hamowski był, jak go malował Starża, szlachcic starego kalibru, facetus, prawdomówca nie cierpiący fałszu, oburzający się na podstęp wszelki. Nie miał on zwyczaju ludzi brać przez rękawiczki i tego co myślał w bawełnę obwijać. W pierwszej chwili zobaczywszy tego zmetamorfozowanego Wicka, który biegał boso za gęsiami, a teraz miał się za hrabiątko, oburzył się on strasznie, cóż dopiero gdy mu powiedziano, że okryty tym tytułem sięga po rękę panny wielkiego rodu i majątku!!

— Niechby go tam djabli wzięli — zawołał po swojemu Hamowski, niechby się ożenił z tém czupiradłem, w okularach — a mnie co do tego!

Jam nie bocian żebym plugawe płazy wybięrał — ale... kiedy, mospanie — łże, kiedy się na biletach pisze hrabią, a jam to hrabstwo widział na folwarku z bizunem ekonomskim w tarczy... o! to mu tego nie przepuszczę płazem...

Jeżeli Burski tak go kocha i ceni jego osobiste przymioty, że pominąwszy pochodzenie — odda mu rękę szanownej córki swój — bardzo ślicznie! nie mam nic przeciw temu, gotówem stanąć za świadka przy intercyzie. Wszakże jako uczciwy człowiek kłamstwa jawnego nie zniosę... byłoby to tak jakbym patrzył

na złodzieja wyciągającego chustkę sąsiadowi z kieszeni — i milczał! *tacens consentire videtur!* toćbym mu był współnikiem do oszukaństwa...

Przeszkodą z razu dla Hamowskiego było że nie znał prezesa, bo prezes człek ostrożny, nosił za granicą wszystkie wstążeczki od swych orderów w moskiewskiej służbie otrzymanych i nie łatwo zapoznawał się z Polakami, w ogóle dlań podejrzanymi. — Hamowski jakkolwiek do wypadków nie należał, jednak jak wszyscy w cytadeli siedział, badano go z powodu starego siodła, które znaleziono w jego oborze, a na którym mógł może siedzieć jaki powstaniec... zapłacił za nie tysiąc rubli kontrybucyi — i choć się nie krył z tém że powstańców uważał za waryatów, wszakże Moskwę dosyć głośno nazywał łajdactwem... z tych powodów prezes się od niego uchylał.

Miał to do siebie Hamowski że w kraju i za granicą języka w gębie nigdy utrzymać nie umiał, plótk straszliwie równo na moskali jak i na rebelizantów, była to natura gwałtowna, nie pohamowana, naiwna a szyderska razem... Prezes zaś uosabiał *decorum*, śmieszłą powagę i uzurpowaną ważność. Ludzie ci nie byli dla siebie stworzeni.

Ale znajomości u wód robią się łatwo, a często o choć nie zbyt miłe, są nieuniknione. Pawłowski

radzca z Petersburga więc człek nie podejrzany, sam zaprezentował pana Hamowskiego Burskiemu. —

W pierwszej rozmowie szlachcic bardzo cierpliwie wysłuchał zwyczajnych opowiadań prezesa o jego dawniej roli politycznej, znaczeniu, naradach z ministrami, prezentacyi u N. Pana i t. p.

Prezes tak o tém mówić lubił, że niekiedy sławną swą rozmowę z Bibikowem (którą wszyscy we trzech guberniach na pamięć umieli) po trzy razy jednego wieczora powtarzał. Hamowski ujął go tém że jój wysłuchał, nie wedle skróconej redakcyi używaney w razach pośpiechu wymagających, ale w jak najobszerniejszym protokóle...

Niekiedy nawet zapytywał o szczegóły, co Burski ocenić umiał. —

Hamowski dziwiąc się, potakując z admiracją, z namaszczeniem pozorném, choć drwiąc w duszy przesłuchał prezesa. — Znajomość została utrwalona na podwalinie niezłomnej.

Odszedłszy Burski chwalił go jako jedyne rozsądnego człowieka z Kongresówki, jakiego mu się w życiu spotkać zdarzyło. —

Chorując na to iż miał system jedyne postępowania z rządem moskiewskim, który mógł zbawić ojczyznę, dowodząc iż kraj ginął dla tego tylko, iż go nigdy słuchać i zrozumieć nie chciano — prezes był bardzo rad zyskiwać sobie choć pogrobowych

zwolenników, gdyż w istocie już mu się oni teraz na nic nie zdali... Ale Burski pracował teraz dla potomności!! szło mu o kartę historyczną...

W istocie program znakomitego męża cały zależał na tém, aby w mundurze chodzić do władz w dnie galowe, na nabożeństwa do cerkwi uczęszczać, nisko się kłaniać starszyźnie, a względem niższych nosić wysoko...

Hamowski rozmowy, program, komentarze, uwagi, wszystko przełknął gładko, cierpliwie zniósł i prezesa sobie zjednał na zawsze. Tym razem do żadnych zwierzeń innych nie przyszło. —

Nazajutrz i dni następnych prezes spotykał i przyjmował Hamowskiego z widoczną dlań względnością, parę razy mu jeszcze z niektórymi ciekawymi dodatkowymi szczegółami powtórzył swoją owę sławną z Bibikowem rozmowę... historyczną (w swoim czasie była ona nawet w „*Journal des Debats*“ wzmiankowana)... na ostatek stanęli na wcale poufałej stopie, rozumie się o ile gwiazdzisty prezes, radzca rzeczywisty mógł być poufale z prostym obywatelem i radczą tylko Towarzystwa kredytowego. —

Rozmowy toczyły się zawsze o przedmiotach poważnych... Burski stał przy ulubionym temacie.

— Gdyby oni mnie byli słuchali! ba! ba! wszystko by było inaczej. —

Hamowski nie przeczył i nie przeszkadzał mu wcale, kiwał głową, tak że można to sobie było jak chcąc tłumaczyć. — Nie chciał on gwałtownie naprowadzać rozmowy na to, do czego zdążał — ale czyhał na obrót przyjazny jego zamiorom. Stał jak strzelec na przesmyku, miał czas. Zwierzyna wyjść kiedyś przecie na strzał musiała.

Z bijącym sercem usłyszał jednego dnia prezesa poczynającego utyskiwać nad młodzieżą, przewagą jaką ona w społeczeństwie uzyskała, nad zgubnym jej zepsuciem... itd.

— A to prawda! to prawda, poddał Hamowski — ja także z trwogą poglądam w przyszłość, młodzież nasza przedstawia następne pokolenie... a cóż to będzie gdy z temi wadami dojrzeje i postarzeje?

— Przyznam się panu Radzcy, rzekł ciągnąc dalej prezes — nie widzę na przykład tu ani jednego młodzieńca takim, jakimi myśmy byli w ich wieku, Wszystko to zarozumiałe, pyszałkowane, pewne siebie bez miary a pogardzające doświadczeniem... Tak jest! wszyscy oni tacy, no — może z wyjątkiem tylko jednego hr. Darnochy...

— Jak? jak? spytał udając zdziwienie Hamowski, bo był filuternym gdy chciał... hrabiego?

— Hrabiego Darnochy, powtórzył prezes.... Czy go pan znasz?

— Darnochę znam... ale hrabiego? Jeżeli to ten Wicuś Darnocha co się tu kręci wyelegantowany, toć go znam od dzieciństwa, ale ten żadnym hrabią być nie może.

— Jak to? wszyscy go tytułują... na biletach się pisze.. zawołał prezes.

— To chyba inny, albo jakaś omyłka... albo już nie wiem co... dodał spokojnie Hamowski — znam i jego i rodzinę... wcale się nie kwalifikują na hrabiów.

Prezes usta zaciął, obejrzał się, i wywiódłszy Hamowskiego w boczną uliczkę, począł go z cicha wybadywać.

— Pan znasz jego rodzinę?

— Doskonale.... odpowiedział szlachcic.... Cenię tego młodzieńca i nadzwyczaj go podziwiam, że się tak umiał wykształcić o własnych siłach....

— Tak, tak... nieszczęścia familijne... rzekł prezes, wiem, wiem... Ten stryj bogaty, który...

— A! to już chyba o innym mowa, nie o moim Wicku, przerwał Hamowski. Ten stryja żadnego nie ma... Ojciec jego był przecie u mnie ekonomem, a teraz jest rządcą u hr.... siostra zamężna w służbie u moich krewnych....

Nie mógł dokończyć. Burski odskoczył, załamał ręce, zbladł.

— Być że to może? co acan dobrodziej powiadasz! Zlituj się pan... czyż istotnie?

— Ale ja nigdy, panie prezesie, odrzekł poważnie Hamowski, nie mówię czego nie jestem pewnym... Tego chłopca znam od bosych nóg, gdy jeszcze czasem dla fantazyi za gęsiami się upędzał. Przyznam że już wówczas błyszczały mu oczy niepospolitym talentem... znać było że to wyjdzie na człowieka.... W tém jego zasługa, że oddany przez litościwe dusze do Batignolles, potem do szkoły wyższej w Montparnasse, na ostatek do Heidelbergu... tak się ślicznie potrafił wyrobić.

Nauka to tam jeszcze nic — dodał Hamowski, tę mości dobrodziejowi talent od Boga dać może, ale zkad ten chłopak wziął takie maniery.... dystynkcyę, ton, elegancyę, powierzchowność pańską... diabli go już wiedzą.... Niepospolity! niepospolity!

Burski stał zasłuchany, osłupiały....

— Szanowny panie, rzekł w końcu widocznie zakłopotany, chociaż radby był ukryć wrażenie, już jak ono tam jest, to jest, ale młodemu człowiekowi szukającemu kariery mogłoby to szkodzić gdyby się rozgłosiło, że... że nie jest tym za kogo miano go w towarzystwie.... Mnie to rzecz obojętna, bo cóż mnie to obchodzić może... ale w interesie biednego młodzieńca... lepiejby tego nie rozgłaszać....

— Ja mu także życzę jak najlepiej, odpowiedział Hamowski, ale nie sądzę żeby zyskał tając się ze swoim pochodzeniem. Co mu to szkodzić może że jest synem oficjalisty... przecie Lincoln był krawcem... a...

— Tak! tak... zapewne...

— Zgadało się o tém, nie mogłem ukryć mojego podziwienia... dodał Hamowski.

Mimo przykrego wrażenia jakie to na nim uczyniło, a które rad był pokryć, prezes pozostał jeszcze na rozmowie z Hamowskim nieco długo i dowiedział się szczegółów biografii starego poczciwego ojca Darnochy.

Udając wesołego chociaż go to zburzyło, wprost z przechadzki po której Hamowski ręce sobie zacierał z radości przez jakie pół godziny, ciesząc się ze swój roli wykonawcy sprawiedliwości, — Burski pobiegł raczej niż poszedł do hrabinéj Kaisersfel. Był zgryziony, przejęty, gniewny, a że hrabina pierwsza mu zaprezentowała tego, którego po cichu już nazywał awanturnikiem, biegł u niéj szukać ratunku. Nikt nad niego boleśniej uczuć nie mógł tego rodzaju nieszczęścia, przywiązywał bowiem nadzwyczajną uwagę do nieposzlakowanego szlachectwa tych z którymi przestawał.

Wpadłszy do salonu hrabinéj, znalazł właśnie Darnochę siedzącego na niskim stołeczku u nóg jéj

i z pół godziny dusił się czekając na osobną audyencyę nie mogą pozbyć winowajcy.... Mimowoli stan duszy malował się na jego twarzy, a pan Wincenty widząc go jakoś kwaśnym dla siebie, dosiadywał, instynktowo czując że mu coś grozi.... Naostatek hrabina zrozumiałwszy téż że Burski ma jój coś do powiedzenia we cztery oczy, zręcznie dała znak młodemu człowiekowi ażeby się oddalił.

Korciło Darnochę zostać na podsłuchach pode drzwiami, ale w przedpokoju czuwał kamerdynier — musiał więc odejść nie wiedząc co mu grozi, a domyślając się przecie iż coś złego dlań zaszło.

— Kochany prezesie, odezwała się po wyjściu świadka hrabina — widzę że mi coś macie do powiedzenia i czuję że to coś niepomysłnego... *Ya t'il des nouvelles politiques? quelque chose de fâcheux?*

— A! nie, wybuchnął prezes — ale przyszedłem na radę do hrabinéj jako do przyjaciółki naszego domu... jestem w rozpacz, podrażniony, zgryziony.... *Un accident m'arrive...*

— Mój Boże! cóż to takiego? w czém wam być mogę użyteczną? Co się stało? córka....

— A! nic się jeszcze nie stało szczęściem.... przerwał rumieniąc się prezes... ale śmieszność zabija, jestem w obawie abym na nią narażonym nie był...

— Ale mówże że? co to jest?

— Rzecz tyczy się właśnie tylko co ztąd wyszłego młodego człowieka — rzekł prezes. W domu hrabinéj, w towarzystwach tutejszych znalazłem go przyjmowanym jako przyzwoitego młodzieńca *de nôtre bord...* wszyscy mu dawali tytuł hrabiego... sądziłem go dobrze urodzonym... bo jest wistocie powierzchowności nader dystyngowanéj... Dozwoliłem mu wstępu do mojego domu... może nawet za często w nim teraz bywa i lękam się czy mu to nie zawróci głowy....

— Ale cóż w tém wszystkiém groźnego, śmiesznego, ja nie widzę! zawołała podnosząc się hrabina. *Cela n'engage à rien.*

— Darnocha! *Mais* Darnocha nie jest żadnym hrabią, wątpliwa nawet nader czy szlachcic... jest to syn ubogiego oficjalisty... wychowany przez dobroczynne osoby....

Hrabina wcale nie zmięszana wysłuchała tego bolesnego wykrzyku ruszając ramionami:

— Ale zkądże pan wiesz o tém?

— Od człowieka bardzo szanowanego, *qui n'a aucun intérêt à lui nuire....* Zgadało się przypadkiem... Opowiedział mi całą historię ich p. Hamowski....

— Hamowski! Hamowski! potrząsając głową odpowiedziała Kaisersfeld.... *Allons donc!* to umyślnie uknowana intryga! Widzą że mu się powodzi, zazdroszczą. I do mnie próbowano z tém przychodzić...

mais cela n'a pas pris! To są bajki, wierutne bajki.... Znałam przecie jego stryja rodzonego hrabiego Dar-nochę w Petersburgu... *il était reçu à la Cour... avec ce titre....* Ojciec zubożał wprawdzie i był... tak... rodzajem dzierżawcy-administratora *mais cela n'empêche pas....*

Uspokój że się kochany prezesie.

Poczęła się śmiać bardzo naturalnie.

— Jeżeli tak pierwszemu lepszemu intrygantowi zechcecie dawać wiarę... to wam pokoju chwili nie zostawiają... Jakże też tego nie rozumiecie iż powodzenie jego musi zazdrość obudzić... że sama myśl iż na wasze względy zasłużył, tych ludzi gniewa... Się-gają może dalej przeczuciem... macie córkę śliczną, on młody i... *Enfin, vous comprenez*, to im zółć porusza.... To widoczna! *cela saute aux yeux*, ale trzeba wzgardzić niecną intrygą i zgnieść ją pod nogami....

— To być może, zapewne, odrzekł prezes mnąc kapelusz w rękach... ale mimo wszystko... choć go szacuję... pragnąłbym aby się z tego jakoś oczyścił... głośno, jawnie i stanął na stonowisku nie wątpliwem... rozumie pani hrabina...

— Uspokój się tylko prezesie, kładąc mu na ramieniu dłoń słodko przemówiła hrabina — nie róbcie z tego tylko sami wielkich historyi. On się oczyści *avec éclat*, zobaczysz.... wszystko się wyjaśni...

Są to różne powody nienawiści i niechęci. Trzeba wiedzieć *que le jeune homme* był razem z wielą w mieszany w ostatnie wypadki, dla tego tylko żeby ten ruch pohamować, *on lui en veut parce qu'il à passé du coté raisonnable....* Jest to człowiek zdrowych zasad zachowawczych... jak my. Pojmujecie że rewolucyoniści się na niego wściekają, myśleli że go już sobie pozyskali... a on im się z rąk wyśliznął. To także do prześladowań pobudka....

— Przyznasz jednak pani, rzekł jakoś mało przekonany prezes, że takich rzeczy jakie mi opowiadał Hamowski, całkiem z palca wyssać nie można... jest w tém coś prawdy...

— *Mais on denature les choses, à si peu des frais!* zawołała hrabina.... Kochany prezesie, sam się zastanów, ty co tak znasz ludzi... i grę namiętności na polu téj nieszczęsnej polityki... ty co sam tak ważną w niej rolę miałeś i mieć jeszcze zapewne będziesz....

Połączany przyjemnie pochlebstwem Burski nieco ochłódł, ale czoło jego było chmurami okryte, hrabina usiłowała go uspokoić, sypiąc mu kadzidłem i obietnicami; nie łatwo bowiem wyrzekała się raz powziętej myśli.

— Tylko się uspokój, kochany prezesie, mówiła, nie gorączkuj się....

— Ale bo, przerwał Burski, gadają już, plotą, że myśli się starać o moję córkę!

— Zostawże to córce i żonie, kobietom prawdziwie wyższym i pełnym taktu.... Niech sobie ludzie gadają... to nie są osoby naszego świata i towarzysztwa — co to nas obchodzi.... Gdyby nawet miał tę myśl... *croyez moi*, nie byłoby to tak złém i niestósowném jak ci się zdaje.... Z jego zdolnościami, wychowaniem, powierzchownością... z jego zasadami... wszedłszy do dyplomacyi... co niechybnie nastąpi — zrobi karierę... ręczę ci....

Prezes nic już nie odpowiedział... a po chwili dodał zamyślony:

— Ja mu życzę jak najlepiej, nie wątpię... ale zawsze potrzeba żeby się to wyjaśniło.... Niech zamknie usta téj potwarzy....

— Wszystko się to zrobi, spuść się pan na mnie... zawołała hrabina... a na miłość Boga, *point d'éclat!*

Burski skłonił się i zostawiając hrabinę milczącą a nieco nadąsaną, wyszedł spiesząc prosto do domu.

Mimo swój roli politycznej, pomimo charakteru energicznego do którego miał pretensyę — niestety — prezes u siebie znaczył w istocie bardzo mało... pani bardzo wiele.

Coraz poufalsze przyjmowanie Darnochy było więcéj téż dziełem córki i mamy niż ostrożnego pre-

zesa, — pilno więc było Burskiemu odegrać się teraz i przekonać żonę że cokolwiek działo się bez jego rady lub mimo niej — źle się działo....

Wpadł zapырzony do hotelu tak iż z postawy jego wniesć było łatwo że niesie z sobą coś ważnego, niespodziewanego... Takim go niegdyś tylko widywano gdy z posłuchania od Dymitra Gawryłowicza powracał; żona się nie lękała wybuchów, wiedziała że w takich razach trzeba mu było tylko dać się wysapać i jakiś czas czuć się wielką potęgą. Siła ta nie drażniona w krótkce się wyczerpywała; zabawka nigdy nie okazywała się szkodliwą i nie ciągnęła za sobą żadnych następstw i zmian w ekonomii domowej. Jedynym sposobem było naówczas pozorną mu okazywać uległość, aby go napowrót pod pantofel zapakować.

Wchodził sam do tego spokojnego ustronia, jak czasem dzikie zwierzęta menażeryjne wymknąwszy się z klatki, same do niej pobiegawszy wracają.

I tym razem prezesowa, którą zastał zajętą wyborem nowego kapelusika, czynnością nader ważną — postrzegła natychmiast co się święci, i zrozumiała że potrzeba mu dać czas do wydychania swjej potęgi.

Burski rzucił się na fotel, porwał z niego, potarł włosy sądząc zapewne że najeżony czub uczyni go straszniejszym — i począł przechadzać się odsu-

wając krzesła i popychając stoły — był to zwykły symptomat nadchodzącej burzy.

— Ale cóż ci jest? spytała żona łagodnie i to-nem niezmiernie pokornym.

— A! cały jestem zburzony.... Daj mi pokój, czekaj aż ochłonę!!

— Czekam... ale cóż ci się stało?

— Mnie nic — powiedz nam! nam!

— Nam... drzę cała... spodziewam się że w téj niepewności trzymać mnie nie będziesz?

— Popelniliśmy dzięki lekkości waszój, kobie-cój — niedarowaną omyłkę....

— Lekkości naszej? *ou prenez vous donc cela?*

— Tak! tak... waszój! ja w tém grałeni rolę zupełnie bierną — prostego postrzegacza... *je m'en lave les mains.*

— Czekam i słucham w pokorze....

— Wystaw sobie.... rzekł prezes zniżając głos... ten Darnocha! hrabia! piękny hrahia! Kaisersfeldowa go broni, ale to człowiek wątpliwego pochodzenia... familia uboga, syn oficjalisty czy coś podobnego... a my nie zbadawszy wprzód wpuściliśmy go do domu, daliśmy mu się zbliżyć do Hersylki...

Tu prezes w przerywanych dość nieporządných frazesach, które oburzenie plątało opowiedział swą historję z Hamowskim i rozmowę z hrabiną; w miarę jak mówił rozognił się, oburzenie jego rosło, poik

się własną elokwencją... Żona mu wcale nie przerywała, małe jęj oczki błyskały, wargi to się uśmiechały to sציagały złowrogo — ale z wielką wstrze-
mieźliwością, cały ten pierwszy szturm zniosła, pewna że wicher przejdzie a spokój powróci.

Gdy prezes się narzucał, wysapał, nagderał, krzesła wszystkie porozpędział i stoły powypychał do ścian, prezesowa spojrziała nań spokojnie, ruszając z lekka ramionami....

— No, ale cóż się stało tak strasznego, mój drogi, rzekła powoli. Zastanów się tylko.... Cośmy winni? U wód przyjmuje się wszystkich, młody człowiek bywał wszędzie, widzieliśmy go jaknajlepiej z hrabiną Kaisersfeld.... Hersylka mu ani nadziei nie zrobiła, ani słowa nie dała.... To jest widoczna intryga....

Mój drogi... ty co tak wyborny masz instynkt, sąd tak trafny o ludziach, tyle doświadczenia... umysł tak przenikliwy (był to plaster włożony umyślnie na podrapaną miłość własną)... sam przecie przyznałeś panu Wincentemu rzadkie przymioty i takt wielki.... To nie jest ani typ ani fizyonomia pierwszego lepszego intryganta, ani pospolitego człowieka.... *Cher ami!* to nie może być syn oficjalisty! *il y a de la race dans ce jeune homme...*

Prezes złagodniał od plastra....

— To prawda... ale, cóż to dowodzi... rzekł, *il peut avoir de la race sans avoir le nom...* rozumiesz mnie...

— O! o! ale też i złośliwe plotki nic nie dowodzą... przerwała jejmość. Przyznasz mi, że kogo poufale przyjmuje hrabina, temu i my naszych drzwi zamykać nie możemy... *C'est un argument irrefutable....*

— Uwaga bardzo trafna — rzekł coraz mięknięc Burski, ale zawsze te plotki... są• rzeczą nieprzyjemną....

— Nieprzyjemną, zapewne — mówiła pani łagodnie, przyznasz wszakże, iż jeżeli mu ona drzwi nie zamknie dla nich, my także nie możemy mu domu wypowiedzieć, dając zwyciężyć intrydze.... Przyznali-byśmy się do omyłki i winy....

— Bardzo słusznie mówisz... dorzucił prezes już zupełnie prawie rozbrojony... jednakże przynajmniej potrzeba się mieć na ostrożności i przestrzedz o tém Hersylkę....

Prezesowa czując że odzyskała władzę, ożywiła się i zawołała już z wielką determinacją.

— Hersylkę! przestrzedz ją! Kochany prezesie... ją! Ależ ty znasz i wiesz co jest nasza Hersylka? czy ona potrzebuje rady i przestrogi! Ona! która widzi zawsze bystrzej, trafniej, prędzej niż my wszyscy! Żadnego, najmniejszego nigdy w życiu

nie popełniła błędu... w znalezieniu się z ludźmi, w stóśunkach... instynkt ma cudowny... ja przed nią z uwielbieniem stoję....

Burski czuł że się już jego rola zaczepna skończyła zupełnie, ostygł.

— To uznaję, rzekł — uznaję, jednakże ty tam jój powiedz, co znajdziesz właściwém....

— Naturalnie, sekretu dla niej nie mam, dokończyła żona — ale ręczę ci że ona wprzód od nas wszystko przeczuła lub się domyśliła.... Z Darnochą jest dotąd na bardzo ceremonialnej stopie, nigdy jój w rękę nie pocałował....

Długo tak jeszcze rozmawiali z sobą, ale prezes zwolna głos zniżał, abdykował, uspokoił się całkowicie i troskliwość o sławę domu zdawszy w ręce małżonki, wrócił do swych rozmyślań nad rolą polityczną jaką niegdyś odgrywał godzinami stojąc... w przedpokoju Bibikowa....

Tak się skończył ten epizod w domu Burskich... chociaż prezesowa pozostawszy sama, wzięwszy na uwagę wszystko o czém się dowiedziała, jakkolwiek przed mężem broniła Darnochy, w duszy uczuła się dosyć niespokojną.... Natychmiast pobiegła z tém do pokoju córki....

Hersylia siedziała w fotelu czekając godziny ubierania, z książką w ręku której nie czytała, myśl jój musiała być w Tiuillerie lub na balu w Hotel de

Ville u p. Haussman'a... przełękła się nieco widząc żwawo i niespokojnie wchodzącą matkę....

Prezesowa szybko, gorąco opowiedziała jej zdarzenie całe, a po rumieńcu, po błysku oczów, niecierpliwém rzuceniu chustki na stół — poznała iż wiadomość uczyniła na córce daleko silniejsze niż się spodziewała wrażenie.

Wysłuchawszy matki, panna ruszyła ramionami i starała się próżno okazać obojętną.

— Mój Boże, zawołała — ale cóż mnie to wszystko obchodzi! Darnocha! Niech sobie będzie czém chce... co mi tam do tego.... Mama sobie postąpi jak uważa.... Co mi tam!

Lecz domawiając tych słów Hersylia rzuciła się na fotel twarz zakrywając rękami.... Pomimo udanej obojętności w początku, matka poznała łatwo iż boleśnie została dotkniętą, a że namiętnie do niej przywiązana była, przypadła całując ją w głowę, usiłując uspokoić i pocieszyć.

— Mów, mówże mi otwarcie, dziecko kochane a niewdzięczne, zawołał — mów, zaklinam, otwarcie... on ci nie jest już obojętnym? on ci się podobał? Ja powinnam to wiedzieć abym postąpiła stósownie... od tego zależy wszystko...

Ale Hersylia spuściwszy oczy zamilkła, milczenie było wymowne, matka łatwo je mogła zrozumieć....

Poruszona, niespokojna, przebiegła parę razy po pokoju łamiąc dłonie i trąc czoło....

— Zostańże w domu, rzekła, dopóki nie powrócę, ja natychmiast wyjść muszę.... Jeżeli ojciec zechce o tém mówić z tobą, nie dawaj mu nic poznać po sobie, zaklinam cię... bądź obojętną, okaż się wyższą nad te drobnostki... Spuść się na mnie, wszystko będzie dobrze... Ja za pół godziny powrócę...

I raz jeszcze pocałowawszy ją w czoło, przesowa zarzuciła szal na ramiona, zbiegła szybko ze wschodów, potem powolniejszym krokiem poszła się przechadzać w stronę Kursalu, a w ciemnych parku alejach, widziano ją przesuającą się parę razy w towarzystwie pana Wincentego Darnochy...

Na pozór nic się nie było zmieniło w sposobie życia osób chwilowo zgromadzonych w Wiesbaden, drobne jednak wypadki, zaledwie dojrzane gołym okiem, wielki wpływ wywarły na humory i stosunki...

Nie licząc już tego że każdy pojedynczo ocierając się o zupełnie dla siebie nowych przekonanych ludzi, słysząc zdania nie zwykłe i dziwnie brzmiące, choć im może nie uległ, uczuć się musiał nieco zachwianym we własnym poglądzie, albo przynajmniej przestać go uważać za wyłączny i jedyny prawdziwy — każdy coś w tém towarzystwie tracił a

może coś nabywał. Zmiany te przychodziły powolnie, objawiały się coraz bojaźliwszém występowaniem z wyrokami, milczeniem ostrożném, wreszcie tolerancją jaka w początku wcale się niepraktykowała.

Dojrzałe europejskie sądy o świecie szczególnież zdumiewająco brzmiały w uszach tych, których przepoiła swojemi dzikimi pojęciami moskiewszczyzna lakierowana powierzchownie na europejszczyznę. To co w kraju zdawało im się postępowém, silném, nieprzełamaném, tu wydawało się śmieszném, tak że po kilku próbach, téj starzyzny farbowanej nieśmieli już wyciągać na jaw. Lubicz Pawłowski nie wychodził z podziwienia nad tém że w środku Europy panslawizm i gminę słowiańską, barbarzyńskimi mrzonkami, pół cywilizowanej dziczy... zwano... Zresztą nadto on był rozsądnym człowiekiem żeby nie uznać iż argumenta, na które się przeciwko niemu powoływano silniejszą miały podstawę, nad te któremi je chciał podtrzymywać — Ład europejski, spokój, mało widoczna czynność rządu, który więcéj strzegł niż kierował, napełniały go podziwieniem i w głębokie wprawiały zadumy. Przywykły do nieustannego spotykania się z niespokojną władzą w Moskwie, mieszającą się do wszystkiego, przerażony niemal tém, że tu jéj nigdzie prawie nie widział. Mógł więc istnieć świat bez piastunek po-

licyjnych, bez zgrozy, arbitralności, cytadel, nadzoru... o własnych siłach — o cudo!!

Rozczarowanie względem mniemanéj potęgi Moskwy — przychodziło mimowoli... ale burzyło całém życiem budowane wyobrażenia!

Parę razy miał zrzęczość mówić o tém poufnie z rodowitymi moskalami, którzy się nie przyznawali do tego iż ich upokarzało porównanie własnego kraju z resztą Europy — dawali jednak mimowoli poznać — iż coś... do zrobienia ich pozostawało, aby od zgnitego zachodu zbyt daleko się nie zacofać.

Dla Polaków z pod innych rządów, wyzwolenicy chwilowi z pod moskiewskiego knuta byli także ciekawym fenomenem; istotami wykazującemi do jakiego stopnia daje się ucisnąć człowiek nie tracąc fizyonomii ludzkiej — Burski, Lubicz i inni przedstawiciele tego eksperymentu *in anima nobili* dziwili występując z razu z przekonaniami które były jakby z innego świata naleciałemi upiorami.

Uderzał w tych ludziach brak istotnego wykształcenia, wszyscy byli mniej więcej samoukami. Wiadomości ich zbierane po gościńcach, z książek lada jakich, z rozmowy, z różnych kątów i źródeł, z trudnością lepiły się w jakąś całość. Nielogiczności téj zbierania nie widzieli ci panowie póki jéj im na oko nie pokazano.

Jak w zdaniach i pojęciach tak w zrozumieniu i prowadzeniu życia różnili się mieszkańcy rozbitej Polski. Przybysze z za kordonu w ogóle starali się bardzo o to aby zamożnością, państwem, azyatycznym zbytkiem błyszczeć i imponować — obejście się ich z ludźmi klas uboższych zdradzało, że od niedawna dopiero poczęli odwykać od sprzedawania człowieka i frymarku duszami. Galicyjanie przy ścisłej oszczędności domowej lubili się także pokazać i postawić, ale tylko strojem ekscentrycznym, elegancją, skorupką zewnętrzną, salonową arystokratyczną ogładą. I oni i Poznańczycy mówili nieustannie o pracy organicznej, ale mimo to próżnowali w najlepsze... pracowicie rozprawiając o tém co by robić należało....

Praca organiczna jako biegun przeciwny rewolucyi.... wychodziła nieustannie na plac... znać jednak bliższego jęj określenia nikt dotąd nie dał, a każdy spychał obowiązek ten na bliźniego, sam nie czując się ku temu powołanym.

Stara emigracya (szczątki!) młode tułactwo, wreszcie nieokreślonego pochodzenia żywioły polskie mieszały się tu razem, — począwszy od rzadkich i fenomenalnych jak archeologiczne zabytki mięrosławczyków i socyalistów — demokratów aż do pobożnych, posłusznych ale niewzruszonych w zasadach — ultramontanów.

Trudno bo inaczej nazwać członków tej spójnej części narodu, która w nieograniczonej uległości kościołowi szuka podpory i ratunku dla świata, kraju i siebie... tuli się pod dach świątyni i wyrzeka własnej woli.

Wyrzucać choćby ultra-katolikom ich katolicyzm — byłoby toż samo co im mieć za złe że Polakami zostali. Polska dopóty jest sobą dopóki katolicką; — ale tradycje narodu jasne, widoczne, czytelne w dziejach, dowodzą że katolicyzm nasz polski nigdy tym oślepyłymi niewolniczych form katolicyzmem nie był — jaki inne zupełnie stósunki wyrobiły na Zachodzie.

Do takiego obcego nam ultra-katolicyzmu uciekli się — przetwarzając go na swój sposób u nas — wszyscy przeciwnicy rewolucyi, gwałtu, niepokoju, ludzie legalni, znękanymi wstrząśnieniami nieustannymi.

Jest to dziś więcej polityczny przytułek przygłą do religijnej ściany niż głębokie jakieś przekonanie.

Smutno to wyznać, tak jest przecie. Mała garstka idzie z zasadami, reszta — może z niezupełnie fałszywą rachubą.

W Austrii z takim katolicyzmem ostatecznym wytrwać i utrzymać się jest jeszcze możliwem, ale w innych krajach narażony on jest na nieustanne szwanki, bo władza którą szanować musi *quand-même*, nie dowierzającem nań patrzy okiem.

Szczególniej pod panowaniem Moskwy którą oni chcieliby mieć po sobie, nawrócić ją, przejednać z Rzymem — położenie nie do wytrwania. Zasada każe czcić i szanować ten rząd tatarski, który odrzuca, odpycha, niszczy i prześladowuje. Zbliżyć się doń w imię zachowawczych idei ani sposobu, bo tu nie on nie zachowuje — jak w wieży Babel, wszystko się co chwila rozrzuca pod pozorem przerabiania.

Przyznać jednak należy że na całej przestrzeni dawniej Polski — ściślejsi katolicy, nieprzyjaźni wszelkiemu gwałtowniejszemu ruchowi, wszelkiej pracy nieoznamionowanej najściślejszą orthodoksją — sami jedni stanowią jeszcze (może nie wiedząc o tém) jakąś mimowolnie, *sponte* wytrworzoną całość. Zrodziła ją nie ich wola, ale raczej natura. Tylko oni we wszystkich kraju rozerwanych częściach, w emigracyi, w rozprószeniu mogą się zrozumieć, pogodzić i iść razem....

Winni to są niewzruszoności nauki, która nie tylko dogmat ściśle określa, ale wszystkie jego do życia praktycznego zastosowania, z góry i niewzruszenie oznacza. Najmniejsza różnica pojęć, byłaby heterodoksją, rozum więc abdykować musi. Na wszystko są prawidła niezłomne, a w braku ich są ludzie autorytetu, których orzeczenie nieodwołalnym jest wyrokiem.

To zaparcie się siebie daje siłę wielką....

Nie może być zadaniem powieści wnikać głębiej w przyszłość i rolę dzisiejszą tej gromadki ludzi, która posiada sama jedność, spójność, zgodę, środki do życia i trwania.

W stósunku jój do kraju, do starój polskiej Ojczyzny — dziwne tu z samój doktryny wynikają anomalie. Oni, nie mogą mieć innój ojczyzny nad niebieską, a na ziemi rzymską stolicę....

Położenie ich względem ziemskiej jest téż trudne, a polityka zawisła na zdaniu w ręce Opatrzności losów narodu, aż do ostatecznego zaparcia się wszelkiego czynu....

Wiemy nawet że w stronnictwie tém jest jeszcze odcień któryby chętnie Polskę poświęcił nawróceniu Moskwy! uwydatnił on się dopiero ostatnimi czasy.

Nawrócenie Moskwy!! Samo to wyrażenie dziś jest już śmieszném, a myśl dziecinna; tylko o tysiąc mil od Warszawy o czémś podobném zamarzyć można.

Z katolikami polskimi, takimi jakich • tworzy tradycya narodowa, katolicyzm zapożyczony z Zachodu, jest jeżeli nie w antagonizmie, to względem nich wydaje się także hybrydem. Mybyśmy łatwiej przystali do Montalambert'a — oni chętniej garną się do krańcowego i cynicznego Veuillot'a.

Prześladowania religijne Moskwy dają siłę stronnictwu, które pokornym biernym ale stałym oporem, czerpiącym siły z po za kraju — stoi niewzruszenie przy wierze.

Stoi — lecz znowu z zasady szanując wszelką władzę, choćby była w ręku szyszmatyków i pogan, musi jęj ustępować — przyznawszy jęj pochodzenie Boże... Jak daleko ustąpić będzie musiała i mogła...??

Te kilka uwag epizodycznych przebaczą czytelnicy — bo w obrazku współczesnym naszej społeczności, opuszczenie rysu fizyognomii tak wyrazistego — nie darowanémby było.... Resztę każdy we własnych odnajdzie wspomnieniach.

Do tych katolików ściślejszėj obserwancyi o jakich mowa — należała znaczniejsza część gości naszych — jest bowiem w bardzo dobrym tonie wyznawać zasady zachowawcze i zastrzegające od czynu, uwalniające od pracy, otwarcie nieprzyjazne duchowi rewolucyjnemu, składające resztę na Opatrzność. Stanowisko średnie jest zawsze trudném do utrzymania, bo wymaga pewnej samoistności — na krańcowych przyparłszy się do ściany stać i trzymać się łatwiej.

Dla wielu też ta barwa orthodoxyi i (co za nią idzie) konserwatyzmu służy niemal za rodzaj przywileju i zastępuje dowody szlachectwa — otwiera drzwi, ułatwia znajomości, namaszcza na przyzwoitych ludzi.

Bursecy oboje i córka ich, naturalnie należeli do przyjaciół porządku i legalności, wyznawali te zasady dobrego tonu, nie bardzo wchodząc w głębsze ich znaczenie.

Jeszcze jaskrawiej okrzykiwała się jako należąca do bractwa hrabina Kaisersfeld, która dotąd pozostała katoliczką, dla tego tylko że nie widziała korzyści w apostazji a znajdowała dogodność wielką w wierze która jęj rozległe, europejskie ułatwiała stósunki. Korespondowała ona z Antonellim, głosiła się serdeczną przyjaciółką nieboszczki pani Swieczyn, знаła O. Martynowa, uwielbiała Montalamberta, czasem unosiła się nad Veuillotem... choć oddawała też sprawiedliwość i temu biedakowi Hajnemu... i czołem biła przed V. Hugo. W Petersburgu hrabina była tolerantką i chodziła z dworem do cerkwi, w Berlinie zaglądała do pałacowej kaplicy.... ale któżby tego kameleona potrafił wyłómaczyć!!

Z Księstwa i Galicyi było też kilka osób należących do bractwa, do którego naturalnie teraz, *de facto* i pan Vincent de Darnocha się wcisnął. Nosił

małeńki różaniec zamiast bransoletki... kupił go sobie w Wiesbaden pod „kolumnami.“

Zaraz po widzeniu się z Burskim i otrzymaniu od niego przykrój wiadomości o rzuconej na jej protegowanego potwarzy — hrabina ujrzała się zmuszoną zawołać go do siebie i otwarcie się z nim naradzić — troszkę jej było przykro że młody człowiek miał nieprzyjaciół i... antecedensa jakieś przeszkadzające skutecznemu poparciu jego interesów — ale się spodziewała że plotkę tę udusić, utopić, zatrzeć lub pokryć potrafi....

Wysłano natychmiast szukać Darnochy i znaleziono go tam gdzie był zwykły spędzać wolne od pracy chwile — przy stoliku gry.... Młodzieniec ściągnąwszy szczupłą wygranę nadbiegł.... Hrabina przyjęła go zimno, — domyślił się że coś zaszło, ale nie uląkł się zbytecznie.... Miał powody ufania sobie...

— Co ja z wami mam biedy! zawołała hrabina siadając w ładnej pozie na szeszlągu z głową spuszczoną, która dozwalała wzrokiem od dołu przenikającym, wyrazistym go mierzyć. — Powiedz że mi pan co znowu za historye się dzieją? Dla czego macie tak zajadłego nieprzyjaciela w tym jakimś Chamowskim... Hamowskim... Chamskim... nie wiem. Wystaw sobie że przed godziną, zapewne naumyślnie wygadał się przed prezesem że zna waszego ojca,

familię... że ojciec zajmuje w kraju stanowisko nader podrzędne.... Tak tém głowę nabił prezesowi że cały zmieszany wpadł do mnie skarżyć się, radzić! *Il en perdait la tête....* Co to jest? na Boga! co to jest?

Hrabina mówiła słowy przerywanemi... niespokojna, kwaśna, bawiąc się sznurami swego rannego stroju. Darnocha stał jak winowajca, zbladł... zdreptał.... Potrzeba jednak było lub uznać się zwyciężonym i zabitym albo zuchwalstwem nadrobić i odegrać komedję. Powoli wracały mu siły.

— Hamowski — rzekł... a! rozumiem... jest to zajadły nieprzyjaciół całego rodu naszego... starał się o rękę mojej siostry której mu ojciec odmówił — poprzysiągł nam zemstę. Rodzina moja pani hrabino zubożała wprawdzie ale najzasłużeńsza, najświetniejsza... na to nie potrzebuję dowodów *ce serait ridicule*, któż tego nie wie? kto nie zna starożytnej rodziny Darnochów?

Wymówił to tak zuchwale, tak śmiało że hrabina nawet podejrzliwa zawsze, bo nigdy nie będąc dobrej wiary — na chwilę mu uwierzyła.

— Wszystko to dobrze, rzekła — *cher ami*, ale Burski zastraszonego potrzebuje dowodów, a przynajmniej jakiegoś głośnego zbicia potwarzy....

— Mógłbym Hamowskiego wyzwać i zabić — zawołał p. Wincenty — ale ten człowiek nie wyjdzie mi, — nie stanie do pojedynku....

— Zmusić go do sromotnej ucieczki z Wiesbaden....

— On tu ma zbyt wielu przyjaciół i całą klikę mi niechętną... nie ustąpi tak łatwo....

— Zrób że pan co chcesz... odparła niecierpliwie hrabina — ale coś przecie zrobić trzeba... lub wyrzec się wszelkiej nadziei u Burskich....

P. Wincenty chodził i darł rękawiczki... w istocie poradzić nic nie umiał, ale ufał gwiazdzie swojej. Hamowskiego zaczepiać nawet się lękał.

Tu znowu wypadało mu zakończyć rozmowę jakim wykrętem, przybrał postawę dumną, posępną — pewną siebie.

— Cóż pan myślisz? mów? spytała protektorka.

— Daruj mi pani że w tej chwili powiedzieć tego nie mogę, — ale zapewniam że świetne odniosę zwycięstwo.... Proszę mi dać czas.... Znajdę środki.

Hrabina wyciągnęła mu do pocałowania dłoń białą, wzdychając; Darnocha zbliżył usta, wycisnął na niej najgorętszy całus na jaki się mógł zdobyć, położył rękę na sercu i zniknął.

Il est vraiment charmant! cicho patrząc za nim szepnęła zalotnica.... żalby mi go było stracić....
Quelle tournure.

Sam dobrze nie wiedząc co pocznie, zły i przybity wyszedł młody człowiek usiłując zebrać myśli.... Wlókł się wzdłuż lip i platanów nie widząc nic... klnąc losy i ludzi, gdy go za rękę biegnąca pochwyciła prezesowa.... Z twarzy jój poznał że już wiedziała o wszystkim, a z uczynionego kroku mógł się domyśleć że całkiem łaski nie stracił. To mu nieco dodało odwagi.

Prezesowa kochała córkę tą miłością ślepą, egoistyczną, która nie rozumuje co pożyteczne lub szkodliwe a pragnie na razie dogodzić....

Nie roztrząsała przyszłości, szło jój o to by Hersylka nie płakała, nie dąsała się, nie była w złym humorze. Sama także zresztą miała słabość do Darnochy i znajdowała w nim nadzwyczajne przymioty... Pragnęła gorąco aby się te stósunki nie zerwały.

— Chodź pan... zawołała pospiesznie, zdyszana — chodź pan, zejdziemy gdzie na bok, nie trzeba ażeby nas widziano razem.... Mam panu udzielić przestrogę życziwą....

Weszli w ciemne ulice parku.... Prezesowa tak była zmęczona, że ledwie głos dobyć mogła.

— Wiesz pan już co zrobił ten niecny Hamowski?

— A! wiem pani! odparł Darnocha.

— Cóż mówisz na to, co myślisz zrobić... Prezes jest oburzony... moja córka... zmartwiona, ja, co panu tak dobrze życzę, oczywiście mu wydrapała. *C'est infâme.*

— Niech się pani uspokoi, — rzekł p. Wincenty... nie umiem w istocie wyrazić mojej wdzięczności... ale wiecznie zostanę pani obowiązany.

Pocałował ją w rękę, prezesowa zarumieniona sciskała mu dłoń.

— *Pauvre cher ami!* trzeba coś koniecznie poradzić na to... *quelque chose d'eclatant!*... Prezes pocziwy *est susceptible*... uczuł to, bo naturalnie... kiedy pan u nas bywasz....

Prezesowa plątała się, bała się nadto okazać współczucia... zbyt wiele obiecać... a lękała się rozpacz i odstępstwa Darnochy.... Walcząc z temi dwoma obawami, nie koniecznie z sercem mówiła... jedno tylko mógł zrozumieć Darnocha, że mu tu szczerze sprzyjano, a łatwo się było domyśleć iż matka była córki uczuć tłumaczem.

— Niech pani będzie o mnie spokojną... potwarz zmyję.... Jakkolwiek muszę oszczędzać Hamowskiego aby się nie mścił na moim ojcu i rodzinie, potrafię go zmusić... skłonić.... Co się tyczy saméj treści téj plotki, krzywdziłbym mych przodków i siebie gdybym się bronił nawet.... *C'est absurde!*

Prezesowa patrzała mu w oczy, miał tak pewne siebie oblicze i dumnie podniesione czoło iż otucha w serce jęj wstąpiła...

— Ale ja nie wątpię bynajmniej, rzekła... idzie nie o to... idzie o upokorzenie tęg kliki, o zamknięcie jęg ust, o... zwycięztwo jawne.

Wincenty utrzymując się na wysokości pierwszego tonu, odparł rękę kładnąc na piersiach.

— Pani — to jest rzecz moja — skazy nie ściępię.... Potrzebuję chwili czasu... zbiorę przyjaciół i obmyślę środki.

Burska chodziła tupiąc, rzucając pół słowa... cofając je, gubiąc szal, nadeptując nań, oczywiście jeszcze zakłopotana, smutna, ale coraz to spojrzeniem badając Darnochę, nabierała odwagi.... Młodzieniec grał bardzo pewnego siebie.

— Zrobisz pan tak... co uznasz właściwem.. to wiem... jestem pewna... odezwała się w końcu... a! ale dajże mi zaraz znać.... Ja i Hersylka... *nous vous voulons du bien!* myśmy szczere, dobre przyjaciółki wasze....

W tęg opamiętała się znowu że za daleko może zasza w tych czułościach i przerwała żywo.

— Nie jesteśmy w tęg sprawie wcale interesowane... ale smutno jest patrzeć gdy komu wyrządzają niesprawiedliwość... choćby to była tak swięża znajomość jak nasza....

Proszę sobie téj mojej trochę natarczywój troskliwości nie tłómaczyć inaczej.... jak bezinteresowną przyjaźnią....

To mówiąc prezesowa która czuła że jej w całej téj rozmowie brakło taktu i cierpliwości, uszła prędko nie zupełnie zadowolona z siebie. — Nie chciała się przyznać przed sobą, że się skompromitowała... ale się gniewała na własną porywczosć....

Darnocha po odejściu pani padł na ławkę, głowę zanurzył w dłonie i dumał.... Przychodziły mu nawet projekta ucieczki, brakło pieniędzy i — stracić takie stosunki, takie nadzieje.... Co tu począć?

Wstał i przeszedł się ulicą wzdychając, ryjąc ziemię obcasami, nie śmiejąc wyjść na blask dzienny.. krążył tak wśród gęstwiny nie wiedząc co począć z sobą, gdy traf — (nie jesteśmy pewni czy traf sam tylko) nastreczył mu Hamowskiego.

Szlachcie szedł wprost na niego, wywijając laską, w wybornym humorze, i wcale się nie zmięsział zobaczywszy swą ofiarę, której śmiertelny cios zadał przed chwilą.

W panu Wincentym młoda krew zakipiała, ale na krótko — wstrzymał się — przez głowę przeleciała myśl.

— Przemówię... spróbuję odezwać się do jego serca — ha! jeśli mnie odepchnie, czas będzie zawsze chwycić się ostateczności.

Hamowski go już witał jakby nigdy nie.

— No, cóż to tak kawalerze, sam jeden, *solo basso* używasz przechadzki! he? to coś osobliwego? bo ci nigdy na miłym towarzystwie nie zbywa... zwłaszcza pięknych pań. — Ha! co za dziw... młodość! młodość! bodaj to ona! skarb to wielki a nie odzyskany.... Cuda ona dokazuje.

Stanął i wpatrując się w ponurego Darnochę spytał.

— Cóż to tak wasze milczący?

Darnocha myślał od czego począć —

— Szukałem właśnie pana radzcy... rzekł pokornie.

— Ty? mnie? byćże to może? czy mam uszom moim wierzyć? Cóż za powód? zwykle daleko przyjemniejsze miewasz towarzystwo....

— Czy zechcesz może pan chwilę posłuchać?

— Chwilę? godzinę! pół dnia... mam czasu do diabła, a niewiedzieć co z nim robić....

— Z jakiego powodu... spytał Darnocha powoli — usiłujesz pan mi szkodzić? Com ja panu uczynił? czem zasłużyłem na jego niełaskę?

Hamowski stanął, podniósł głowę niby zdziwiony.

— Co? co? wy? może mielibyście co uczynić? obrazić? Co pleciesz kochanie? Zkądże wniosek o mojej niełasce? Mów jasno, nie rozumiem, w zagadki się nie wdaję.

— Przed kilką godzinami w rozmowie z prezesem Burskim, wspomnieliście o mnie, o moim ojcu, rodzinie, w sposób taki... który... bardzo mi może... zaszkodzić.

— Nierozumiem tej wymówki, odpowiedział Hamowski spokojnie — to co powiedziałem prezesowi Burskiemu jest świętą prawdą, a prawda nikomu w świecie zaszkodzić nie powinna.... Kłamać nie umiem, nie mogę i nie będę. — Burski was nazwał hrabią... jużciż do tego tytułu, pozwól, nie masz ani prawa, ani mieć możesz pretensyi, chyba byś świeżo dostał sobie przywilej, o czém wątpię. Ta omyłka, potwarz, czy złudzenie dla was samych byłaby się stać mogła szkodliwą... musiałem go wywieść z błędu....

Kłamstwem — to wiesz... nie idzie się daleko na świecie, a w młodości potrzeba życie rozpoczynać prosto i jasno.... Musiałem prezesa oświecić.

Przypuszczam że on i familia jego mieliby was za jakiego hrabiego, za potomka familii znacznej, możnej, skoligaconej... mogłoby to was wciągnąć w niepotrzebne jakieś marzenia i projekta... a potem z pieca na łeb! Okazałoby się łatwo że to wszystko

na fałszu zbudowane... a okazać się prędkiej czy później musiało.... Winienem to pocziwemu, zacnemu ojcu waszemu, którego szanuję, żeby was wywieść z głupiego, fałszywego położenia.... Musiałem was ratować.

— Ratować! z gorzkim uśmiechem przerwał Darnocha... to mnie gubi!

— Wstydź się... co mówisz! zawołał Hamowski. Miałabyś już jakie projekta niedorzeczne?... i na takiej oparte podstawie? Pfuj! to nie może być... nadto jesteś rozsądny....

— Pan doprawdy zdajesz się jeszcze szydzić i naigrawać ze mnie... szepnął Darnocha... czy się to godzi?

— Nie, panie Wincenty — coraz poważniej i surowiej zaczął Hamowski, który przybrał powoli postawę sędziego — nie, mozem miał ochotę dać ci surową naukę przed chwilą — przyznaję, teraz jestem zupełnie seryo, mówię z serca i życzliwie. Żal mi ciebie — ten kto ci tém zmyśloném hrabiostwem usłużył, źle uczynił, ty gorzej jeszcze żeś je przyjął.... Powtarzam ci, przekonasz się o tém w późniejszym życiu, na kłamstwie się nic nie buduje. — Mnie zaś żadna siła ludzka zmusić nie może, ani wymódz na mnie, ażebym miał choć milczeniem fałsz potwierdzać... Chwilowo może ci być bolesném i kłopotliwém, że zmuszony będziesz

iść drogą prostą, ale kiedyś — wierz mi, głośno czy cicho — podziękujesz mi za to....

Cheiał odejść, Darnocha cały w płomieniach wstydu i gniewu, powstrzymał go gwałtownie.

— Panie radco — wybuchnął — pan mnie do rozpacz przyprawiasz... odbierasz mi los mój przyszły, kiedyś go już prawie trzymał w dłoni.... Wyznam panu wszystko... to ludzie są próżni, miałem nadzieję ożenienia....

— Mój p. Wincenty, zimno odpowiedział Hamowski, a to szczęście że się tak stało.... Powiadasz że ludzie próżni... ty sam, co za przyszłość miałbyś z nimi i jaki los mogło ci dać ożenienie kradzione, które się rozbija o to, że nie jesteś hrabią i że nie masz nic nad to wykształcenie które winienes własnej pracy....

— Ale to ludzie zacni... chociaż widzi pan... wszyscy mamy słabości.

— To pewna, panie Wincenty, ale nie na słabościach trzeba budować... biada temu kto korzysta nie z cnót ludzkich, ale z wad człowieka! Co cię tam czekało! Niewola i upokorzenie.... Wierz mi masz młodość, naukę, siłę — pracuj pocziwie dla zdobycia sobie przyszłości a nie sprzedawaj się dla pieniędzy. Bezeczeństwo, grzech i w końcu się oszukasz.... Szczęścia tam nie będzie....

Wincenty nie miał już co na to odpowiedzieć, głos Hamowskiego był głosem sumienia.

— Ale wierz mi pan, odezwał się pomieszany cicho — ja — ja — sam nie nazwałem się hrabią. Pani von Kaisersfeld rzuciła to słowo w rozmowie, pochwycyła je, nie mogłem mojej protektorce zadać fałszu... nieszczęśliwy skład okoliczności....

Hamowski ruszył ramionami.

— Wszystko to bałamuctwa — rzekł, tego co powiedziałem odwołać nie mogę, cóż tedy chcesz żebym uczynił?

— Ja jestem zgubiony! bezpowrotnie zgubiony! wołał Darnocha.

— Jesteś ocalony — przerwał Hamowski — mogę zaręczyć żem to uczynił aby cię ocalić nie żeby zaszkodzić. Co się stało odstać się nie może.... Jeżeli w tobie jest jeszcze uczucie godności własnej i szlachetności młodzieńczej — idź i pracuj!

— A czy pan wiesz, zawołał popędliwie Darnocha, ilem ja wytarł przedpokojów i wypił sromot szukając poczywiej pracy? Z moim patentem i medalem... ilem wycierpiał upokorzeń ustępując tym co nic nie umieli a mieli imiona i plecy....

— Albożci to nie powinienes być wiedzieć że tak się na świecie dzieje zawsze — rzekł Hamowski. Czy jest w tém co nowego? Tak, prawda, ciężko przebić się ubogiemu i niepopartemu człowiekowi,

ale wierz mi— *per angusta ad angusta*, nigdy zasługa i talent nie zmarnieją w ostatku. Mają one ten specyficzny przymiot że muszą poparte wytrwałością zwyciężyć — to kolej, to prawo. Słuchajże.... Byłem głupi żem grał w ruletę, jestem nawet dosyć grubo wygrany, pieniądz mi ten cięży.... Rzuć do diabła Wiesbaden, hrabiny i te niezdrowe konkury, jedź szukać zajęcia.... Daję ci pięćset talarów sposobem pożyczki, abyś miał o czém czekać... oddasz gdy zechcesz.

P. Wincenty oburzył się, odsunął na kroków parę....

— Dziękuję bardzo panu radcy, rzekł, mógłbym posadzić go iż więcej niż mnie chcesz pan pomódz — odsuwając niepotrzebnego współzawodnika — jakiemu konkurentowi.

Hamowski parsknął od śmiechu.

— A! to tak!... zawołał. No to radź że sobie sam jak ci się podoba... Ja już nic więcej do powiedzenia nie mam.... Bywaj zdrów....

I machając laską poszedł dalej.

Darnocha stał patrząc za nim, ochota go brała zrobić awanturę, ale Hamowski miał i kij gruby i ręce okrótnie silne.... a do czego by to pomogło?

Cały ten akt dramatu odegrał się dosyć cicho i zamknąłby się był w ciasnym kółku, gdyby złośliwi znajomi Hamowskiego, a niechętni Darnosze — których on sobie swoją arystokratyczną, imponującą postawą naraził — nie szepnęli tu i owdzie o rozmowie i domyslnych jej skutkach.

Plotki mają skrzydła i tyją latając. Nazajutrz już Burscy, a jeszcze bardziej Darnocha spostrzegł szyderskie wejrzenia któremi go zewsząd ścigano. Ten i ów witając go kładł dziwny nacisk jakby ironiczny na tytuł hrabiego. Było to do nieznieśienia dla innego, ale w roli Darnochy do wszystkiego się przywyka, a wiele nie słyszeć musi i nie widzieć.

Skutkiem zabiegliwości mamy prezesowej a widocznej słabości córki dla pięknego młodzieńca — chociaż Burski bardzo dlań ostygł — utrzymano dawne stosunki niedając wcale poznać ażeby wagę jaką przywiązywano do rewelacji Hamowskiego. Cała rodzina z hrabiną Kaisersfeld na czele, w towarzystwie pana Wincentego pokazała się około Kursaalu, w alejach, na przechadzce, nawet trochę ostentacyjnie.... Ci co mieli ochotę się śmiać postrzegli że piorun może korę osmalił, ale drzewa nie obalił.

Hrabina Kaisersfeld dla przeciw działania krążącym pogłoskom zaprosiła potem na podwieczorek najznakomitszych gości cudzoziemców i część pol-

skiego towarzystwa na Nueberg, gdzie u wnijscia grotty urządzono wykwintne przyjęcie. Gospodarzem umyślnie zrobiła *M. le Comte de Darnocha*.

Publicznie mu wyrządzony fawor ten, miał jawnie dowieść iż baśnie krążące o jego plebejuszowskiem pochodzeniu, uważano za złośliwy wymysł ludzi złej woli. Burscy naturalnie byli w liczbie zaproszonych, prezesowa i panna Hersylia tryumfowały... a dla hrabiny nie miały wyrazów na okazanie czci i uwielbienia....

— *Cette adorable Comtesse!!* rozlegało się echem po dolinie.

Przez kilka dni wypytywany i zapytywany Darnocha jak myśli radzić przeciw rzuconej potwarzy, znajdował się bardzo zręcznie, odpowiadając wszystkim z powagą.

— Proszę o cierpliwość... potwarzy i złośliwi zawstydzonymi zostaną....

Mówił to z taką pewnością siebie iż mu wreszcie uwierzono.

Głucha, na wiatr rzucona obietnica „pomsty nad grzesznemi“ skutkowała tyle że pogłoski przycichły. Oczekiwano. A że termin tryumfu niewinności nie był ściśle oznaczony... im dłużej się spełnienie obietnicy przeciągało a Darnocha chodził śmiało

i wesół, tém sprawa jego wszystkim zdawała się lepszą....

Hamowski ruszał ramionami i śmiał się.

Tymczasem inni goście wodni, pędzili żywot powszedni żadną nie zaczerwioną chmurą... z rana myśląc jak się zahawia wieczorem, wieczorem układając projekta na jutro.

Nieszczęśliwy Ferdynand! Potomski choć tego z powierzchowności jego poznać nie było można, dotąd nie mógł na sobie wymódcz stanowczego jakiegoś postanowienia.... Z rana zwykle ogarniało go zwątpienie... myślał się oświadczyć wdowie i zakończyć żywot kawalerski małżeństwem rozsądném; około południa zobaczywszy panny Karlińskie, zakochał się w Stasi lub Józi, miłość ta rosła przez dzień cały, dościgała kulminacyjnego punktu na koncercie lub balu, marzeniami jeszcze przedłużała się do świtu a z białym porankiem rozpraszała... i nikła.... Powtarzało się to nazbyt długo i niecierpliwiło panią baronową, której humor nie czynił zbyt miłą.... Ale nie źle, przyznać trzeba, udawała cierpliwą, obiecując sobie utrapienia te powetować później....

Tego nie domyślał się wcale Potomski....

P. Jerémi Lubicz Pawłowski także potajemnie miał ochotę do ożenku... ale i on należał do téj kategorii podstarzałych których już diabeł żeni.... Diabeł zaś, widać zajęty gdzieindziej, tym razem się nie dopilnował.

Ewelina która była z takim zapasem życia, trzpiotowstwa, humoru i odwagi, przyjechała do Wiesbaden — znacznie z tych skarbów nadtraciła nie wiedzieć z jakiego powodu i czyjéj winy... Poufali. jéj goście, stary przyjaciel Starża, uważali coraz częściej że bywała zamyśloną, czasem smutną, często niecierpliwą. Starża już powtórnie w kilka dni, z uporem przyjaciela niespokojnego o zdrowie serca i duszy, zapytał jéj.

— Zkąd te coraz częściej zjawiające się na czole chmurki?

— Kochany przyjacielu, odpowiedziała cierpliwie Ewelina spoglądając nań, przypomniéj sobie że zaraz w początku dałam ci słowo zagadki, klucz do mych wszystkich kaprysów — nudzę się!

— Nudzę się! nie — to nie dosyć, rzekł Starża... inaczej wygląda nuda....

Ewelina ruszyła ramionami.

— Już nie licząc innych co niecierpliwią, masz nas dwóch mnie i arcypilnego kupczyka na usługach do opędzania nudów, które jak muchy cię oblegają.

— Powiedz mi hrabio, dla czego koniecznie nalegasz znowu na kupczyka?

— Dla tego że pani go widocznie przenosisz nad innych, czemu ja się wcale nie dziwuję, rzekł Starża. Jest to nawet bardzo widoczném... a że się pani wypierasz, budzi to we mnie podejrzenie że nie jest jój obojętnym....

— Masz dla niego trochę słabości?

— Dla czegoż bym się zapierać miała — cicho szepnęła Ewelina... słabości mam dużo.... Cenię go bardzo, zdaje mi się że w nim znalazła człowieka co nie kłamie, nie gra komedyi, jest sobą, w którym nauka i praktyka życia nie zabiła poezyi... którego dusza jest młodą, świeżą... sympatyczną.... Trzebaż nieszczęścia... że ten człowiek jest zimny, ostrożny... nie rozumi mnie może, lęka się — odpycha...

Starża na to wyznanie niespodziane, poruszył się aż z krzesła.

— Kochana moja pupilo, zawołał, zupełnie się mylisz, ja także żyłem długo, widziałem wiele, znam ludzi, nie jest on obojętnym wcale — ale jest sumiennym. Rozdziela was położenie towarzyskie, jego zawistość od ojca, mówić już o nim wam musiał?

— Tak, odmalował mi go ze czcią dziecięcia, jako surowego ale szlachetnego demokratę....

— Zrozumieć więc łatwo, jego powściągliwość i chłód pozorny — musi w sobie tłumić uczucie,

które do niczego by was prócz do cierpień i walk nie prowadziło.

Z kolei Ewelina zerwała się z kanapy, rzuciła robotę, załamała ręce.

— A człowiecze salonowy, stary, wyziębły i praktyczny — zawołała — coś powiedział? Herezyę straszną. Jakto, do niczego by nie prowadziło?? Sądziś więc że kochając się koniecznie zaraz potrzeba wiązać się stułą i topić miłość tę w prozie powszedniego życia? Miłość przecie może być czysta, cierpliwa, jeżeli jest szczéra.... Jeżeli się kocha — a! kocha tak jak ja rozumiem — jakbym ja kochać mogła — nie jest że miłość sama sobie celem... nie możeż ona marząc czekać a czekać wieki? nie stygnąć, owszem rość i potężnieć.... To o co się ona rozbija właśnie, to małżeństwo, nasycenie, przesyć... i brudna namiętność.... Gdyby ten człowiek mnie rozumiał, gdyby mnie... kochał... cóż na świecie rozerwaćby nas mogło, choćby dłonie nie były związane....

Ale przy wielu a wielu swych przymiotach niezaprzeczonych twój kupczyk, mój hrabio — jest zimną trochę laleczką wedle form wieku zlepioną. Boć się po prostu kochać ażeby nie cierpieć, a to — to jest grzech przeciw wielkiemu uczuciu.

I poczęła milcząca przechodzić się wielkimi krokami po salonie.

— Któż wie, rzekł Starża, czy ta obawa i ostrożność jest egoizmem czy poszanowaniem twego serca i spokoju....

— O! mógłby o mnie być mniej troskliwym, rzekła cicho Ewelina... bo ja się ofiar nie boję...

A po chwilce dodała...

— Zresztą ostrożności przychodzą za późno, przyznam ci się mój przyjacielu, że... że może go już kocham... Uczucie to rośnie z dniem każdym... boję się go utracić, bo wiem że drugiego takiego nie znajdę.... Wiesz że nawet to, za co się gniewam na niego... tłumaczę.... Jest w tém zrzeczeniu się szczęścia coś wysoce szlachetnego... biedny...

— Biedny! przerwał Starża... a położenie was obojga nader oryginalne.... Ten papa *ex machina* jakby naumyślnie nam tu się zjawia ze swą fizyognomią niebywałą.... Kupiec który się lęka aby syna jego szczęście nie sprowadziło z drogi pracy! demokratyczny przesąd stojący na przeszkodzie jak dawniej szlacheckie... Słyszałaś pani pewnie od Gucia, że ojciec mu z góry zapowiedział iż z najbogatszą szlachcianką, choćby była dziedziczką milionów, ożenić mu się nie dopuści. Trzeba przyznać iż przyczyna jaką daje, godną jest poszanowania. Niechcę byś wyszedł na próżniaka i na kłamcę, bo byś gotów, jak inni, udawać potem szlachcica....

No — a pani, przyznaj się — wątpię ażebyś też bardzo chciała zostać kupcową i zasiąść z pończoszką w sklepie....

Ewelina głową potrząsała....

— No, nie wiem, nie powiem... nie było by mi to miłym, chociaż! dla niego! dla niego!... Wiesz hrabio, nie ulękłabym się perkalowej sukienki... i pracy.... Pierwszy raz jakoś teraz zaczynam rozumieć to że kto nic nie robi... jest grzészny przeciw społeczeństwu i nie ma prawa do jego szacunku... Dla tego nawet.... dodała śmiejąc się smutnie — zaczęłam obrzydliwie coś szyć na kanwie.

Starża począł się śmiać serdecznie i pocałował ją w rękę.

— O mój Boże! zawołał... jak ty jesteś zasnęła i miłą.... Ale tsyt! słyszę chód jego na wschodach, to godzina... w której przychodzi zazwyczaj.

— Tak, to on, prędko siadając do roboty odezwała się Ewelina.

Otworzyły się drzwi, wszedł wilk o którym była mowa. Ewelina witając się spojrzała na Starżę jakby mu chciała pokazać iż jest bardzo przyzwoitą i nie kompromituje się. Na twarzy Gucia znać było jakieś pomieszanie i smutek....

Przywitawszy się siadł w kątku, oczy wlepił w Ewelinę, zdawał się niewiedzieć od czego począć rozmowę.

— Nie jesteś pan chory? spytał go Starża.

— O! nie wcale.

— Ale ci coś jest? zakłopotany...?

— Doprawdy i znajdujesz pan że nie codzienną moją przyniosłem dziś fizognomię?

— Co tam panowie po cichu szepczecie? zapytała gospodyni....

— Spiskujemy... odpowiedział Starża.

— Nie... nie, nie mamy dla pani tajemnic, przerwał przybyły. Podziwiam tylko trafność wejrzenia hrabiego, który na wchodzącym zaraz dostrzegł że na niego spadło jakieś brzemie.

— Brzemie? na pana? spytała Ewelina wstawszy i zbliżając się do krzesła na którym usiadł — cóż to panu jest?... mów....

— Nic, jest mi tylko smutno jakoś i ciężko, odpowiedział Guccio — bo — bo będę musiał wcześnie opuszczać Wiesbaden niż się spodziewałem. Przyszedłem tu odkradłszy chwilkę, aby z ostatnich skorzystać....

— Ale pan nie pojedziesz! nie! chwytając go za ramię z żywością zawołała Ewelina — ja pana nie puszcze, pan wiesz jaka jestem despotyczna.

— A! pani, gdyby to było możliwem, byłbym z wdzięcznością posłusznym.

— Więc cóż nowego zaszło? mów....

— Ojciec mój, niedoczekawszy się, mojego powrotu, zniecierpliwił się zwłoką, posadził mnie żem słabszy niż jestem w istocie i — ...dziś przyjechał tu sam po mnie.

Po tych kilku słowach dłuższe nastąpiło milczenie. Starża chodził wolno spoglądając na Ewelinę i gryząc laskę, piękna pani pobiegła do okna aby ukryć wrażenie... Augustyn siedział jak przybity.

Nareszcie hrabia który czuł że jest zbyt cichym, wziął za kapelusz.

— Przypominam sobie rzekł, że na mnie Szafarzyński mój od pół godziny czeka a w towarzystwie pani czas ubiegł niepostrzeżony...

Wychodzę na kwadrans i zaraz powracam...

— Ale wrócisz pan? wrócisz? po dwakroć spytała Ewelina odprowadzając go do drzwi.

— Natychmiast... bez pożegnania... dodał Starża i wymknął się...

— Ewelina była zarumieniona i niespokojna, czuła zbliżającą się chwilę stanowczą.

Po wyjściu Starży młody człowiek pozostał jeszcze jak wkuty w krzesło przez chwilę, potem wstał i zbliżył się do Eweliny.

— Łaj mnie pani, rzekł — nie nam ani odwagi ani mocy nad sobą... jestem nieszczęśliwy.... Nigdy w życiu tyle niecierpiał jak dziś, gdy mi panią żegnać przychodzi.... Może się pani rozśmie-

jesz z zuchwalca ale ulitujesz się razem nad nim.... Do nikogom się tak w życiu nie przywiązał... Wielkie to z méj strony szaleństwo, ale jakoś ze spokojniejszém sercem odjadę, gdy się do tego przyznam... pani...

Ewelina spojrzała nań drżąc jak listek.

— Powiedz mi pan, rzekła, dlaczego to nazywasz i sądzisz zuchwalstwem... czy tak masz mało wiary w prawdę wieku, iż się sądzisz czémś pośledniejszym od biednej kobiety, noszącej na sobie brzemie elegancyi i jakiegoś tam tytułu?

— Nie pani, odpowiedział młody człowiek, czuję że ludzi równa umysł i serce... ale ani umysłem ani sercem nie czuję się godnym nawet was... uwielbiać...

Tyś wyższą istotą, a ja...

Powoli ujął jęj rękę i pocałował w milczeniu.

— Tak, rzekł, potrzeba się rozstać i zapewne na zawsze... te chwile szczęśliwe drogo opłacić przyjdzie.... Bronilem się uczuciu, nałogowi serca i... upadłem...

Ewelina odwróciła się ku niemu nagle, miała łzy w oczach....

— Guciu — krzyknęła z zapalem porywając go za rękę — ja ciebie kocham! mówię to śmiało, głośno, bo moje uczucie święte jest i czyste...

— Ewelino! pani... zawołał uszczęśliwiony młody człowiek klękając przed nią... pozwól mi stopy swe ucałować...

Biedna kobieta zawstydzona wybuchem własnym, spuściła głowę na jego ramię i podała mu białe czoło.

Chwili téj uroczystej zabrakło słów, serca tylko były głośno... nareszcie Augustyn wyrwał się jęj, zalał rękę i głowę spuścił.

O mój Boże! zawołał — a jednak my niemożemy być szczęśliwi....

— A! nie bluźnij — odparła Ewelina poważnie — jakto? my już nimi jesteśmy? Rozumiem twe położenie... surowy ojciec, obowiązki synowskie stają nam na przeszkodzie — ja cię pewnie przeciwko niemu buntować nie będę. Ale cóż nam potrzeba więcej jak kochać i wierzyć w siebie.... Dla czego nie mielibyśmy ufając sercom swym, zdać spokojnie reszty losów na opatrność?...

Samo uczucie daje szczęście....

Zresztą, — wiem, czuję to że znajdziemy sposób przezwyciężenia ojca twego i wyjednania zezwolenia. Ja nie umiem kochać pół sercem i pół — ofiarą.... Jeżeli on każe, jedź... bądź pewien że spotkamy się w krótko, że uczynię wszystko co słaba kobieta zrobić może gdy kocha... aby dowieść że miłość jęj jest szczera, wielka... że będzie trwała....

Gucio całował jój ręce.

— Weź więc, rzekł, losy nasze wspólne w te białe dłonie — ja się już o nic nie pytam... pojedę spokojny i czekać będę spokojny....

— Tak, zaufaj mi jak ja ufam tobie — przerwała Ewelina.... Mnie nic złamać nie potrafi... ufaj wierz! bądź spokojny.... Ja tobie daję wiarę nieograniczoną....

— Ja w tobie mam ufność niezłomną, aniele mój, zawołał w uniesieniu Guccio... każą mi, pojedę... będę czekał lata... o jedno cię proszę tylko, nie zostawiaj mnie długo bez wieści o sobie, usychać będę milczeniem...

Rozmowa przeszła w szept cichy, powoli oboje przesunęli się ku oknu i tam stojąc, patrząc sobie w oczy, mówili, mówili długo, żywo, z tém wyłaniem które po pierwszych wyznaniach jest taką rozkoszą....

W tém stukot we drzwiach przebudził ich ze snów i marzeń, po lasce podpierającej kroki jego, poznano Starzę.

Hrabia powracał i z progu zmierzył ich wzrokiem szyderskim nieco a ojcowskim... niepotrzebował dowiadywać się co zaszło... był pewien na pierwsze wejście, że lody ceremonii zostały skruszone.... Oboje byli tak promieniejący, widocznie szczę-

śliwi... a lica ich stokroć piękniejsze wyglądały w tój aureoli... ubłogosławienia....

— Przynoszę wam nowinę, zawołał od progu hrabia... naostatek wiekuisty kunktator, ten pocziwy Ferdynand Potomski, który dotąd nie wiedział ani czego chce, ani co ma zrobić, oburącz chwyciwszy ostatnie zapasy odwagi,... *tête baissée*, padł przed baronową, oświadczył się... i wieść niesie że został przyjęty! Na twarzy pani czytają znawcy serc iż jest z tego szczęśliwą.

— Widać że są już takie dni w których ludzie czują skłonność do oświadczenia się... przerwała Ewelina z uśmiechem — czy uwierzyłbyś kochany przyjacielu, że oto i ja... oświadczyłam się temu panu... który stoi zmięszany i zawstydzony.... I dłoń białą podała Guciovi, który całować ją zaczął.

— A! nareszcie! zawołał Starża — już też patrząc na was miałem ochotę od obojga w sekrecie wziąć plenipotencję i sam raz to skończyć. Cieszę się, że się bez niezgrabnego pośrednictwa mojego obeszło....

— Ale to jest i ma pozostać jak największą tajemnicą dodała Ewelina... pan wspólny nasz przyjaciel nie zdradzisz nas przecie.

— A! bądźcie spokojni! radośnie rzekł Starża... chwytając ich ręce, nadto jestem szczęśliwy, będę milczał... bylebyście się sami oczyma i postawą nie

zdradzili.... Zaraz jutro pakuję się i ze spokojném sumieniem do Ostendy jadę.... Niech Bóg błogosławi.

Opadające powoli pożółkłych zwolna drzew liście zapowiadające nadchodzącą jesień, chłodniejsze codzienn poranki mgliste wieczory, przypominały gościom u wód, że się wszystko na świecie kończy. Każdego z tych próżniaczych hybrydów wołał dom, rodzina, obowiązki... przyzwolicie już dłużej tu pozostać nie było podobna....

Taką siłę rozprzegającą, wycieńczającą ma to życie oderwane od pracy i codziennych ciężarów — że mało kto zmuszony wreszcie wrócić do powszedniego trybu nie westchnie na wspomnienie domu, w którego progu z surową twarzą... czeka kłopot i troska. W tym spoczynku rozmarzonym każdy prawie rozmiękł i popsuł się troszkę... odwykł od zajęć, zasmakował w dodniowym bycie, w grze, w bezmyślnych rozrywkach, i radby był... choćby na zimę tu zostać... choćby już nie jechać nigdzie. Listy przychodzące rozpieczętowywano z obawą... a na tłumoki przysposobione poglądano wzdychając....

Tajemnicą tego przyłgnięcia do życia gospody i gościńca — było — próżnowanie... wielka wada nasza; nie przezwyciężona, organiczna, która prędzej

czy później odzywa się nawet w tych co za najpracowitszych uchodzą....

Lekarze dowodzą dziś że *plica polonica* (kołtun polski) nie istnieje, ale próżniactwo to nasz kołtun, co nam włosy zwija, ręce kurczy, nogi ubezwładnia, rodzi kalectwa — jadem swym zaprawia i truje życie.

Nie jest li to cechą najwyższego moralnego upadku, gdy w całym narodzie taka senna rodzi się do zajęcia nieudolność... coś nakształt tego odrętwienia chwytającego podróżnych u szczytu Mont - Blanc... siadających w śniegu choćby umierać, byle się nie ruszać!

Wybierali się już wszyscy ale tak powoli! ociągając, odkładając od dnia do dnia. Tak jeszcze było ciepło, towarzystwo miłe... wody tak służyły... tyle tu z sobą przywieźli wcale nie ziszczonych nadziei, tyle doznanych zawodów chcieli powetować — nie koniecznie u zielonego stołu który pochłonał jednak dosyć pieniędzy, czasu i wstydu!

Ale ostatecznie trzeba się było rozstać z tą gospodą... choć... w Hamburgu bawią się niektórzy całą zimą.... To jednak nie jest w dobrym tonie... na zimę trzeba być koniecznie w mieście... lub ruszać do Włoch marznąć... pod lazurówym niebem w nieopalonych salonach... z niepoprzymykanemi oknami.

Niektórzy pożegnawszy najadę źródła z którego nie pili i dryjady parku po którym wzdychali — odjeżdżali już na prawdę łzami rosząc aleję wiodącą do czarownego Biberich... inni się wybierali tylko... powoli....

Pobyć wszakże naszych gości u wód mimo wielu zawodów nie całkiem był bezowocnym.... Nie mówimy o zdrowiu, gdyż wiadomo powszechnie że wody skutkują dopiero kiedyś później i to jeżeli się je pije najmniej pięć lat z koleil.. ale... pani von Dorfer wywoziła z sobą przyszłego małżonka, wcale dobrze zakonserwowanego, który oświadczwszy się w istocie, otrzymawszy przyrzeczenie damy... teraz znowu rozmyślał rankami i wieczory czy się zbyt nie pośpieszył i głupstwa nie zrobił. Wprawdzie ściśle biorąc mógł się wycofać jeszcze — ale wdowa pilnowała narzeczonego i nie spuszczała go z oka. Przywiązanie wzajemne, które służyło przecież za pozorny powód do przyszłych ślubów — nie wesoło jakoś nawet wyglądało u zarania. Baronowa była zamyślona i posępna. Potomski poważny i zakłopotany, a p. Julia smętna, spoglądała na ojczyma przyszłego z nietajonym wcale strachem i odrazą.

Pan Jeremi Lubicz Pawłowski zaczął był lekkie podjazdowe staranie o pannę Józefę Karlińską, ale i czas był za krótki ażeby się to mogło dokończyć oświadczeniem i te panie znajdowały petersburskiego

radcę tak czasem dziwnym mimo powierzchownej ogłady, tak nagle z salonowego człowieka przechodzącym na lokaja — iż się z nim oswoić nie mogły. Służbiste formy urzędnika niewoli, odbijały się nawet w prywatném życiu; znać w nim było emancypującego się wprawdzie ale czującego nie wyemancypowanym jeszcze. Obróza nie zeszła z szyi... łańcuch włókł się za nim nawet na swobodnej ziemi. Z obu stron potrzebowano rozmysłu, a choć pani Karlińska bardzo chciała wydać córkę, nie miała ochoty wysłać ją na Syberyę, która zawsze jest dla rzeczywistych nawet radców pod zły humor i zmianę systemu — możliwą.

Hamowski, który kąpał się i pił świeże wody a znajdował że mu pomogły, wybierał się także opuścić księstwo Nassauskie a zbiedz jeszcze do Ostendy, aby nabrać więcej sił tak potrzebnych do utrapionego bytu pod moskiewską torturą.

Państwo Bursey nie mówili dotąd o wyjeździe — pani i panna potrzebowały dłuższych kąpiei, lekarz je zalecał. Przyczyniało się może potajemnie do przeciągnięcia pobytu dotąd nierozwikłane, tajemnicze staranie Darnochy o pannę Hersylię... którego się zapierano a jednak nie chciano odpychać. Ojciec nie miał dosyć energii aby tego konkurenta tak miłego córce i matce odsunąć, hrabina Kaisersfeld zawsze mocno go popierała, panie protegowały

ostrożnie, prezes ulegał choć się dąsał. Nie było mu to miłym, ale dla spokoju domowego milczał.

Nie doczekawszy się innej rehabilitacji młodego człowieka, hrabina Kaisersfeld heroicznie mu przyszła w pomoc. Przez stósunki swe kosmopolityczne miała wyrobiony order Izabelli katolickiej hiszpański dla jakiegoś dawniejszego swego protegowanego, na który patent przysłano jej z okienkiem.... Wpisano weni hrabiego Wincentego Darnochę i jednego dnia zjawił się tryumfujący młodzian ze wstążeczką u pętlicy.... Na prezesie widok patentu i krzyża, który mu hrabina pokazała, uczynił wielkie wrażenie.... w brewecie stało hrabiostwo... wmówił sobie że to je potwierdza..

Protektorka zaręczyła także iż mu amnestyę bezwarunkową, z pozwoleniem przebywania w kraju gdzie się podoba nieochybnie wyrobi, a później nieco stanowisko w dyplomacyi zaszczytne i zapewniające przyszłość.

Burski z wolna przechylał się na stronę Darnochy, który bardzo zręcznie naprzykrzał mu się o coraz nowe szczegóły dotyczące się dawniej roli politycznej za Bibikowa i zachęcał do spisania pamiętników, uważając je za niezbędny materiał historyczny do lat ostatnich....

— Ten młody człowiek może zajść daleko, mówił w końcu prezes — rzadko się spotyka młodzież

podobną... ma nadzwyczaj trafny sąd... zdrowe zasady, takt niezmierny i umie życiem kierować.... Jak on korzysta z każdego słowa, przysłuchuje się, pamięta.... A przytém to nie ulega wątpliwości że hrabią jest.... Jeżeli się drudzy wywodzili u nas z kopert królewskich, ma prawo się wywieść z patentu orderowego... boć królowa hiszpańska kreuje grandów, czemu by hrabiów nie miała tworzyć!!

Prezesowa i Hersylia szły jeszcze dalej w pochwałach... a z dniem każdym pan Wincenty mocniej wrastał w ten dom, w którym obie panie najoczywiściej mu sprzyjały.

Potwarz rzucona przez Hamowskiego, teraz zupełnie zapomnianą została, uważano ją jako niecną i intrygę bezsilną....

Tak przygotowawszy grunt, hrabina Kaisersfeld złamała ostatnie zapory, sama oświadczając się w imieniu zbyt... na ten raz — bojaźliwego Darnochy.... Prezes dał uczuć iż robi łaskę ale nie sprzeciwiał się już woli córki, która oświadczyła że za niego pójdzie lub za nikogo... i że gotowa wstąpić do klasztoru... choćby do *Sepolte vive*. Burski wszakże wymagał w początkach aby kawaler lepiej się jeszcze dał poznać i wszechstronniej został wypróbowany — ale panie wiedziały że gdy papiery nadejdą, one ten ostatek oporu bezsilnego przełamają i... skłonią papę do dania błogosławieństwa....

Wszystko to wszakże było wrzekomo tajemnicą dla gości wiesbadeńskich... udawali że nie rozumieją, — choć hrabina swém dziełem chlubiła się tak że w końcu pod sekretem zawiadomiła o tém całe towarzystwo.

Właśnie w tym czasie gdy się to tak szczęśliwie dla Darnochy składało, przybył ojciec Augustyna jeżeli nie po syna to dla przekonania się o jego zdrowiu.

Z pierwszego wejrzenia nań znać było że ten nowy a spóźniony gość nie należał do próżniaczego grona hybrydów; chociaż... był to także inny tylko hybryd w swoim rodzaju.

Na nim widoczny był wpływ niemiecki, chociaż on z niego wziął tylko zdrowe pierwiastki. I w nim mieszały się dawne i nowe pojęcia, domowe i cudzoziemskie wyobrażenia na swojskie przybrane...

Powierzchnowość więcój go czyniła podobnym do przyzwoitego Niemca niż do Polaka w którego licu, stroju, mowie strzela po troszę fantazyi choćby wiekiem i charakterem stłumionój...

Moroz stary był skromnym człowieczkiem, niepozornym, nie wielkiego wzrostu, zaszuszonym, bladym.... Na pierwszy rzut oka nie odznaczał się niczém, wyglądał jak wszyscy i nie pociągał wejrzenia, ale w rysach jego wpatrzywszy się odkryć było można spokój i powagę rzadką, ciszę sumienia będącego

z życiem w zgodzie. Ażeby w téj fizyognomii powszedniej znaleźć odblask niepospolitej inteligencji i charakteru, trzeba go było widzieć w poufałym towarzystwie, ożywionego rozprawą o jednej z tych kwestyi społecznych, żywotnych, które go obchodziły gorąco.... Na ówczas człowieczek cichy i skromny, niepozorna owa figurka występowała wcale odmiennie; — twarz nabierała znaczenia, oczy jaśniały, czoło się zdawało rozszerzać, uśmiech rozwiązywał usta... życie tryskało z fizyognomii jakby rozmarzającą jednak zawsze ulegającą panowaniu silnej woli. Nie unosił się nigdy, ale rozgrzewał bardzo; jeżeli nie chciał powiedzieć prawdy, milczał, ale kłamstwa nie wyrzekł w żadnym razie. Milczenie było wielkim okazem pogardy lub zwątpienia o ludziach, dla których nie chciał szafować myślą niezrozumiałą.

W tém dziecku ludu, jak on się sam nazywał, może nie mniej było dumy wewnętrznej, niż w niejednym potomku Krzyżowców, ale ta objawiała się wcale inaczej, nie wychodząc na zewnątrz, aby jéj nikt tknąć nie śmiał lub stojąc czynem żelaznym. Była to duma cicha niepoznanych, prześladowanych, wyczekujących od świata sprawiedliwości w którą wierzą wiarą niezłomną.

Domyślić się łatwo jak Starża i Ewelina zobaczyć go pragnęli, ostatnia zwłaszcza byłaby poświęciła wiele, byle niewidziana choć raz mogła spojrzeć

na tego człowieka którego się tak lękała... a od którego los jój przyszły mógł zależeć — ale już osnuwszy plan pewien, Ewelina nie chciała mu być znaną nawet z twarzy....

Pocziwy więc hrabia podjął się tak zabiegać aby mógł strasznego ojca zobaczyć i zdać o nim raport szczegółowy. Zaraz nazajutrz po jego przyjeździe ułożył się w ten sposób, że odwiedzając Augustyna, znalazł u niego pana Moroza.

Zrazu podżyły ten, cichy i skromny człowieczek nie bardzo mu się wydał strasliwym, był niezmieranie grzeczny acz zimny jakby bojaźliwy.

Starża prosił syna aby go ojcu swemu przedstawił i mimo że stary Moroz dosłyszawszy tytuł hrabiego skłoniwszy się bardzo nisko wziął wkrótce za kapelusz, myśląc się wynieść, Starża potrafił go zatrzymać żywą rozmową.

— Pozwól waćpan dobrodziej, rzekł, ażebyś mu choć nieznajomy jeszcze, powinszował takiego syna. Wszyscyśmy go tu ocenili i pokochali....

A przyznam się panu, dodał, że choć to u wód gdzie się znajomości bardzo łatwo robić zwykły, nie przyszło nam bez trudności wyciągnięcie trochę na świat tego skromnego dziczka. Musieliśmy go formalnie oblegać i brać szturmem, tak się bronił od wszelkich z nami stósunków.

Staremu Morozowi oczy widoczną zabłyśły radością.

— Panie hrabio, odparł żywo, wybac mi że to pochwałę i tłumaczyć go będę otwarcie. Myśmy ludzie innego obozu — wy, panowie, jesteście przedstawicielami przeszłości, my stan średni i lud zarabiamy na przyszłość.

Cenię ja wszędzie zacnych i pocziwych, składam głowę przed zasługą, a nawet przed zasług pamiątką, ale wy się bawicie i marzycie, a my musimy walczyć i pracować.

Zrozumieć się możemy, ale żyć z sobą nam — trudno. Pocziwy Gucio rozumie to dobrze iż wszystko co go odrywać może od trudu, od obowiązków, co sprowadza na drogi niewłaściwe, — choć może być przyjemnem jest szkodliwem.

— Szanowny panie, odparł Starża, dajesz mi prawo odpowiedzieć sobie równie otwarcie. Ja także szanuję wszędzie zasługę, a pracę za obowiązkową równie dla wszystkich uważam. Nie jesteśmy i my może takimi próżniakami jakby z niektórych wydatniejszych jednostek wnosić można.

Wiesz pan że dziś nigdzie na świecie przywileje krwi i ras nie istnieją, — grzechem więc jest naród rozdzielać dla fantazyi lub dumy i odstrychać się ludziom przyszłości od ludzi przeszłości

jak od zapowietrzonych, tworząc niepotrzebne obozy i stronnictwa....

Uczcie nas panowie pracować... w najgorszym razie możemy być zepsuci, nie jesteśmy niepoprawni.

Śmiano się długo z przesądów arystokratycznych, niechże zdrowa demokracja da nam przykład pogardy innego rodzaju uprzedzeń.

Moroz milczał, patrzył, widać było że postawienie kwestyi w ten sposób dosyć go zadowalniało — jednakże potrząsał głową.

— Mój hrabio — rzekł — podobno jednak lepiej nie wychodzić ze swojej sfery — człek słaby, próżność się go łatwo czepia.

— Przepraszam, odparł hrabia — słabym się uznawać nie należy, a czując siłę nie ma się o co obawiać. Przez odosobnienie rodzi się zaś zgubny dla społeczeństw antagonizm. We wszystkich klasach które tworzy wykształcenie, rodzaj życia i zajęć, wady i przymioty są im właściwe — moglibyśmy wady zmniejszyć, a przymiotami się podzielić gdybyśmy żyli z sobą....

— Tak, ale koniec końców, rzekł Moroz ja co sprzedaję świeće łojowe do pańskich przedpokojów i stearynę do salonu, łatwiej z pierwszą niż drugą wniść potrafię.... Hrabia przyszedłszy do mnie nie znalazłbyś też u mnie tego do czego przywykłeś, i powziąłbyś tylko wstręt do życia któremu jesteś

obcym. Zbliżenie się mogłoby w istocie jeszcze bardziej oddalić.

— Dłuższójby to potrzebowało rozprawy — zakończył Starża — odkładam ją do mojej bytności w Poznaniu, gdy będę miał przyjemność pana dobrodzieja i pana Augustyna odwiedzić.

Moroz się skłonił.

— Tymczasem winszuję panu syna — dodał hrabia, i wielkich zalet i większej jeszcze skromności... prawdziwą nam, co tu zostajemy na jakiś czas, wyrządzisz pan krzywdę, jeżeli go zechcesz zabrać z sobą.

— Zabiorę, rzekł śmiejąc się Moroz, choćby dla tego żebyście mi go nie popsuli. — Boję się tego życia bez pracy, życia czczych słów, rozpraw, dywagacyi, fantazyi i marzeń. — Myślą ludzką tak oszczędnie szafować potrzeba jak innemi siłami, powinna ona prowadzić do czynu, a u nas najczęściej od niego tylko odwodzi.

— Masz pan słusznie, rzekł Starża — ale... mówmy o czém inném. — Jak pan znalazłeś syna co do zdrowia?

— Zdałoby mi się dosyć dobrém, by mógł już ze mną powracać... rzekł Moroz, bo co się tyczy ręki, taka rana jak jego nie łatwo się wygaja, a skutki pozostają na zawsze....

Starża podchwycił.

— złamanie?

— Raczej strzaskanie, kulą... nim to co wyszło zarośnie chrząstkami i skostnieje... dużo czasu upłynie.

— Jakto, kulą? syn więc pański?

— Był w oddziale Taczanowskiego, rzekł powoli Moroz.

— A nigdy się przed nami nawet do tak chlubnej rany przyznać nie chciał.

Gucio był zmiészany i zarumieniony.

— Nie było o czém mówić — dodał krótko.

— To jedna jego fantazya, odezwał się ojciec, przeciw której nic nie miałem — myśmy też powinni byli poświadczyć krwią żeśmy obywatelami téj niewidzialnej ojczyzny, której dotąd tylko szlachta służyć i bronić miała przywilej. Widzieliśmy jak na dłoni na czém się to skończy, choć moskiewskie — *delenda Carthago* tylko jeden Bóg mógł przewidzieć. — Ale nam także należało stanąć do apelu pod imfamią.

Szczęśliwy jestem że mi jedynak ocalał, dumnym że kropla jego i mojej krwi przelaną została. Teraz czeka go równie obowiązkowa praca dla ojczyzny. — Może się śmiać czyja wola, ale ja sądzę że i siedząc w sklepie jeszcze jój służyć.

— Otóż, mój mości dobrodzieju — dodał Starza, jeżeli chcesz aby jój służył skutecznie pan Augustyn, wierz mi staremu, nie żałuj mu czasu na

zupełne odzyskanie zdrowia — daj folgi dosyć....
Możemy jeszcze jakie kąpiele... morze...

— Panie hrabio, śmiejąc się i kłaniając rzekł stary Moroz — wy bo — daruj mi — ze swój natury pieszczonój sądzicie o naszej. Myśmy gbury silne, nawykłe do biędzy i rychłej od was odzyskujemy zdrowie. Zbytki i zniewieściałość nas nie wycieńczyły.

Hrabia z kolei się rozśmiał.

— Myślicie że macie przywilej zdrowia?

— Mamy lepiej niż przywilej bo prawo do niego... dla tego żeśmy go nie nadużyli. —

— Pokłócimy się o to... szanowny panie.

— Nie! nie! panie hrabio — nie mam zwyczaju się kłócić, — milczę.... I ot przyznam się Wam... gdybyście wszyscy byli tacy., jak pan jesteś... możemy i do zupełnej przyszli zgody.

Podali sobie ręce uprzejmie, Gucio podziwiał to udobruchanie ojca, łagodność jego i rozmowność, bo zwykle z obcymi bywał milczący. Ujął go Starża swą otwartością od razu.

— Co się tyczy mojego syna, rzekł stary — sam on będzie stanowił, nie zmuszam go wcale do powrotu. Przybyłem zobaczyć co się z nim dzieje. Jeżeli mu kąpiele morskie lub dłuższy pobyt w Wiesbaden się przydał, ja się zgodzę na to. Tylko mi go państwo bardzo nie popsujcie.

Rozmowa na podziw łatwa i miła, trwała jeszcze przerywana pożegnaniem z pół godziny, poczem Starża co prędzej pobiegł z doniesieniem do Eweliny. Odetchnęła nieco gdy jój odmalował Moroz nie tak strasznym i dzikim demokratą, jakim go sobie wyobrażała....

— Jest trochę dumy demokratycznej, rzekł Starża — bo i lud na tę słabość choruje niestety — ale w nim czuć serce... i wiele zdrowego rozsądku.... W ogóle człowiek światły i w innych formach niż te do których przywykliśmy, ale wykształcony i przyzwoity.

Ewelina chociaż była pewną że się jeszcze z Augustynem zobaczy i zastosuje do jego pobytu... lub wyjazdu, sama wszakże zaczęła się przysposabiać zwolna do podróży.

Starża chciał także wyruszyć — Wiesbaden codzień się stawał puściejszym, tylko około stołu gry zawsze jeszcze tłum wielki zalegał.

Stary Moroz nastraszywszy tylko syna i Ewelinę, odjechał zaraz nazajutrz zostawiając Gucia, któremu nie tylko polecił (zobaczywszy się z lekarzem) pozostać jeszcze w Wiesbaden, ale żądał sam aby jechał potem do morskich kąpiel.

Nazajutrz wszedł rozpromieniony Augustyn oznajmując po cichu tę błogosławioną nowinę swój pani... iż czas jakiś wolno mu z nią jeszcze przepędzić.

— A że ja także pojedę ztąd do morza — zawołała Ewelina, więc zapewne razem udamy się do Ostendy, do Boulogne, lub... lub gdzie się wam podobać będzie....

— A! wybór zostawuję pani....

— Dobrze, wybierzemy więc brzeg dziki, pusty, który jak najmniej zwabia ludzi... małą miasteczkę jakąś dorabiającą się sławy, cichą, ubogą bez kasynów i eleganckiego świata... Siadam dziś do moich przewodników, przestudiuję ich pilnie i rachuję także trochę na szczęśliwe natchnienie... a jutro wydaję wyrok... Starzę który miał jechać do kąpieli, bierzemy także z sobą.... A! to będzie cudownie....

Scisnęły się ich ręce i uśmiechnęły twarze....

Zabawili więc kilka dni w Wiesbaden, a potem uciekli nad morze, téj wycieczki szczęśliwój pary którój za ojca służył Starża... nie myślemy spisywać, — szczęśliwi ludzie jak ludy szczęśliwe historyi nie mają.

Kilka tygodni w St. Mało zeszły błyskawicą, na przechadzkach, czy tańcu i napawaniu się widokiem morza, któremu nigdy dosyć napatrzeć się nie można. Nareszcie i to marzenie skończyć się musiało, przyszło do pożegnań smutnych, do rozstania....

Gucio odjechał do domu tęskny, rozmarzony ale spokojny o przyszłość za którą mu ręczył charakter i energia Eweliny... W jej oczach czytał iż go opuścić nie mogła i gotową była na ofiarę....

Stanowczo jednak nic nie postanowiono nad to, że Ewelina przyrzekła jak najrychlej będzie mogła przybyć i osiedlić się w Poznaniu. Starża miał jej towarzyszyć....

Pan Stanisław Moroz ojciec Augustyna, był synem, wnukiem i prawnukiem kupców, przybyłych niegdyś z Rusi ale od bardzo dawna osiadłych, uobywatelonych tu, i właścicieli dwóch czy trzech kamienic... kilku placów, a nadewszystko rozległego handlu hurtownego, który obyczajem dawnym nie ograniczał się specjalnością jakąś wyłączną ale obejmował niemal wszystko czego życie kraju potrzebowało od obcych....

Była to jedna z tych firm starych, poważnych, używających nieograniczonego kredytu... dla tego właśnie iż go nie potrzebowała... którą żadne przesilenie nigdy niezachwiało, żadna strata nie zwichnęła.

Stary Moroz miał sobie za pewien punkt honoru w swój kamienicy głównej, w której od wieków istniał handel i składy pod Złotém Gronem —

nie nie zmieniać dla schlebiania smakowi wieku i jego elegancyi. Ani szyb owych wytwornych, ani za oknami zbyt prowokującej wystawy, ani ozdobnych kontuarów nie zaprowadził — choć się inni na to wysadzali. Sklep był takim jakim go jeszcze dziad zostawił, trochę ciemny, nieco okopcony, z drzwiami mocnymi, czarnymi i zamkami fortiecznymi.... Złote grono co lat kilka odzłacano, okiennice malowano na nowo, nad wchodem odświeżano wiszące głowy cukru drewniane i owoce w girlandy... ale to wszystko pozostawało w formie i barwie prastarzej....

Wewnątrz też niedopuszczano najmniejszego zbytku, ale porządek, ład, czystość, dostatek widać było wszędzie. Pomocnicy handlowi nie wyglądali na lwów i nie nosili lornetek, ale za to grzeczniejsi byli i niezmiernie sumienni.

Za szczęście sobie uważał początkujący taki kupczyk, jeżeli go pan Moroz przyjął....

tary sam nie spuszczał się na nikogo, znaczniejszą część dnia spędzał na krześle w sklepie, doglądając swoją służbę, zajmując się sam większą częścią rachunków.

SKlientela też domu tego była wielka i stała, a kto raz w nim brać zaczął, ten go już nie opuszczał.

Moroz pilnował mocno, ażeby w grzeczności i usługach najuboższemu nie chybiono i najmniejszego nie lekceważono. Owszem zdawał się szczególniej-

sza przywiązywać wagę do drobnych swoich odbiorców (wyraz nowy i zły, ale na lepszym nam zbywa) — do tych co przychodzili z miedzianą monetą, a często i ze łą w oku.

Naówczas, poznawszy po głosie, z postawy ukrywające się ubóstwo, szedł sam wydawać czego żądano, i umiał razem z towarem wcisnąć, nie postrzeżoną, utajoną jałmużnę. — Niekiedy pod pozorem jakimś pieniędzy nie wziął, lub sam proponował kredyt... oszczędzając miłość własną biedaków.

Obok sklepu od dawnych lat zaprowadzone były dwa czy trzy pokoje w których amatorowie mogli spokojnie wypić kieliszek czystego zdrowego wina. Pan Stanisław nie lubił téj szynkowni, jak ją nazywał, ale święcie szanując co po ojcu odziedziczył, nie przestał jéj utrzymywać.

Ci co się prawdziwie dobrego chcieli napić wina, szli na nie do tych niepozornych izdebek sklepionych z oknami kraciastými, ale w ogóle mało kto tu bywał i nie przesiadywano długo, bo Moroz choć fantazyi w czém innem nie lubiał, był dziwakiem w swym rodzaju, osobliwie w winiarni.

Naprzód i tu także zostawił wszystko po dawnemu wbrew obyczajowi wieku który zbytku i świetności wymaga, proste stoły bajcowane, stolki twarde, wieczorem świece łojowe.

Komu się one niepodobały mógł iść gdzieindziej, bo Moroz i za zapłatę innych palić nie dopuszczał. Do godziny jedenastej najpóźniej mogli goście pozostać, o tej porze nieodwołalnie sklep zamykano i wypraszano spóźnionych.

Wszystko by to jeszcze niczem było, ale Moroz stał na straży win swoich i trzymał się w wydawaniu ich pewnych prawideł od których nie odstępował. Gdy mu oznajmiono że się zjawił gość który żądał wina lub innego napoju, szedł naprzód sam zająrzeć kto to był taki, znał bowiem doskonale miasto całe.

Trafiało się że ubogi urzędnik lub mniej zamożny obywatel pod dobry humor zażądał nazbyt drogiego wina, naówczas Moroz, którego już znano z tego obyczaju, szedł, witał się grzecznie i sam zapytywał o rozkazy.

— Wina na cztery talary?... czy mi się nie przysłyszało? odzywał się uśmiechając.

— Tak jest, szanowny gospodarzu...

— Hm; ale na cóż tak drogiego?...

Na dwa talary będzie bardzo czyste i smaczne, wiercie mi.... Toć to szanowny panie, czasy ciężkie, grosza mało, a dla zdrowia i wesela, doprawdy, starczy i to kóre rekomenduję.

Znajomi często usłuchali rady Moroza, a jeżeli kto butnie odpowiedział i domagał się zbyt wykwin-

nego na swą kieszeń napoju, stary stawał jak kamień.

— Nie mam wina... możecie państwo iść gdzie chcecie...

To było ostatnie słowo. Sprzeczać się nie lubił i wychodził...

Surowiej jeszcze postępował gdy młodzież a choćby i starsi miarę przebrali, za czwartą lub piątą butelką, przychodził z radą grzeczną że może by było dosyć, a potem podchmielonym więcej nie dawał.

Siadał w swoim fotelu i nieruszając się z niego słuchał stoicznie wymówek, nawet krzyków i połań, ale nigdy prawidła swego dla nikogo nie złamał.

Znano go powszechnie z tego dziwactwa i byłby pewnie handel w ten sposób prowadzony upadł, gdyby nie rzeczywista wartość win, którym równych nie było nigdzie.

Tu etykieta na butelce była zawsze prawdziwą. Moroz znał się doskonale na winach, a gdy mu się beczka zepsuła, zamiast ją sztucznie naprawiać, słodzić lub wzmacniać i zrobioną miksturą truć klientelę — obracał ją na ocet. Z innénemi w handlu przypsutemi towarami postępował w tenże sposób — nikt się tu poskarżyć nie mógł ażeby mu dano rzecz w złym gatunku.

Do tradycyi stariej firmy należało i to, że bogatym nie dawano wcale na kredyt lub na termin długie, ubodzy przeciwnie mieli wszelkie możliwe ułatwienie, niższe ceny, rozkłady wypłat, często rachunki ciągnące się latami i powoli zaspokajane. — Moroz tłumaczył to nie tylko obowiązkiem posługi i pomocy, ale znajdował słusznym aby majątnych nie nawyczajać do robienia długów niepotrzebnych i wydatków zbytkowych.

Gdy przyszedł zwyczaj ogłoszeń, reklam szumnych, afiszów sążnistych i humbugu nęcącego kupujących, Moroz bardzo długo mu się opierał i wcale iść za nim nie chciał. Przekonano go wreszcie że aby mieć nabywców na towar potrzeba podać do wiadomości powszechnej gdzie się on znajduje... trafiło to do jego przekonania, posłuchał — ale pilnował aby w ogłoszeniach jego nigdy nie było słowa pochwały i przynęty.

Wszystkie te kuglarskie reklamy których handel tak obficie używał, były dlań obrzydliwymi, znajdował że one poniżają handel i równają poważne kupiectwo z wykrzykującymi w ulicy towar swój przekupniami. Firma nieposzlakowana, stara, niesplamiona skazą najmniejszą, według niego starczyć była powinna za wszystko. — Rozciągał to tak daleko że składni wyrobów owego słynnego niemieckiego reklamisty Hoff'a, który głowom koronowanym sło-

dowych fabrykatów dostarcza — przyjąć niechciał, uważając go za szarlatana.

Że tak surowém i uczciwém postępowaniem Moroz musiał sobie zasłużyć na szacunek powszechny — domyśleć się łatwo.

Był on poważanym nie tylko w kole swoich współtowarzyszów, ale przez wszystkich co go znali.

W tym samym domu którego dół cały zajmowały sklepy hurtowne, sklepy, winiarnie, lochy i komory na różne towary — a drugie piętro służba, oficjaliści, pomocnicy sklepowi — familia pana Moroz i on sam zamieszkiwali na pierwszym piętrze....

Kamienica była stara jeszcze z tych wieków w których je budowano jak fortece, dwa piętra miała monumentalnie sklepione... mury grube, dach wysoki, — ale wytworu i zbytku próżno w niej szukać było. Zato czystość utrzymywano jak największą, holenderską, myto i zmiotano codzien i najmniejszy kątek nie miał pozwolenia się zabrukać.

Na pierwsze piętro wiodły, (na żelazne ślusarską robotą z r. 1669 drzwi zamknięte) wschody ciemne dosyć, nie bardzo wygodne, kręcone, załamywane, ale wcale malownicze....

Pokoje były obszerne z framugami w murach ogromnemi, z piecami gdańskimi, a od dziadowskiego podobno wesela, nie wiele w nich się zmieniło.

Stara to była zamożność i dostatek obrachowany na długie trwanie... sprzęt staroświecki wykonany przez pół artystę pół rzemieślnika z miłością, z upodobaniem, ciężki, poważny; jakby dla innych zgotowany ludzi.... Szafy stały rzeźbione ogromne, widocznie raz ustawione na lat kilkaset, bo je ruszyć nie było łatwo... przez nie widać było srebra pamiątkowe, holenderskie fajansy, porcelany chińskie i innych form naczyń. Gdzieniegdzie to skrzynia rzeźbiona, to zegar szafowy suto ozdobny, to dywan dziwaczny świadczył o starém gospodarstwie domu. Nowego nie nie było albo mało, pan Moroz znajdował że to co się dziś robi, mimo postępu w rękodzielach i sztuce ani smakiem ani wykonaniem obok dawniejszych dzieł stanąć nie jest godném. Wzrosła techniczna zręczność ale miłość pracy zgasła; artysta rzemieślnik robi prędko, spekuluje i nie tworzy dla siebie ale dla tłumu, którego zepsutemu smakowi dogadza.

To téż wiek nasz doskonały naśladowca przeszłych, nie ma własnego smaku, myśli, nie położy piętna na sztuce, z eklektyzmem sceptycznym powtarzając... co kto lubi... japońszczyznę, średnie wieki, rokoko... Wszystko mu jedno byle sprzedał.

W ogóle pan Moroz wielki starożytności miłośnik i gustu dobrego człowiek, choć ten w nim czystym był instynktem, powtarzał iż sztuka o której dziś

tyle mowy i hałasu wszędzie, — nie jest główną wieku zasługą i zadaniem.

— Niech robią maszyny — mawiał, a rondelek pompejański zawsze piękniejszy będzie od najwysmażniejszego brązu XIX. wieku....

Moroz od dawna był wdowcem, mieszkanie więc miał za obszerne może dla siebie, siostry i syna, ale rachował na to że Augustyna kiedyś ożeni... Stało to więc jak niegdyś bywało w oczekiwaniu na zaludnienie, trochę pustką, ale poważną, i piękną.

Parę pokoiów od dawna zajmowała panna Zuzanna Morozowna, siostra jegomosci, prowadząca gospodarstwo domowe.... Długie jój życie w domu brata, nawyknienie do porządku, uczyniło ją wierném odbiciem prototypu familijnego. W niektórych nawet praktykach domowych była jeszcze od brata silniejszą.

Panna Zuzanna miała lat pięćdziesiąt, lubiła koty, pilnowała bardzo skrzętnie bielizny, srebra i porcelany, farfur holenderskich i szkieł w które dom był obficie zaopatrzony; chodziła do kościoła, stała na straży postów i świąt, a wcześniej się wyrzekłszy wszelkich widoków małżeńskich, wiodła życie szczęśliwe, spokojne i jak zegar regularne.— Ubierała się trochę ze staroświecka ale z wielkim smakiem i tym instynktem kobiecym który zgaduje co ładne; a że niegdyś była piękną, na starość też

zachowała rysy szlachetne, którym spokój duszy dawał blasku. Gdy szła z książką nabożną w rękę, uśmiechnięta, poważna do kościoła, spojrzawszy na nią jakoś się w duszy dobrze robiło....

Wspomnieliśmy dla historycznej dokładności że lubiła koty, miała ich dwa i bardzo piękne — ale najwspanialszy sybirski, olbrzymi, popielaty faworyt, który drzemał godzinami na jój kolanach, nie wypełniał jój serca tak, by największa część jego dla synowca nie została.

Kochała Gucia miłością prawdziwie macierzyńską, bo téż mu zastąpiła wcześniej zmarłą matkę i było to jój dziecię... jój ulubieniec.... dla niego jednego gotową była nadwreżyć porządek domowy, zmienić program przedwieczny.... Gucio w jój oczach był wszelaką doskonałością, ideałem, cudem, myślała o nim, czekała na niego, płakała gdy wyjeżdżał, witała go ze łzami, chodziła na palcach gdy zasnął.

Gdy po rozstaniu dłuższém przybywał Gucio, panna Zuzanna zbiegała ze wschodów, gubiła klucze, domowi jój nie poznawali, takie ją opanowywało wzruszenie....

Co wycierpiała gdy Augustyn postanowił pójść do oddziału, gdy go potém przywieziono ze strzaskaną ręką do domu — jeden Bóg wiedział tylko.... Trwoga o niego zmieniła ją do niepoznania, dnie i

noce trawiła przy jego łożu zalewając się łzami, modląc i nieodchodząc chyba do kościoła, gdzie krzyżem leżała prosząc Boga aby go im zachował.

Od téj chwili Guccio z ideału młodzieńca stał się dla niej bohaterem.... Dawniej już ubolewała nad tém że nie znajdzie dlań na świecie godnej niewiasty — teraz mniej jeszcze przypuścić mogła, by która kochać go była warta i losy jego podzielać. Guccio... stał tak wysoko w jej przekonaniu iż królewnej dlań było za mało....

Młody chłopak płacił tę miłość macierzyńską przywiązaniem i poszanowaniem synowskiém, miłością dziecięcą...

Takim był dom ten niepozorny jak jego właściciel, cichy... trochę klasztornej fizygnomii. Prowadzono w nim życie oszczędne i skromne, chociaż bilansy doroczne wykazywały coraz wzrastający i już bardzo znaczny majątek w obrocie, towarach, nieruchomościach i kapitałach. Ale ten przyrost majątku bynajmniej na zmianę trybu życia nie wpływał, był dostatek, zamożność — strzeżono się zbytku. Guciovi ojciec dostarczał hojnie na wszystko co do jego wykształcenia służyć mogło, ale odmawiał wszystkiego co wdrażało do miękkości i dawało nałogi niebezpieczne a groźne.

Powrót Gucia do domu nigdy może tak uroczyście obchodzonym nie był jak teraz, panna Zuzanna rozplakała się na widok jego, ojciec na pół dnia porzucił swój fotel w sklepie; godziny stołowe, porządek dzienny był przewrócony; nagadać się z nim dosyć nie mogli. Ale właśnie gdy i stary Moroz i ciocia byli w tém usposobieniu szczęśliwém, nasz podróżny przyjechał czy znużony czy nie bardzo zdrowszy, milezący jakiś i smutny. Napróżno się go dopytywano, nie przyznawał się ani do choroby, ani do zmęczenia, przecież widać było, że coś na nim ciążyło. Ojciec nie bardzo na to zważał, ale macierzyńskie oko panny Zuzanny wniosło niepokój do jéj serca.

— Coś mu jest, rzekła sobie, ale ja tego dojść muszę....

Na parę dni stary Moroz uwolnił jeszcze syna od zajęć zwyczajnych, utrzymywania ksiąg i rachunków, zapowiedział mu wszakże, iż po ich upływie, potrzeba się zająć szczerze buchalteryą i mnóstwem zaległych korespondencyi i rachunków.

Stało się jak rozkazał i młody człowiek nawet nie czekając ostatecznego kresu swoich wakacyi chciwie się jął zatrudnień obowiązkowych.

Panna Zuzanna szemrała przeciwko temu ojca rygoryzmowi, uległa przecie sądząc, że praca bę-

dzie zarazem lekarstwem na przywiezione z podróży znużenie innego rodzaju....

Nie skutkowała ona jednak. Augustyn był zawsze milczącym, smutnym i nie takim jakimby go była ciocia widzieć pragnęła. Dawne wesele młodości, humor ochoczy, czoło jasne zastąpiła przedwczesna powaga i tęsknota. Szukając przyczyn opiekunka wpadła na myśl, że miłość kraju i smutne koleje jakie on przebywał, wpływ musiały wyrzucić na biednego chłopca....

Nie domyślała się wcale, że przywiózł z sobą chorobę nie uleczoną — miłość; że na dnie serca zagrzebaną była tajemnica której nawet tej przybranej matce powiedzieć nie mógł.

Obok kamienicy Morozów, świeżo odnowiony bardzo wykwintnie stał dom Würflów, w którym pierwsze piętro było do najęcia.

Ponieważ starego kupca obchodziło dosyć to sąsiedztwo, dnia jednego gdy tabliczkę zdjęto, posłał na zwiady chłopaka, kto najął to pomieszkание. Odpowiedziano mu, że jakaś nieznajoma pani ze wsi — je najęła.

W kilka dni potem zjawił się skromny ale wygodny ekwipaż a kupiec dowiedział się że nowa lokatorka przybyła. Obchodziła ona także dosyć ciekawą pannę Zuzannę... która pierwsza doszła, że to

była młoda bardzo piękna wdowa z prowincyi, która zimę miała w mieście przepędzić.

— Przyznam się, rzekł Moroz, gdy mu to oznajmiła przy obiedzie — że to nie jest dla nas miłe sąsiedztwo. Młoda wdowa! wiemy co to ma znaczyć gdy zimę w mieście przepędza.... Będzie dawać wieczory, bale, szumu i chałasu w ulicy dosyć, po nocach się trzeba pilnować żeby gdzie jeszcze lokajstwo pijane ognia nie zapuściło... bo kobieta sama, pewnie tam ładu nie będzie.

Jakoż w parę dni potém, stary Moroz stojąc we drzwiach sklepu ujrzał wychodzącą z sąsiedniej bramy, kobietę młodą, piękną, bardzo skromnie ubraną, która szła pieszo do kościoła z książką do nabożeństwa.... Domyślił się że to być musiała jego nowa sąsiadka... i ucieszył się że ją tak znalazł skromną. Może wieczorów dawać nie będzie? rzekł w duchu.

W parę godzin potém, taż sama piękna pani powracając z miasta zaszła do sklepu. Kupiec był na progu... spotkali się oko w oko.... Uderzyła go nadzwyczajna piękność i ujmująca fizyognomia pani, która przyszła sama dowiedzieć się o potrzebne jej do domu zapasy i dosyć jakoś długo i troskliwie wypytywała pana Moroza....

Kupiec odprowadził ją grzecznie aż za próg domu, a gdy dnia tego zasiedli do stołu, odezwał się do panny Zuzanny:

— A widziałaś też asińdzka piękną sąsiadkę naszą?...

— A waćpan?

— Hm! jam nie tylko ją widział, ale z nią dosyć długo rozmawiałem.

Gucio tak był zajęty talerzem swym w téj chwili, że nie zdawał się nawet słuchać o czém mówiono.

— Otóż przecie i ja ją przez okno widziałam, odezwała się panna Zuzanna, gdy wychodziła z kościoła.... Ale że śliczna to śliczna.... Wiele mamy pięknych osób w Poznaniu i między naszymi paniami i z arystokracji, ale co ta to ludziom głowy pozawraca... bo w istocie piękniejszej sobie wystawić trudno.... Widziałeś ty ją Guciu?

Augustyn podniósł głowę i spytał:

— Co?

— Nie słyszałeś o czém mówiliśmy?

— Przepraszam... nie uważałem.

Ale czerwony był tak że ciotka się przestraszyła.

— Mój Boże, czy ci krew uderzyła do głowy?

— Mnie — ale nie.... O czémże była mowa?

— O pięknej naszej sąsiadce... której ty podobno nie widziałeś....

Ojciec nie zważając na Gucia dodał:

— No tak, tak... rozmawiałem z nią....

— Więc coś? jak?

— A no, z ruchów, twarzy, obejścia niby wielka pani, ale łagodna i grzeczna, jak one rzadko bywają. Zdaje się istota jakaś spokojna i miłego charakteru... zresztą czy to tam z pierwszego wejrzenia i dwóch słów rozmowy sądzić można... o kobiecie... ciche wody! ciche wody!

— No! już znowu na kobiety pleść będziesz... odczuwała się panna Zuzanna.

— To mi się w niej podoba, że piechotą chodzi i ubiera się skromnie choć szalenie ładna.... Mówią że wdowa....

-- Tak, ale jój tu nikt nie zna....

— Nikt....

Na tém się skończyła rozmowa.

Czytelnik od pierwszego słowa poznał w pięknej nieznajomój, baronową Ewelinę, o tém wątpić się nie godzi. Ona to była w istocie.

Augustyn wcale się nie domyślał zrazu jój przybycia, dopiero od wczoraj dowiedział się o niém i z przestрахem niemal, drząc rozważał jakie mieć może następstwa. Położenie jego zdawało się niewymownie trudném, brzydził się kłamstwem, w fałszu żyć nie mógł, walczył więc z sobą co począć... milczał jeszcze, ale co najrychlej potrzebował się widzieć z Eweliną, aby coś postanowić i wymódz

na nią, żeby do krycia się z jej znajomości nie był zmuszonym.

Czekał tylko wieczora, myśląc się wymknąć z domu i pomówić z nią. Przychodziło mu także do głowy zwierzyć się wszystkiego ciotce, ale nie mógł się na to ważyć dopókiby się nie zobaczył z Ewelina....

Od stołu wstawszy, poszedł do swojej pracy, ale cyfry mieszały mu się przed oczyma... robić nic nie mógł. Troskliwa p. Zuzanna która uważała że mu krew biła do głowy, przyszła do niego i namówiła aby na dzień rachunki porzucił, jeżeli potrzebuje ruchu i spoczynku.

Augustyn wybiegł, bo ojciec także radził mu przechadzkę, ale wyszedłszy i przypomniawszy sobie że sąsiedni dom Würflów ma drugie wniście od bocznej ulicy, pośpieszył niepostrzeżony do Eweliny....

Nie widzieli się od tak dawna!!

Ona go oczekiwała od rana, ale nie była pewna czy o niej wie nawet i czy surowa domu klauzura przyjąć mu pozwoli... gdy drzwi otworzył i postrzegła go w progu, krzyknęła z radości biegnąc przeciw niemu z wyciągnionymi rękami....

Gucio pochwycił dłonie białe, był tak wzruszony, że się długo odezwać nie mógł.

— Cóż mówisz na to? spytała trwożliwie młoda kobieta — dobrze czy źle zrobiłam? Trochę serce, trochę głowa mi podyktowała to postępowanie... zresztą jestem fatalistką, co ma być... to się stanie. Dłużej mi tak daleko wytrwać było trudno, niepodobna.

— Nie pytaj mnie, droga pani... nic nie wiem, rzekł Augustyn... cały ranek dzisiejszy spędziłem w gorączce... w niepokoju, wiedząc że tu jesteś a nie mogąc się zbliżyć... U stołu była mowa o pięknój sąsiadce, musiałem udawać że nie słyszę.... Ale tak długo nie wytrwam... Niepodobieństwem jest dla mnie żyć w fałszu i wykradać się aby cię widzieć. Nie mam zapewne potrzeby spowiadać się przed ojcem z uczuć moich ale nie podobna żebym udawał ciągle iż jestem wam obcy i nie znajomy.... Toby było nad siły moje....

— Zrobisz jak zechcesz — odpowiedziała Ewelina....

— Muszę powiedzieć że was u wód poznałem... rzekł Augustyn wzdychając, choćby to miało podejrzenie obudzić, Ale nie będzie to wam przykrem, zwracając zbytmo mojego ojca uwagę?...

— Mnie? zawołała Ewelina spokojnie.... Pojmujesz, że tu nie przybyła w nadziei, że jak Cezar przyjdę, spojrzę i zwyciężę. Gotową jestem na walkę, boleść oczekiwania, na przykrości i sceny....

Wyobraźnia moja zbrojąc mnie przeciw wszystkiemu co spotkać może, wcześniej wyczerpała wszelkie prawdopodobne wypadki... na które się dobrowolnie narażam, a serce się ich nie ulękło.... Rób więc jak uznasz godniejszém dla siebie i dla nas, choćby to przykrzejszém razem być miało.... Jeżeli to przyspieszy... choćby wybuch nawet a rozjaśni położenie nasze, tém lepiej. Jako sprzymierzeńca spodziewam się co dzień tu hr. Starzy, który mi obiecał nadjechać. Zna waszego ojca....

— Tak, widzieli się w Wiesbaden i byli z sobą od pierwszego spotkania bardzo dobrze....

— Nie sądz tylko, kochany Guciu, dodała, abym żądała przyspieszenia, rozwiązania dla tego że mi cięży położenie nasze i walka... nie. Jestem cierpliwą, będę nią i nie zawiedziesz się na mém sercu....

Tu na miejscu lepiej jeszcze zrozumiałam trudności, małe przykrości naszego położenia, prozę sytuacji téj, ale mnie to ani ostudza ani przeraża....

— Ale jak wytrwasz w tém życiu do którego nie przywykłaś, w osamotnieniu?... spytał młody człowiek.

— Osamotnienie z książką, z myślami, o trzy kroki od domu waszego wcale mi nie cięży, ma swój wdzięk nawet. Jeżeli kiedy to teraz towarzystwo tłumne by mi ciężyło.... O to się nie lękaj...

byłam trzpiotem z rozpaczy nie jestem nim z usposobienia....

Narada trwała dość długo, rozejść się było trudno, nareszcie o szarym mroku Guccio, śmielszy z trochę jaśniejszą twarzą, wymknął się boczną uliczką z domu i powrócił do swojego mieszkania.

W godzinę potem poproszono go na wieczerzę. W izbie jadalnej ojca jeszcze nie było. P. Zuzanna oczekiwała na niego chcąc się co najrychlej przekonać czy bicia krwi ustały, czy przechadzka pomogła... ucieszyła się widząc oblicze jego weselsze...

— Ale bo to ten ojciec cię zamęcza, rzekła — młodemu takie siedzenie po całych dniach ani zdrowe być nie może, ani właściwe... tysiąc razy mu to powtarzam, uparty udaje że nie słyszy....

— To mi nic nie szkodzi, rzekł Guccio — a pracować nie tylko potrzebuję dla tego że obowiązek, ale że próżnowaćbym nie potrafił!

— O bo ty jesteś doprawdy aż do przesady pocziwym synem... zawołała ciotka.

Guccio spuścił oczy i zaczerwienił się. W tém wszedł ojciec bardzo jakoś chmurny i milczący... twarz miał swą urzędową, po której było można poznać że go coś dotknęło. Naówczas zwykł był zamykać się w sobie i trudno z niego było dobyć słowa. P. Zuzanna i syn od pierwszego wejrzenia

po chodzie, po ruchu, po siadaniu do stołu poznali zły humor starego....

Myślała wszakże p. Zuzanna iż go rozerwać potrafi wznawiając ranną rozmowę.

— Cóż sąsiadka panie Stanisławie? odezwała się, nie pokazała się tam znowu?

— Nie, jużem jój więcéj nie widział, rzekł bardzo pocichu Moroz — i nie ciekawym.

— A ja się przyznaję, jako kobieta, że ciekawa jestem i takem sznurkowałam, dowiadywała się na wszystkie strony, że wiem nawet jój imię i nazwisko....

— Pani baronowa Ewelina Skrzycka, przerwał ponuro Moroz... ja to od dawna wiedziałem....

Tu już wypadało się Guciowi odezwać lub nigdy, miał postanowienie silne nie tajenia się i schwycił tę zręczność, choć przewidywał że może przykrą wywołać indagacyę.

Chłodno więc o ile mógł, podniósłszy głowę, rzekł:

— Pani Skrzycka?... Zdaje mi się że ją u wód w Wiesbaden poznałem.... H. Starża mnie prezentował téj pani.

Ojciec powoli zwrócił na niego oczy, nie okazując aby go to wyznanie nazbyt dotknęło, ale ciotka aż się porwała z krzesła.

— Jak to? znasz ją? zawołała i nie nie mówisz? znasz? ale powiedz że mi zaraz, kto, co, jak,

przecież kiedy ją widywałeś... coś od nas więcej wiedzieć musisz?...

— Jeżeli ta sama jest — spokojnie odpowiedział Guccio, na którego ojciec patrzył z uwagą ale nie okazując zbytniego zajęcia, — jest wdową, zdaje mi się z Galicyi, osoba bardzo majątna, wykształcona i miła.

— Hrabia Starża ją zna? spytał Moroz — to ten sam który był u ciebie za mojej bytności? nie prawdaż?

— Ten sam, rzekł syn.

— A miły człowiek, przyzwoity, ale diable arystokratyczna figura!...

— Więc i ta pani — przerwała Zuzanna, liczy się pewnie do arystokracji... galicyjskiej?

— Może i nie wiem, rzekł Guccio — ale o ile z rozmów wnosić mogłem, nie obyczajem i przekonaniami....

— Tak, przerwał stary, wiedząc żeś asan synem kupca naturalnie z temi przekonaniami przed nim popisywać się nie mogła. To tylko dowodzi zrzeczności.

— Charakter ma zbyt otwarty, często aż do zdziwienia... rzekł Guccio, aby ją można posądzać o taką dla jakiegoś kupczyka wyrozumiałość.

— Jakiegoś kupczyka? przerwała ciocia potrząsając głową... jakiegoś kupczyka!

— Ale to ją widzę dobrze znasz? spytał Moroz.

— Tak jak się u wód poznaje... rozmawialiśmy często, mówił Gucio coraz spokojniej....

— Zatem już sama grzeczność i przyzwoitość wymagać zapewne będzie, żebyś ją asan odwiedził?

Popatrzył w oczy synowi pytająco....

— Chybaby to ojcu przykrość uczynić miało? zapytał syn.

— Mnie! mnie! ruszając ramionami rzekł Moroz — a co to mnie ma obchodzić! Nie powiem żebym cię do tego zachęcał i widział w tém coś bardzo zaszczytnego i miłego... prędj się będę lękał takich stósunków, które do niczego nie prowadzą a odprowadzają od wielu rzeczy pocziwych... Ale mój Guciu, tyranem do tego stopnia nie jestem... tyś już mężczyzna... mogę ci radzić, zabronić nie myślę. Masz prawo rozporządzać sobą, ojciec ci jest przyjacielem nie despota.... Zrobisz sobie co uznasz właściwém.

Znasz moje zasady, dodał — najbezpieczniej jest żyć w swojém kole, a nie drapać się do tych którym się zdaje, że łaskę nam robią, jeśli w salonie siedzieć poproszą i jako ludzi traktują. Znajomości wodne zresztą mają tę własność podobno, że po za próg kursaalu nie obowiązują...

Gucio wysłuchał tych słów ojcowskich coraz śmielszym się czując — ale nie rychło odpowiedział na nie.

— Może mi ojciec zaufać że nie popełnię nieprzyzwoitego, ani się narażę na upokorzenie — ale jeżeli jeszcze Starża z którym byłem bardzo dobrze, przyjedzie, nie taję iż mi tam być wypadnie....

Moroz spuścił głowę i jadł... mruknął tylko.

— Jak sobie pościelesz tak się i wyśpisz, mój kochany. W mojem życiu, choć nie raz wabiony do salonów nigdy nie uległem pokusie figurowania w nich na ostatniem miejscu i z łaski... było mi z tém nie źle.... Ty zrobisz jak ci lepij... jak właściwiej, ale pamiętaj, jeźlibyś się sparzył... że ojciec przestrzegął.

P. Zuzanna obrotom rozmowy tak jakoś była zdziwiona, iż się już do niej nie wmięszała... ale oczy jój biegały z syna na ojca, z ojca na syna usiłując coś wybadać, czego się domyślała.... Macierzyńskie jój serce nagle uderzone zostało jakby objawieniem czegoś, co jeszcze nie było dla niej jasnym, ale z każdą chwilą nabierało większego prawdopodobieństwa. W fizyognomii Morozą czytała powstrzymane nieukontentowanie, w twarzy syna jakby źle osłonioną tajemnicę.

— O że tego dojść muszę... powiedziała sobie w duchu... to muszę.... Jak to być może ażeby Gu-

cio się taił przedemną... a! témby mnie obraził śmiertelnie....

Nastąpiło milczenie; stary Moroz przerwał jakby umyślnie drażliwą rozmowę zwracając ją na handlowe sprawy, weksle, korespondencye, rachunki. Mógł się przekonać z niej, że Guccio tego dnia wcale nic, mimo przechadzki nie zaniedbał....

Ciotka w milczeniu już teraz tylko na Augustyna patrzała, pod jej wzrokiem badawczym... nie mógł wytrwać biedny młody człowiek, tak czuł jak on daleko sięga w jego duszę; mięszał się nieco, widząc się niemal przedwcześnie odgadniętym.

Tu słówko jeszcze o pannie Zuzannie.

W wielu rzeczach sposób jej widzenia zgadzał się zupełnie z bratem, miała ona jego demokratyczną dumę, jego surowe wyobrażenia o obowiązkach pracy — ale ostateczne wnioski tych przekonań u panny Zuzanny były inne. Wiedziała ona na przykład że z małego handlarza Torlonia dorobił się księstwa i ożenił z jakąś księżniczką;.. słyszała o Medyceuszach... i nie sądziła ażeby Guccio mniej być wart od pierwszego i drugich. Dla niego rośła świetności i najwyższe stanowiska na przekór bratu który chciał go przykuć na wieki do ławki korzennego sklepu.

Jak błyskawica przebiegła po jej głowie myśl, że znajomość z tą młodą wdową, z hrabią, przy-

jazd ich obojga do Poznania... nie są bez znaczenia. Choć Guccio mówił o tém spokojnie, ona widziała w jego twarzy, czuła w głowie iż to wszystko nie było dlań obojętném.

Skończyła się wieczerza, a po niej, jak zwykle ojciec poszedł do swego pokoju. Guccio oddawszy dobranoc ciotce pospieszył także do siebie. Panna Zuzanna została w jadalni chodząc wielkimi krokami, myśląc, usiłując odgadnąć i na przemiany to przewidując jasno co się święciło, to sama uśmiechając się ze swych domysłów.

W pół godziny potem z flaszką kolońskiej wódki którą wyjęła z szafki dla pozorów, poszła niespokojna zapukać do drzwi Guccia....

Zastala go z książką u stolika....

— Mój drogi Gucciu, rzekła wchodząc trochę zakłopotana — uważałam że cię musiała głowa boleć... pewnie ty nie masz wódki kolońskiej? Przy-noszę ci ją... mnie ona w takich razach służy bardzo....

Guccio się zerwał z krzesła.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, rzekł całując ją w ręce... ale głowa mnie już nie boli.

— Już nie boli? powtórzyła Zuzanna przysiadując na fotelu.... A! to chwała Bogu.

To mówiąc badawczo, ciekawie wpatrywała się w smutną twarz jego....

— Chciałam téż, dodała ciszej, trochę się ciebie... popytać o tę naszą sąsiadkę, która mnie mocno zaintrygowała....

Spojrzała mu w oczy. Gucio pokraśniał jak wiśnia, — udawać nie umiał.

— Słuchajno, dodała po chwili milczenia widząc go pomięszanym — mam prawo nazwać się niemal matką twoją... i sądzę że na zaufanie zasłużyłam. Serce moje przeczuwa jakąś tajemnicę, przysięgam ci że nic nie wiem, i że tylko instynktem przywiązania mego do ciebie zgaduję wszystko. Bądź ze mną szczerem... Guciu....

Augustyn pocałował ją w rękę, ona go w czoło.

— Instynkt ten wasz macierzyński nie zawiódł, rzekł z cicha — tak jest, znam tę panią, jest to kobieta wyższa nad ideał jaki wymarzyć mogłem.... Kocham ją....

— Ona ciebie? dodała żywo ciotka, to nie może być żeby ona cię nie kochała.... Przybyła tu dla Gucia? nieprawdaż? Obawiacie się ojca! A! wszystko! wszystko, odgadłam, widziałam jak na dłoni... wprzódy nim mi powiedziałeś słowo.... Mówże mi wszystko, spowiadaj się szczerze... niech wiem co z tém począć. Ona jest śliczna! śliczna... i takiego coś ma szlachetnego w sobie....

Opowiadanie Gucia mimo najszczerzej chęci nie da się powtórzyć, było to coś tak żywego, przery-

wanego, dopełnianego ruchem, odgadywanego w polowie kochającym sercem... czego słowa zimnemi odmalować niepodobna.

Augustyn wylał się przed swą opiekunką nie tając nic, usiłując żywemi barwami przedstawić jej swe przywiązanie, swój ideał, poświęcenie téj ubóstwianej istoty, a wreszcie obawy o ojca i jego surowość.

Ciotka słuchała, płakała, ścisłała go, użalała się, łamała ręce, chodziła po pokoju, szukała środków i od razu poślubiła sprawę dziecięcia gorącym kochającym swém sercem.

Ale oznaki współczucia nie dopomogły do znalezienia sposobu postępowania ze starym Morozem i pokonania biernego oporu jego, jaki już się zapowiedział w kilku słowach przy wieczerzy. Potrzeba było zostawić wyszukanie dróg postępowania rozmysłom a trochę samemu obrotowi wypadków... Guccio i ciotka rozstali się splotakani, rozczuleni, niepewni ale ufni że wspólnemi siły wszystkie przeszkody przełamią....

Młody człowiek czuł się stokroć swobodniejszym i silniejszym, niepotrzebował tać się i kłamać — oddychał.

Brak miejski przynajmniej tak obfity jest i żyzny w problematyczne postacie które na nim urastają, jak lasy na grzyby. Wśród wsi pocziwiej tajemnic nie ma i zagadkowe istoty żyć nie mogą, tu wszystko jest pod oczyma wszystkich... Każdy wie sąsiada pochodzenie, tryb życia, środki egzystencji, nałogi, wady i cnoty.... W mieście byleby kto chciał lub miał w tym korzystać ażeby ukryć się w cieniu cały, albo część żywota osłonić od natrętnych oczów, przychodzi mu to z największą łatwością. Nigdzie też istoty problematyczne, zagadkowe figury, nierozwikłane sfinksowate fizyognomie nie są obfitsze jak na miejskim bruku. Im większe miasto, gęstszy las tym grzyby te rosną śmieliej i gromadniej. Ale i najmniejsze ogniska ludności nie są wolne od podobnych zjawisk przybyłych nie wiedzieć z kąd, żyjących nie wiadomo z czego... a wślizgających się tam nawet gdzie ich wcale przyjmować nie chcą....

Do takich zagadkowych figur dobrze znanych mieszkańców Poznania w tym roku (i od lat już kilku) liczył się p. Maxym Trogowski. Nikt z pewnością nie mógł powiedzieć, ani z kąd przybył, ani co robił, ani dla czego tu mieszkał, nawet czy był obywatelem Księstwa czy inniej części kraju. To pewna tylko, że dobrze widziany przez władze, nigdy przez nie nie był niepokojonym....

Pan Maxym nie powoływany sam nigdy o przeszłości nie mówił, — przyciśnięty wspominał o swęj familii w Księstwie, o krewnych w Królestwie, o powinowatych w Galicyi — ale głucho i w sposób nieoznaczony. Od lat kilku zmieniając tylko mieszkanie stał po hotelach różnych i w Bazarze, zawsze zajmując mieszkanie dosyć paradne i kosztowne i żyjąc tak jakby miał środki do życia bardzo obfite... Ubierał się wykwintnie, odbywał podróże do wód i do stolic, grał w karty grubo, wydawał pieniądze nie skąpiąc, należał do wszystkich wybryków złotęj młodzieży; słowem uchodzić mógł za człowieka dostatniego który z czasem swym i pieniędzmi nie bardzo wie co począc....

P. Maxym mógł mieć lat trzydzieści kilka, ale wyglądał bardzo świeżo i młodo; rysy jego twarzy nie były ani piękne ani brzydkie, uderzało w nich to tylko że na nich dusza nigdy nie grała... krzywiły się czasem konwulsyjnie... niby śmiechem, niby smutkiem, ale to było ściagnięcie muszkułów i skóry naśladowujące tylko pewien wyraz... cudzych obliczów. Nikt nigdy nie zajrzał do głębi tego człowieka....

W towarzystwie robił z siebie co chciał — był dowcipny, poważny, melancholiczny, tajemniczy, otwarty, ale w najweselszėj i najrozpasańszėj kawalerskiej hulance, po kilku butelkach wina Maxym

więcej się nie otworzył, nie stał zrozumialszym niż gdy był na czczo.

Uderzało to także iż dzielił pojedynczo przekonania wszystkich, potakiwał każdemu, a gdy sporne zdania przychodziły do walki, umiał się zawsze od niej usunąć, zostać na boku i wytrwać na neutralnym gruncie. Był to talent w swym rodzaju niepospolity.

W towarzystwach lekkich gdy szło o zabawę, o urządzenie rozrywek, Maxym na gospodarza bałków, wieczorów, teatrów amatorskich — był jakby umyślnie zrodzonym. Nikt nad niego wspaniałej, smakowniej, kosztowniej nie umiał wykonać pikniku... wystawić podwieczorku... spalić fajerwerków i bardziej po pańsku gospodarować na balu....

Gdzie on przyłożył rękę można być było pewnym że wino będzie od najpierwszych liwerantów... pasztety najświeższe, ostrygi najwyszukańsze... stół najwytworniejszy. Lubił i sam występować pańsko i drugich w to wciągać; na rachunek wcale nie zważał, jakby pieniądz go nic nie kosztował....

Wszystka przyzwoita młodzież chlubiła się jego przyjaźnią; — przyjmowano go wszędzie a choć czasem powstawały wątpliwości i wahania, umiał on je przez swych przyjaciół usunąć.

Wpływało wiele na to chętnie przyjmowanie w towarzystwach Maxyma, że nigdy o polityce nie

mówił, w sprawy ogólne się nie wdawał, a jeżeli uniknąć nie było można wypowiedzenia przekonań, objawiał zasady konserwatywne i głosił się legitymistą *in petto*, ze wszystkimi konsekwencyami.... W święta i niedziele chodził regularnie do kościoła, w piątki po domach gdzie do wyboru był post lub mięso zawsze bywał z postem, a w ogóle cisnął się raczej do towarzystwa arystokratyczniejszego, niż do kółek poślednich. Wyjątek stanowiły domy bankierów, kapitalistów i ludzi wielkich fortun, które starczyły dla Maxyma za genealogię.

Jaki właściwie był cel życia tego człowieka, nikt się domyślać nie mógł, — nie dorabiał się to pewna, bo nie pracował, nie zabiegał o ożenienie; — lubił się bawić, a nadewszystko grać. Że zaś grał uczciwie acz grubo i szczęśliwie... mogło do pewnego stopnia tłómaczyć tę zagadkową egzystencję. Obracał się też wyłącznie w kole młodzieży bogatjej, którą do siebie zwabiać umiał i psuł po troszę....

Obok tych wszystkich przymiotów Maxym miał jeden jeszcze... mimo niepozornej twarzy, lat trzydziestu kilku.. i wcale nie fascynującej powierzchowności, — był nadzwyczaj szczęśliwym do kobiet.... Nie chlubił on się tém, był niezmiernie dyskretny, ale gdy chciał, mówiono że głowy wszystkim zawracał... uchodził też za Don Żuana... choć jak inne

jego życia wypadki i kronikę zalotną, gęsta mgła pokrywała przez którą ledwie się gdzie niegdzie przebiła małeńka płoteczka....

Maxym znany był całemu miastu... a więc i p. Morozowi; niekiedy ugaszczając u siebie wybranych chodził sam do kupca najprzedniejsze wybierać wina, był dla niego nadzwyczaj grzecznym... i tém go sobie nieco ujął. Płacił zresztą gotówką i bez najmniejszego targu....

Przechodząc ulicą wystrojony, wyświeżony, pachnący, w świeżych codziennych rękawiczkach, — jeżeli droga wiodła około „Złotego grona,“ uchylał zawsze kapelusz przed Morozem, a niekiedy parę z sobą słów przemówili.

Nazajutrz po zwierzeniu się Gucia cioci i rozmowie z ojcem, p. Stanisław stał niespokojny czegoś przed sklepem jakby wyglądał kogoś i oczekiwał na coś.

Odwoływany do środka, powracał na próg i nie spuszczał oka z ulicy.

Było około jedenastej może... gdy ukazał się przechodzący pan Maxym. Zdala już dostrzegło go oko kupca... i nie zeszło już z niego, wiódł go tak aż przed swój sklep, a gdy wedle obyczaju kawaler grzecznie mu się uklonił, Moroz oddając mu jeszcze grzeczniejszy ukłon z uśmiechem, postąpił parę kroków naprzód.

— Dzień dobry panu dobrodziejowi, rzekł podając mu rękę....

— Dzień dobry....

— Uczynźe mi pan ten honór i racz do mnie wstąpić na chwileczkę, rzekł Moroz.... Wiem że pan dobrodziój jesteś tu u nas najpierwszym winzawcą, autorytetem który i ja uznaję. Otóż parę dni temu trafiła mi się partya starego tokaju.... mam ochotę ją kupić, ale bym pragnął zasięgnąć i zdania pańskiego.... Nie odmów mi i wstąp na kieliszek.

— Ale szanowny panie, odparł zatrzymując się z uśmiechem grzecznym p. Maxym spojrzawszy na zegarek... jest jeszcze tak rano....

— Wszakci tylko skosztujesz pan, ja do picia nie zmuszam.... Mam świeże i dobre przekąski z których sobie wybierzesz co wolisz i kieliszek tokaju, to nigdy zaszkodzić nie może.... Ażeby dobrze smak wina i zapach ocenić, właśnie potrzeba być prawie na czczo....

Maxym któremu to pochlebiało... zawahał się, ale odmówić nie mogąc wszedł do winiarni. Stary Moroz coś szepnął chłopcu, przyniesiono sardynki, sery, pasztet i starą, obrosłą pajęczynami okrytą butelczynę węgrzyna, której sam kształt był patentem jój wieku....

Moroz dobył powoli korek, ostrożnie nalał w kie-

liszek płynu bursztynowego i postawił go przed Maxymem, który naprzód powąchał. Nie potrzeba było zbliżać się nawet do kieliszka, gdyż odetkniętej butelki woń silna, miła, zdrowa rozeszła się po izbie....

— Bez pochlebstwa... zawołał kroplę kosztując Maxym... takiego wina jeszcze w życiu nie kosztowałem... a! to nektar! to nektar....

— Tokaj! kapka! rzekł Moroz.

— Dziwna rzecz, kończył Maxym, czuć że jest bardzo stare a nic nie zdębiało, nie przetrawiło się zbyt mocno! gęste, tłuste... smaczne jak konfitura.

— A mocne jak ogień, mimo swój łagodności — dodał kupiec. Takie wino choćby jeszcze lat kilkadziesiąt stało w lochu nie zepsuje się, nie przejdzie w to cierpkie, przykre... jak to bywają cieńsze wina postarzawszy....

— Mogę powinszować panu nabytku, jeśli nie na wagę złota kupione — odezwał się Maxym, bo takie wino dziś rzadkie i niezmiernie drogie.

— To już mój sekret, dodał kupiec uśmiechając się... Chwałę się tu po naszych starych dworach to kasztelanem, to hetmanem, a ja to wino od jego pochodzenia nazywam podskarbinem i ręczę że w całym Księstwie poznańskim równego mu nie ma, nawet... nawet u Kw....

— A wiele to tam tego podskarbiego macie? spytał Maxym.

— No... juźci na sta nie liczę, ale na jakiś czas, na wielkie uroczystości po parę butelek dostarczyć będę mógł — bo to tém szafować się nie godzi... to produkt czasu... i... fenomenalny! mości dobrodzieju! nie każde się tak uda!

Nalał powoli i drugi kieliszek gościowi, który się już nie wzdragał.

— No, a kiedyż to, rzekł Moroz uśmiechając się — zażadasz asindziej odemnie podskarbiego na wesele?

— Na czyje wesele, spytał Maxym?

— No, na pańskie własne....

— O! ja bo się żenić nie myślę.

— To źle, ożenić się koniec końcem potrzeba lepiej wcześniój niż zapóźno....

— Czekam aż mi co do serca przemówi — odpowiedział pan Maxym.... nie łatwy jestem.... od żony wymagałbym wiele....

— To téż jeźli gdzie to w naszym kraju kobiety i najtrudniejszych nawet zadowolnić mogą, mówić kupiec, nigdzie pan nie znajdziesz i tak zacnych, pocziwych, łagodnych i tak pięknych.... Mieliśmy tu w Poznaniu już dosyć śliczną girlandę twarzyczek a tu nam jeszcze jedna przybywa, powiadam panu dobrodziejowi cudo... jak anioł na obrazie,

— A! a! któż to znowu? zawołał śmiejąc się Maxym... oho! jaki to z pana znawca i wielbiciel....

— Już to ani jedno ani drugie, ale oczy mam.... a właśnie sąsiadka moja... pewna wdóweczka młoda, baronowa Skrzycka z Galicyi.... Stoi tu w kamienicy Würflów na pierwszém piętrze....

Maxym który miał do tego pretensye że pierwszy wiedział o wszystkiém i znał cały świat, podniósł oczy w górę, zmarszczył brwi — powtarzając.

— Skrzycka! Skrzycka! cóż to to jest? nie znam...

— Widzisz pan... a ha! Młoda, piękna, bogata i wolna....

— Czy tylko pewno to wszystko razem, kochany panie Moroz, odparł gość, bo to młodość się udaje, piękności się w sklepie kupują, bogatą można być pół roku gdy kto umie... a....

— No, no, spuść się pan na mnie, że tu nie ma fabrykacyi żadnej... rzekł Moroz. Nie znasz pan czasem hrabiego Starży....

— Z Galicyi? znam doskonale, był tu razy kilka u nas...

— Jest to jój opiekun pono i przyjaciel, może nawet krewny....

— A! to zmienia rzecz — przerwał Maxym, teraz wierzę w tę pańską wdowę że nie fabrykowana....

Moroz który dołał jeszcze raz wina po czém butelkę mocno zakorkował dając znać, że *omne tri-*

num perfectum zakończyć ma tę próbę — schylił się razem do ucha pana Maxyma i szepnął:

— Dopóki tam nikogo nie ma... weźno się pan... radzę... a ręczę że się uda. Wdówka pono milionowa i śliczna... dzieci nie ma, familię tylko daleką... to dla was jakby stworzona partya.... Życzę... życzę....

Zdziwił się pan Maxym i życzeniu temu tajemniczemu i obrotowi rozmowy, a że był podejrzliwy szukał po głowie już coby w tém się ukrywać mogło... gdy zręczny czy naiwny pan Moroz znowu począł o winie.

— No, no cóż, jakie pańskie zdanie? rozkosztowałeś się pan? he?

— Ale wino bez najmniejszej wody, w swoim rodzaju idealne... co pan chcesz żebym powiedział, powinszować tylko mogę tak znakomitego nabycia. Kto inny z takiej butelki jednej zrobiłby dobrych pięćdziesiąt... ale ja wiem że to nie pańska rzecz.

Moroz głową potrząsnął....

— Podskarbi będzie stał... przyjdą wesela pańskie, rozejdzie się po parę butelek....

I znowu zniżając głos dodał uśmiechając się dziwnie:

— Na pańskie weselisko, da Bóg doczekać, ofiaruję z powinszowaniem dwie butelki... *gratis*....

Pan Maxym wstał, pożegnali się, wyszedł; myślał długo o rozmowie ale naostatek ją sobie wy-

tlómaczył tém że kupiec znając jego rozległe stó-sunki, użył go jako reklamy dla swego starego wina.

Utkwiła mu przecie w myśli ta młoda, piękna, bogata wdówka... o której ani on ani nikt z towarzystwa męzkiego ani żaden z domów przyzwoitszych dotąd nie wiedział.... Była to dla niego zagadka....

Właśnie jakby umyślnie na jój rozwiązanie zjawił mu się z Bazaru wychodzący o kiju hrabia Stanisław Starża. Poznał go z daleka pan Maxym, a że rad był i popisać się z wszechstronną wiedzą i coś się od niego dowiedzieć, przywitał go... z wielkiem uszanowaniem i serdecznością do której bardzo mała znajomość niedostatecznie upoważniała.

Starża był trochę zdziwiony poufałością, ale zbliżwszy się poczuł zapach węgierskiego wina i poniekąd ją sobie wytłómaczył....

— Witam pana hrabiego! rzekł Maxym — jużemy tu o przybyciu jego wiedzieli i cieszyliśmy się niém....

— Wiedzieliście? to szczególna rzecz, mruknął hrabia — bo ja przed tygodniem sam nie wiedziałem jeszcze że tu będę?

— I wiemy nawet powód jego przybycia, tajemniczego, dodał Maxym.

— Doprawdy, to coś osobliwego... jesteś więc pan chyba jasnowidzącym? zawołał kwaśno Starża....

— Nie, ale na świecie wszystko się wie....

— Tłómacz że mi pan proszę, po co ja tu przybyłem....

— Najłatwiej... dla widzenia się z panią bar. Skrzycką... rzekł tryumfująco Maxym.

Starża się cofnął i popatrzał nań długo, a wreszcie ruszył ramionami.

— Jeżeli nie jesteś pan jasnowidzącym, to... ale już lepiej nie dokończę, odezwał się nieukontentowany. Nie rozumiem!!

Maxym śmiał się....

— Baronowa, odezwał się sucho Starża, przybyła tu jedynie, szukając spokojności i odpoczynku.... Dla tego dziwi mnie bardzo że wkrótce po jej przybyciu już w mieście o niej wiedzą wszyscy, kiedy pan wiesz....

— Ja! tak, ale nie wszyscy, tajemniczo odpowiedział Maxym.

— Zkądże pan?...

— Ja muszę wiedzieć o wszystkiém, dodał elegant, próżniak. Cóżbym robił gdybym plotek nie zbierał.... Jakkolwiek szuka wypoczynku baronowa, spodziewam się że małe kółko wybranych przynajmniej u siebie zgromadzi, polecam się hrabiemu, aby mnie zaszczyt należenia do tego grona — nie minął....

Starża potrząsał głową chcąc coś mówić, ale Maxym uklonił mu się zimno i grzecznie — i poszedł.

Hrabia cały zburzony powlókł się do baronowej, nie wiedząc co myśleć o tém wszystkiém, ale po rozwadze postanowiwszy nic Ewelinie o tém nie wspominać.

Tegoż dnia stary Moroz przynajmniej pięciu czy sześciu młodym kawalerom udzielił na ucho wiadomości o przybyciu pięknej wdowy i tak ciekawość ich obudził, że przez całe niemal poobiedzie do wieczora, około domu kręcili się i stali najrozmaitsi panicze, usiłując tę nową gwiazdę choć z za firanek zobaczyć. Ale okna były zamknięte, story spuszczone, Ewelina nie wychodziła i przechadzki pod oknami były próżne....

Przy obiedzie stary Moroz był w zupełnie dobrym humorze, nie wspomniano nic o sąsiadzce, rozmowa szła o rzeczach potocznych, a panna Zuzanna nie dostrzegła żadnego symptomatu zatrważającego — któryby miał obudzić podejrzenie że kupiec się czegoś domyśla.

Całą duszą panna Zuzanna przywiązała się do sprawy kochanego dziecka, czuła ona i była z tego dumną, że od niej prawie samój poprowadzenie jój

mniej więcej szczęśliwe zależeć będzie. Pierwszej nocy po zwierzeniu się Gucia spać nie mogła, snując najrozmaitsze projekta i plany po głowie. Ale jak tu było do tego strasznego brata przystąpić, jak go wybadać?...

W mniejszych rzeczach pan Stanisław chętnie się powodował radą siostry, w większej wagi wypadkach nie słuchał tylko siebie. Znała go jako niezmiernie twardego w postanowieniach, a nie jeden raz słyszała gdy mówił o przyszłości Gucia, że mu żonę ze stanu mieszczańskiego wybierze i na żadne małżeństwo ze szlachcianką nie zezwoli.

Począć nawet w tym przedmiocie rozmowę z panem Morozem było nie łatwo, bo w ogóle mówił tylko o tém o czém chciał, a gdy mu przedmiot był nie po myśli, zbywał milczeniem, udawał głuchego, nieodpowiadał i zwracał tak rozmowę, iż w końcu trzeba się było wyrzec walki, którą biernym oporem czynił niemożliwą.

Panna Zuzanna jakkolwiek niecierpliwa czekać musiała pory... zaczepiać nie śmiała... na nicby się to nie przydało....

W parę jakoś dni nastęczyła się niespodzianie sposobność. P. Zuzanna siedziała w swoim fotelu z kotem na kolanach myśląc o tym nieszczęśliwym Guciu, który musiał się na chwilę potajemnie wykradać do swój pani... o panu Stanisławie który

zdawał się czegoś domyślać... o przyszłości świetnej itp. gdy zapukano do drzwi. Po chodzie poznała brata.

Ale była to pora w której on prawie nigdy na górę nie wchodził, trzeba było jakiegoś nadzwyczajnego wypadku żeby sklep porzucił przed obiadem. Zuzanna się zerwała prawie przelękniona, kot spadł a pan Moroz wszedł z miną bardzo poważną.

— Mam z siostrunią kilka słów do pomówienia, rzekł....

Siostra jeszcze przerażona milczała, bo domyślała się że idzie o Gucia i drżała w duchu wzywając pomocy Bożej. Odmawiała Zdrowaśkę na tę intencję, gdy kupiec w tył ręce złożywszy ze spuszczoną głową, począł mówić zwolna przechadzając się po pokoju.

— Wszakże to siostra zna tego pocziwego burmistrza?

— Którego?...

— A no? pana Pawła....

— Naturalnie, od tylu lat... spodziewam się, jakżebym go znać nie miała....

— I jego rodzinę?...

— Tylko syna wyrostka widuję, bo choć ma córkę, ale ta gdzieś po śmierci matki oddana była na pensję i nie wiem nawet czy powróciła....

— Gdzieś! oddana na pensję! czy to siostra nie wiesz że edukację świetnie skończyła w Paryżu i od dwóch miesięcy wróciła....

— Wróciła! a o tém nie wiedziałam!

P. Zuzannę uderzyło już to wspomnienie o córce... było jój podejrzané....

— Ten poczciwy pan Paweł z którym się spotkałem wczoraj... bodaj go tam, wprosił mi się sam na jutro na herbatę....

— Z córką? spytała p. Zuzanna.

— A no, i z synem i z córką i całą familią, wiesz przecie siostra że w naszych obyczajach tego nie ma byśmy małoletnich od zabaw naszych familijnych usuwali. Otóż przyszedłem o tém powiedzieć ci i prosić... trochęby należało wystąpić... trochę, nie bardzo.... Radbym żeby i Gucio był... a nie wiem, wieczorami się często absentuje....

Zamilkli oboje, kupiec popatrzył na siostrę, która raka upiekła.

— Ja tam go nie posądzam żeby do złego towarzystwa uczęszczał, rzekł, to chłopak obyczajów uczciwych, nie zepsuty, ale tego nie lubię....

— Młody, potrzebuje jakiegś rozrywki, cały dzień nad temi rachunkami....

— Ja téż wolności jego nie ukracam... bo nie gorszego jak owe zbytne rygory kiedy człowiek powinien sam uczyć się swój woli używać. Lepiej,

ażby dziecko upadło, niżby je ciągle na pasku wodził... bo by się nigdy chodzić nie nauczyło.

— To prawda! to prawda! cicho szepnęła siostra...

Mogła się p. Zuzanna spodziewać że z tego przyjdzie do obszerniejszej rozmowy, w której wybada brata, ale Moroz jeszcze raz poleciwszy jej wieczór jutrzejszy, pożartował z sybirskiego kota i prędko jakby umyślnie wyszedł.

Nie trzeba było zbytnej przenikliwości by odgadnąć że familia burmistrza... zaproszona na herbatę... była tylko dla córki świeżo z Paryża wracającej.... Pan Moroz miał jakieś zamiary.

Ciotka pobiegła szepnąć o tém Guciovi, nie mógł się uwolnić od pozostania w domu, gdy taka była wyraźna wola ojca.....

Nazajutrz wcześniej woskowe świece poprawiano w staroświeckie srebrne lichtarze, dobyto najpiękniejszą porcelanę, najcieńsze bielizny, a pokój bawialny w którym oczekiwano gości wyglądał prześlicznie ze swemi sprzęty rzeźbionemi, brązami i kryształami. Moroz przebrał się w surdut czarny, panna Zuzanna włożyła czepeczek świeży, koty zostały zamknięte.... Gucio we fraku smętnie stał w kątku....

Około ósmiej głośna rozmowa na wschodach oznajmiła rodzinę pana Pawła, a wkrótce potem dostojny burmistrz, jego córka, syn czternastoletni, dziesięcioletnia siostrzenica, podżyła panna Albert Francu-

ska dawna nauczycielka, guwerner chłopca... weszli z kolei wesoło gwarząc do pokoju w którego progu witał ich Moroz z uprzejmością serdeczną, przedstawiając im syna....

Syn ten był sztywny i krochmalny, milczący i posępny, ze swą ręką na temblaku, tak że więcej obudzał politowania niż zajęcia.

Pan Paweł nosił imię niemieckie, zwał się bowiem Besser i był w istocie pochodzenia niemieckiego, choć rodzina jego zdawna już bardzo osiadła w Poznaniu. Na portretach jego dziada i pradziada można było widzieć polskie kontusze, ale on wychowany już w szkołach pruskich, obracając się wciąż w towarzystwie urzędowém, mało co i źle mówił po polsku, zniemczał prawie zupełnie.

Uczucie narodowości starło się w nim i zgasło... W rozmowie wolał używać francuzkiego języka choć nim źle także mówił, niż polskiego który haniebnie zapomniał, acz mu był codzień potrzebny.... Młodsze pokolenie jeszcze od nianiek i z ulicy schwyconą trochę lepszą mówiło polszczyzną, ale ta w miarę przechodzenia do klas wyższych zwolna się zacierała. Malec był prawie Polakiem, starszy łamaną srodze mową, powoli coś mógł wykrztusić....

W tém gronku przybyłych, głównie zwracała uwagę córka pana Bessera; owa świeżo z Paryżu przybyła panienka, która w istocie zasługiwała na

to... aby się jój przypatrywano. Była to prześliczna Francuzeczka, naiwna, wesół z tym charakterem tak ujmującym dzieciństwo przedłużonego, które się wynosi z pensyi i klasztorów....

Była piękną bardzo i pan Besser z dumą oglądał na ten kwiatek wykwitły na jego grzędzie, wypielegnowany starannie.... Dodawszy do téj twarzy uśmiechniętej sto tysięcy talarów posagu, o których burmistrz mówić lubił i które nie podpadały najmniejszej wątpliwości — panna Adela mogła myślać sięgać bardzo wysoko.

Ale to było mimo lat dwudziestu dziecię z duszą nierozbudzoną, ciekawe, roztrzpiotane, coś na kształt kwiatka, coś na kształt motyla... istota co jeszcze ani rozumiała, ani przeczuwała życia.... Po zamkniętym klasztorze... po jednostajnych latach nauki i rekreacyi w sznurowanych alejach obmurowanego ogrodu.... Adelka pragnęła się bawić, i wyobrażała sobie dalszy ciąg życia jako wieniec spleciony z balów, śmiechów, sukienek świeżych, cukierków, błyskotek....

Miło było patrzeć na nią — ale nie podobna uczuć ku niej więcej nad serdeczną litość i strach o jój przyszłość... pełną rozczarowań niechybnych.

Panna Zuzanna z wielką uprzejmością robiła honory domu, ale nie przyszło jój to łatwo, śliczny ów motyl paryzki nie mówił tylko po francuzku;

ona tym językiem mało.... P. Albert nie wiele rozumiała polskiego, reszta towarzystwa zarywała ciągle z niemiecka, panna Morozówna zaś z tym językiem była i w kłutni jakoś i wyuczyć się go nigdy nie mogła.

Słowem jak w wieży Babel ozwały się na raz najrozróżnairsze mowy, i najpociesniejsza z nich stworzyła się mieszczanina....

Nie w jednym to salonie nawet nie miejskim, za dni dzisiejszych coś podobnego natrafic można. Hybrydy nasze skłonne są do posługiwania się obcą mową, a tysiące przyczyn składa się na to wynarodowienie... najniebezpieczniejsze ze wszystkich....

Język ta szata myśli, to ciało jój raczój — gdy się zmienia, wiezie za sobą metamorfozę ducha człowieczego.... Nieznacznie pod wpływem języka niedojrzany, mikroskopowym ugina się, łamie idea, ściera charakter, niszczy indywidualność narodu. Język oddziaływa, przeistacza, i jak niewidzialne pęta stanowi o ruchu, o chodzie myśli, o jój polocie i barwie...

Nie ma najmniejszej wątpliwości że w charakterze tój części społeczności naszej która się posługuje francuzczyzną nieustannie, odbija się silnie wpływ tego języka. Nie stajemy się przezeń Francuzami ale jakiemiś hybrydy, mieszańcami, czémś nieokreślonym, pośrednim, tém mniej wartém że

pochodzenie i natura tych dwóch języków są niezmiernie różne, a wpływ ten, możnaby powiedzieć, naturalnym nawet nie jest. Myśl skuta tą mową maleje, ogranicza się, nawyka posługiwać się wyrobionemi gotowemi frazesami, leniwieje... hybrydzieje....

Świetnie ci ludzie występują zawsze w początku... ale zapas ich wyczerpuje się prędko... w kilka dni możesz odgadnąć z góry, co te lalki powiedzą. Tak im wygodnie z gotowym dowcipem, wykrzykiem i całkowitemi peryodami konwencyonalnemi, że już ani potrzebują, ani mogą zdobyć się na coś własnego. Jak Francya mało tworzy a wiele przeżuwa tak nasi Polono-gallowie zapożyczają ogromnie a myślą mało... Po cóż się trudzić zdało, kiedy tyle jest cudzego, czego nikt brać nie broni?

Wpływ niemiecki równie szkodliwy, jest całkiem inny.... Hybrydy z niego wyrastają, co często mowy własnej użyć nie umieją — ale się myśleć szeroko i samodzielnie wyuczyły. Trudno im potem mimo pracy całego życia nałamać się do swobodnego mówienia po polsku, zawsze czuć ten sztywny niemiecki, ten niewolniczy porządek wyrazów które jak żołnierze wedle starszeństwa się układają do koła myśli... ale w tych ciężkich średniowiecznych okowach żyje duch... i targa się by je pokruszył.

Francuzki język paraliżem nabawia, niemiecki upaja jak piwo bawarskie, robi ociężałym ale i siłę wlewa do rozbudzenia się ze snów niezdrowych....

Po kilku próbach nieudanych, zgodzono się ja-
koś mówić po francuzku źle, bo inaczej nie było
można, większość przynajmniej rozumiała tę mowę,
a Adelka mogła się popisać z tak ślicznym akcen-
tem, z takim paryzkiem *rr*, z taką łatwością szcze-
biotania, że srebrnego głosiku jak muzyki słuchać
się chciało.

Moroz choć rozumiał, mówił nie wprawnie i cię-
żko, to też się mało odzywał, pilnując tylko oczyma
syna... a pragnąc (jak się zdawało) odgadnąć wra-
żenie uczynione na nim przez śliczną Adelkę....

Widział on ją sam razy kilka wprzód u pana
Bessera, zdawała mu się i dziwnie piękną i nad-
zwyczaj miłą, — ale teraz ojcowskie serce które
pragnęło aby się podobala synowi, nie znalazło już
w niej tego uroku.... Płochę dziecię trzpioczące się
z wielkim wdziękiem, smutny uśmiech wywoływało
na usta.

Besser który był dumny dziecięciem, na nie
tylko miał zwrócone oczy, ku niemu słuch Moroz
i całego towarzystwa nieustannie skierował, aby wiel-
bili dowcip córki, jej talenta i niezrównaną śmia-
łość naiwną....

Popsute trochę dziecię, zajmowało też sobą i swą Francuzką wyższością wszystkich aż do zbytku; chociaż z całą grzecznością gospodarzy Zuzanna i Gucio poklaskując popisom mieli jakieś fizyognomie smutne i zakłopotane....

Wśród herbaty, na żądanie papy, Adelka deklamowała bardzo śmiało jakąś scenę z Atali, potem medytację Lamartin'a, śpiewała arję włoską, grała na fortepianie (który się jęj po własnym Pleycl'u niepodobał) kompozycję szumną Willmers'a... słowem popisywała się jak prawdziwa pensyonarka.

Wieczór zszedł na adoracjach ciężkich i wszyscy odetchnęli, gdy grzeczny Gucio gości po jedynastej sprowadził do bramy, zaproszony wraz z rodziną na wieczór w parę dni potem do Besser'a. Nie wracając już potem do salonu, młody człowiek znudzony i smutny poszedł prosto do siebie.

W bawialni około ruin herbaty, tortu i całego przyjęcia, została sprzątając reszty troskliwie p. Zuzanna i stary Moroz. Widocznie chciał on wybadać wrażenie jakie Adela zrobiła na siostrze, sam nie zupełnie będąc zadowolony.

Po chwilce milczenia:

— No cóż siostra mówisz, na to śliczne dziecko? zapytał.

— Śliczne dziecko... tak! odpowiedziała Zuzanna.

— Ale nie tak bardzo i dziecko bo ma lat dwadzieścia, doskonale to pamiętam byłem na chrzcinach... rzekł Moroz, prawda że ładna?

— Śliczna jak laleczka....

— No, i wychowana choć do najświetniejszego salonu....

— To prawda że do salonu, lakonicznie znowu potakiwała siostra sprzątając.

— I cóżbyś powiedziała gdybym... gdybym.. wspólnie z Besserem miał... miał... no, pewne projektu... rozumiesz.

Żywo odwróciła się Zuzanna i parsknęła śmiechem nie wesołym.

— Zmiłuj się bracie, rzekła — a cóżbyśmy z tą laleczką robili? Ty co tak dobrze znasz świat i ludzi, mógłżeś pomyśleć nawet dać taką towarzyszkę Guciowi....

— Ato znowu czemu? cóż w tém tak bardzo dziwnego, ofuknął Moroz, taki człowiek jak Gucio z takiego materiału jak ta dziewczyna, która jest jeszcze niczém a może się stać czém mąż ją uczyni — zrobiłby... żonę godną siebie.

— Otóż się w tém mylisz mój najdroższy, rzekła powoli Zuzanna, nie jest to już takie dziecko powolne któreby z siebie dało zrobić co kto zapragnie. Sam mówisz że ma lat dwadzieścia... wychowana, jak? nie do pracy, nie do życia, ale do popi-

sów, zabaw, strojenia się i zbierania oklasków.... Być bardzo może iż kochając męża, powoli znacznieby się dała wykształcić, spoważniałaby, ale... ale zawsze paryzkie wychowanie dla nas obce, z naszym życiem niezgodne, czućby się w niej dawało. To nie żona dla pracowitego kupca, a człowieka myślącego jak Gucio, potrzebującego towarzyszkę która by go pojąć i ocenić mogła... to prędzej towarzyszka świetnego jakiego podrujnowanego panicza... który za jęj sto tysięcy talarów zadłużone dobra wykupi....

— A! ha! ha! ha! to, to, to, zawołał machając rękami Moroz... jak żyję jeszcze tak gorąco wątpi adwokatującj nie słyszałem....

— Bo Gucia kocham jak matka....

— A ja jak ojciec.... Ale zkądże znowu taka gwałtowna opozycja?....

Panna Zuzanna milcząc, spokojnie przybliżyła się ku niemu.

— Bracie, rzekła poskramiając się — robię cię samego sędzią w tęg sprawie, ale gdy ochłoniesz, zastanowisz się lepiej i pomyślisz nad tém.... Mam nadzieję że Guciovi pozwolisz się ożenić, ale go żenić sam nie będziesz. Jest to wada ojców że przez swe stare oczy chcą lepiej wiedzieć co młodym dobre być może i miłe, niż oni sami przez własne serca i oczy....

— No, no — dość, dość, rzekł Moroz, może i ty masz słuszość, panno Zuzanno, ale i ja też zabiegając... troszcząc się o los Gucia, nie całkiem jestem obrany ze zdrowego rozsądku.... Idzie mi o to bardzo aby nie wpadł w jakie sidła... żeby nie przylgnął gdzie do szlachcianki, do jakiej zrujnowanej pani lub panienki... bo na tém się skończy że pojedzie na wieś, zmarnieje chłopak, handel i pracę porzuci, a nas się zaprze i do herbu przypytawszy... będzie.... A! nie chcę o tém już i mówić.

— Ale spojrzysz na Gucia, czy to do niego podobne? wychowałś go tak żeby on, on... on — powtarzała z coraz większym przyciskiem, mógł co podobnego się dopuścić?

— Pod wpływem kobiety! moja siostró kochana, powinnaś wiedzieć że my w ogóle tak jesteśmy głupi, nędzni, słabi iż pod wpływem kobiet nie tylko niedorzeczności ale zbrodnie popełniamy! Kobieta w życiu człowieka najczęściej o całym kierunku jego stanowi. Nazywa się ona słabą istotą ale jest — oprócz na Wschodzie — wszechmogącą.... Nieustanny, powabny, nieznaczący wpływ ten, przetwarza, podnosi lub poniża, osłabia lub umacnia....

— I dla tego chciałeś mu dać Adelkę?

— Dla tego, bo ta jest w istocie słabą i niższą istotą... rzekł Moroz.

— Zastanówże się bracie, że doprawdy z jakiegoś strachu panicznego wpadasz w przesadę dziwną. Dla tego ażeby nie wpadł na kobietę złą, dajesz mu żadną... zamiast czekać dobrej? Cóż za tém idzie, że ta próżnia którą inna wypełnia w życiu została by nie zajęta, że z tą kobietą lekką i dziecinną, szukałby chyba towarzyszki sercu i umysłowi za domem. A jeźliby go dzieciak ujął wdziękiem, młodością i podbił — to co? coby wówczas było? dokądby go Adelka zaprowadziła?... na bal!!

Ciocia przez swą gorącą miłość dla przybranego dziecięcia, tak w istocie zwyciężko adwokatowała (jak mówił Moroz) że stary poczuł iż miała słuszość.

Uśmiechnął się.

— Dziś waćpannie przyznam, że dalipan w téj sprawie więcej masz rozumu nademnie.... To prawda, Adelka... no... nie gadajmy o tém.... Ale bądź pewna, że ja mam swoje przyczyny, dla których to czynię.

— Cóż to sekret? dla mnie? zapytała p. Zuzanna.

— Ale nie ma sekretu żadnego, bo nie ma tak dalece nic, odparł miarkując się Moroz. Chłopiec się nudzi, potrzeba go ożenić... ot i po wszystkiém.

— Dajże mu sobie poszukać żony! odezwiała się siostra.

— Albo to ja nie wiem, gdzie on jój będzie szukać i gdzie ją najłatwiej znajdzie.... Zgubą nas

wszystkich i całego naszego stanu średniego w Polsce jest to właśnie, iż kilka pokoleń nawet wytrwać nie może na pocziwem stanowisku pracy... Oto co się zwykle dzieje. Dziad, ojciec mozolnie w sklepiu, często poczynając od noszenia zapalek po ulicy, robią w pocie czoła, o głodzie i biedzie fortunę. Zwiększa się ona, rośnie, dziecko się stósownie wychowa... wejdzie w stósunki i co... szlachta go pochłonie!! Naówczas ożeniony z jakąś tam baronową lub diabeł wie kim, kupczyk wciska się do herbu, dorabia antenatów, zapomina o uczciwej przeszłości, wyrzeka się ojca i matki i ciśnie po to w szlacheckie szeregi, ażeby go w nich przez trzy lub cztery pokolenia palcem wytykano, szepcząc sobie na ucho... to ten....

Bywały podobne przypadki wszędzie, ale nigdzie tak systematycznie się to nie działo, jak u nas. Mnie to gniewa właśnie iż swojego stanu szanować nie umimy, ani wytrwać na stanowisku. Przy pierwszej lepszej zręczności zrzucamy niebieski fartuch pracy jakby nas parzył...

Tego ja nie chcę w mojem dziecku. Guciowi testamentem przekażę aby się nie ważył rzucić sklepu i handlu... bo nie chcę ażeby się mnie wstydził, dziada i pradziada, ale by z nas chluby szukał... Zostawuję mu jako tarczę i herb wielką księgę han-

dlową stuletnią, w której nie znajdzie fałszu... bankructwa, ani czego by się mógł sromać....

P. Zuzanna z kolei uczuła żywo, że brat miał słuszość, podzieliła jego myśl i przyszła mu ścisnąć rękę. Moroz był przejęty, łza świeciła mu w oku.

— Mój bracie, odpowiedziała cicho — cała twa troska pochodzi z tego, że nie dosyć znasz syna. Jesteś dobrym, najlepszym ojcem, ale twa powaga i surowość nigdy ci poufaléj do serca dziecka zarzeć nie dała. Gdybyś go znał, jak ja, gdybyś wiedział jakim on jest w głébi duszy, nie obawiałbyś się nigdy o to by się skaził fałszem, szukał w kłamstwie przyszłości a zapierał się pochodzenia i wyrzekał pracy.... Ręczę ci za Gucia... gdyby się z królowną ożenił, święcie spełni twą wolę i pożyczanego szlachectwa nie wdzieje.

— A na cóż go na pokusę tę narażać? spytał Moroz....

— Mnie się zdaje, dokończyła siostra — że ani się bać, ani spieszyć ani namawiać, nie należy.... Zostawić to czasowi....

Moroz znacząco głową pokiwał, ale już nic nie odpowiedział.

Nazajutrz w tym domu nawykłym do niezmiernego porządku wszystko znowu szło trybem dawnym, tylko kupiec niespokojniej przechadzał się po sklepie, wyglądał z niego często, siadał, wstawał i znać było że go coś wewnątrz trapiło... Dzień był ciepły i piękny, nie mogąc usiedzieć w krześle, stał prawie ciągle przed sklepem. To też przechodzący kłaniali mu się i zaczepiali go nieustannie. On tego nie unikał.

Pierwszym który zagadnął p. Moroza był pan Maxym. Miał do tego słuszny powód bo go spoufałiło niedawne przyjęcie... chciał się grzecznością wywdzięczyć. Wszedł aż na próg podając rękę kupcowi... to jest właściwiej parę palców, obawiał się bowiem o świeże jasne swe rękawiczki.

— Bodaj waćpana, rzekł cicho do ucha p. Stanisławowi... z tą pańską sąsiadką wdówką....

— A no? cóż takiego?

— To jakaś zaczarowana księżniczka czy coś.... Tam nikogo nie wpuszczają. Prosiłem Starżę... inni także usiłowali się wcisnąć, odprawiono z grzecznym kwitkiem, że pani ta chora i nikogo, zupełnie nikogo przyjmować nie będzie....

— No proszę! rzekł pośepnie Moroz.

— A w istocie ci co ją mimo woalu widzieli w kościele mówią że ma być cudnie piękna i wcale

na słabą nie wygląda.... Coś w tém jest... jakaś nie zbadana tajemnica....

Kupiec tym razem był milczący i zamknięty.

— Nie wiem nic, rzekł... nie wiem....

Pożegnali się.

Nie upłynęło pół godziny, Moroz zamyślony nad gazetą handlową siedział w krześle, gdy ujrzał cień stojący w progu... i poznał hr. Starzę.

Hrabia rozglądał się po sklepie, zbliżył i podając rękę, odezwał:

— Przyrzekłem choć nie zaproszony oddać panu dobr. wizytę w Poznaniu... dotrzymuję słowa. Wiem to że jak księdzu w zakrystyi tak kupcowi w sklepie się nie składa uszanowania — ale mi powiedziano że pana w domu nigdy zastać nie można.

Czy przeszkadzam?...

— Ale nie, rzekł chłodno Moroz skinąwszy by podano hrabiemu krzesło, bo stary długo stać nie mógł. Miło mi pana dobrodzieja oglądać....

— Wiesz pan, że mnie miło też zobaczyć taki poważny, przedwieczny handel który się do nawyknień wieku z pewną dumą stariej firmy nie zastósował.... Te sklepienia, ten pozór średniowieczny, te cechy dawne, czynią „złote grono“ bardzo wiele oryginalném.

— Zrozumiałeś mnie hrabio dobrze, rzekł Moroz, a teraz pojdziesz też lepiej dla czego w sklepie

sam siedzę, syna sadzę i chce a wymagam abyśmy się w nim utrzymywali przez pokolenia.... Dla czego nie wchodzę w towarzystwa nie właściwe i syna do nich nie puszczam.... U nas panie hrabio... nie się długo nie trzyma prócz szlachectwa... a trzeba byśmy i my czuli że czémś jesteśmy, w czém wytrwać można, należy... i czego się nie ma co wstydzić.

— Masz pan słuszość — odparł hrabia... dosyć mi było spojrzeć na „złote grono“ znając syna waszego, aby zrozumieć tradycję domową i — poszanować ją....

Moroz głowę skłonił.

— Gdybyś jednak, szanowny, surowy — nieprzełamany demokrato mój... chciał wedle obyczaju w świecie przyjętego... oddać mi moje odwiedziny.. nie dalekobys się potrzebował fatygować, i nieby ci to doprawdy nie zaszkodziło... Stoję tu obok w kamienicy Würfów, moja daleka kuzynka pani Skrzycka która tu mieszka, dała mi parę pokoi.

— Wiem, wiem, jakoś zimno odparł Moroz, że tu mieszka p. Skrzycka, ale niewiedziałem że i hrabia....

— Od wczoraj.... Mogę się spodziewać że mnie raczysz odwiedzić? zapytał hrabia... czy może posuwasz oryginalność aż do uważania nas za zapowie-trzonych?...

— Ale nie — rzekł Moroz.... Śmiej się sobie hrabio jeżeli chcesz... przypuściwszy jednak że znajdziesz u ciebie kilka osób, nie będziesz się mnie wstydził przed księciem Sułkowskim albo jakim Raczyńskim... i nie będę ja w kłopotcie gdy poznają we mnie tego co im świece sprzedaje?...

— Kochany panie — są to obawy XVIII wieku nie dzisiejsze, rzekł Starża, a dziwne w ustach człowieka co umie tak dostojnie nosić swój stan i powołanie....

Dlaczegożbyś miał czuć się żenowanym przy księciu Sułkowskim, który kupuje u ciebie świece, jeżeli on się nie żenuje waćpana co u niego kupujesz olej, żyto, krochmal i t. p.??

— Przesąd stary...

— To go łammy, zawołał Starża, co u kaduka.... właśnie tacy ludzie jak wy powinni się do tego czynnie wziąć i działać. Bądź pan pewien, że ja wcale nie lekceważę mojego szlachectwa, mojej przeszłości, wspomnień naddziadów... aż do krwią zapracowanego tytułu, ale szanuję też i inne zasługi na każdym polu.

— Gdyby tak wszyscy te rzeczy widzieli!

— Właśnie natośmy pracować powinni, odparł Starża.... Ale ja panu czasu nie zabieram, a spodziewam się, że rozmowę naszą dokończymy u mnie... Przyjdź pan.

Moroz nie nie odpowiadając odprowadził gościa z ukłonami aż do progu, wrócił do fotelu siadł, zakrył się gazetą handlową i głęboko... głęboko zamyślił.

Gdy Starża powrócił do Eweliny, niecierpliwa gosposia oczekiwała nań już w progu.... Widziała ona przez odsuniętą nieco firankę wchodzącego do sklepu, doczekała go nieruchoma w oknie gdy wyszedł...

Serce jój biło, lice płonęło....

— No cóż, mów! jakże cię przyjął? czy obiecał być u ciebie, mój hrabio, mój dobry przyjacielu... mów, bom niecierpliwa, bom niespokojna nad wyraz...

Starża się uśmiechał.

— Wszystko, rzekł, poszło jak najlepiej, stary jest twardy ale zacny człowiek, a ze swojego punktu widzenia niezawodnie ma słuszość... Przyznam się wam, że jak w ogóle mieszczaństwa dumnego i demokracji pyszałkowatęj nie lubię, tak z tym spokojnym człowiekiem dobrze czującym swą godność sympatyzuję.

Niemniéj kochana baronowo, dodał z uśmiechem, przygotuj się do tego, że stary Moroz ze swym roz-

sądkiem, że swą przyzwoitą godnością jest wyjątkiem. Wejdiesz... jeżeli się nam uda.

— Jakto! musi się udać! zawołała Ewelina.

— Wejdiesz pani w familją, nie znam jój, ale się domyślam, że musi być liczna... a nie wszystka będzie podobną do Gucia i do starego Moroza. Znajdą się tam i stare panny śmieszne i ichmość do niczego nie podobni... a w salonie krzykliwi i rażący.

— Hrabio, bądź tylko sprawiedliwym — przerwała Ewelina, przypomnij sobie naszą wiejską szlachtę ubogą, z którą radzi nie radzi jesteśmy spokrewnieni... Alboż to między nią nie ma krzykliwych oryginałów i pociesznych starych panien i ludzi bez wychowania.

— Trafiają się — szepnął hrabia — i to prawda... ale kochana pani, obojguby nam to na myśl nie przyszło, gdybyś nie potrzebowała tłómaczyć się przed sobą i przedemną z terażniejszego położenia....

Nastąpiła narada..... Hrabia miał mniej więcej wyczekiwać w domu te godziny, w których się Moroza spodziewał u siebie, aby kupiec go zastał koniecznie i nie zbył biletem. Ułożono także, aby służący natychmiast dał znać o kupcu Ewelinie, która miała w czasie jego odwiedzin wejść niby wypadkiem... i starać się zbliżyć a zapoznać z Morozem....

Wszystko to starannie przewidziane, spełniło się prawie jak było postanowione. Nazajutrz Moroz nie

przyszedł, ale trzeciego dnia w niedzielę, gdy sklep był zamknięty, ujrzano go w nowym czarnym surducie, kapeluszu i duńskich rękawiczkach, z laską staroświecką w ręku, zmierzającego do Würflów domu. Czaty były tak pilne, że baronowa nie potrzebowała oznajmienia, sama zobaczyła idącego, spojrzała w zwierciadło, aby się przekonać czy dość ładnie wyglądała w bardzo skromnym stroju.... i gdy już była pewną, że Moroz zasiadł u hrabiego, z bijącym sercem zapukała do drzwi.

Rumieniec mimowolny... okrył jój twarz gdy weszła, ale z nim było jój tak pięknie, a strój ów niewykwintny, czarny, tak ją uczynił uroczą i wdzięczną!!

Starża zawsze panem będąc siebie, wcale nie zmięszany, nie dając poznać po sobie ile go to obchodziło — przedstawił razem panią Ewelinę kupcowi i Moroza sąsiadce. Rozmowa poczęła się od tego, że piękna wdowa przypomniła się, iż już miała przyjemność widzieć go raz i mówić z nim.

Nie wiemy czy kupiec się spodziewał, czy przewidział lub nie, iż sąsiadkę zobaczy, to pewna że nie okazał najmniejszego zdziwienia gdy weszła, ani zakłopotania w rozmowie, ani nawet zbytniej ciekawości..... Spoglądał niekiedy na Ewelinę, odpowiadał jój niezmięszany, ale ani jój piękność, ani dowcip, ani miła rozmowa nie zdawały się na nim

zbyt widocznego czynić wrażenia. Był grzecznym niezmiernie a chłodnym.

Mówili o mieście, o pogodzie, o kraju, o drobnostkach nie tykając nic ważniejszego... Naturalnie o synu ani ojciec nie wspomniał, ani nikt z obecnych... Odwiedziny trwały daleko krócej niż sobie życzone. Moroz prędko wziął za kapelusz, nie dał się powstrzymać i wyszedł.

Był już w dziedzińcu a hrabia i Ewelina jeszcze przemówić do siebie nie śmieli. Baronowa rzuciła się w krzesło i zadumała głęboko...

Starża chodził po pokoju.

— Wiesz pani, że to może tak trwać do skończenia świata — odezwał się po chwili — bo dotąd nie obmyśliliśmy wyjścia i nie możemy przewidzieć co poczniemy.... Najmilszy ów wasz Gucio jest tchórz i sam téż nie wie co robić...

Na te słowa właśnie drzwi się otworzyły, baronowa krzyknęła z radości zobaczywszy Augustyna.

Starża się uśmiechnął.

— Cheesz, spytał, bym ci powtórzył te słowa, na które właśnie wszedłeś?

— Byłoby to zupełnie zbyteczném, rzekł uśmiechając się młody człowiek, bom chcąc niechcąc słyszał je już na progu. Na nieszczęście przykre mi zrobiły wrażenie, bo gotowiście sądzić, iż one spowodowały nieodmienne postanowienie moje, z któ-

rém tu przyszedłem. Położenie w istocie jest trudne dla pani i do mnie należy starać się wyprowadzić z niego. Dajcie mi tylko pozwolenie, dziś jeszcze otwarcie z ojcem mówić będę....

Milczenie.

Hrabia spojrzał na Ewelinę — ona, tak śmiała zwykle, siedziała strwożona.

— A jeżeli ojciec rozgniewany nawet widywać się nam zabroni? spytała. — I znowu w milczeniu przeszła chwila.

Gucio się odezwał.

— Mam lepsze nadzieje i proszę o błogosławieństwo...

Schylił się przed Eweliną, ta wyciągnęła rękę i usta przyłożyła do jego czoła.

— Idź, odezwała się, rób co ci serce twoje radzi.... Co Bóg da to da — ja wytrwam...

— Ja także... dodał Guccio... idę natychmiast, naradzę się z ciotką i dziś... dziś...

— A! dziś...

— Losy się rozstrzygną...

W niedzielę obiad się zwykle nieco opóźniał, siadali zwykle tego dnia do stołu pomocnicy handlowi, którzy w inne dni stołowali się w mieś-

cie... przydawano jeden półmisek, deser i flaszką dobrego czerwonego wina wydzieliła się na dwie osoby... Kuchnia w niedzielę była trochę wykwintniejsza i obfita. Patryarchalnie Moroz z p. Zuzanną zajmował pierwsze miejsce w rogu, dalej zasiadali młodzi chłopcy porządkiem starszeństwa w sklepie.— Niekiedy i gość się trafiał, ale rzadko. Moroz kierował rozmową tak aby młodzież wybadać razem i nauczyć czegoś. Tę niedzielę nic się w obyczaju zwykłym nie zmieniło, ale obiad począł się w milczeniu, twarze były jakby powarzone i rozmowa nie szła.

Młodzież surowo trzymana i niezmiernie obawiająca się naczelnika swego, nie śmiała ust otworzyć widząc go chmurnym... a po deserze wyniosła się co najrychlej.

P. Moroz zwykle wychodził na przechadzkę, tym razem nie ruszył się z fotelu, podparł, dumał, był smutny.

P. Zuzanna zakręciwszy się i z progu drzwi krzyżem Pańskim pobłogosławiwszy Gucia, wysliznęła się także. Ojciec i syn zostali sami.

Augustyn miał mocne postanowienie odkrycia ojcu swój tajemnicy, ale w chwili stanowczej zabrakło mu odwagi.... bladł, czerwieniał, nie wiedział od czego zacząć.

Moroz spoglądał na niego z ukosa, choć niby nie patrzył...

Chwila krótka tego oczekiwania zdawała się wiekiem.... Guccio w końcu uląkł się by ojciec nie wyszedł, przystąpił do niego, ujął rękę i pocałował.

Nie było to we zwyczaju i zapowiadało coś niezwykłego. Moroz smutną twarz zwrócił ku niemu, ale z łagodnością jakiej Guccio nigdy może nie widział w tych rysach zwykle spokojnych a zimnych.

— Masz mi co do powiedzenia? spytał Moroz cicho — mów....

— Chciałbym, kochany ojcze... i nie śmiem... odpowiedział Guccio. Pozwolisz mi przed sobą otworzyć duszę... mówić jak przed spowiednikiem.

— Jak przed przyjacielem — przerwał stary.

— Boję się, kochając cię, dobry mój ojcze, a bym ci nie był zmartwienia przyczyną.... Sam widzę iż to, co się stało mimo méj woli, przykrém ci będzie. Ale są w życiu ludzkim nieuniknione fatalizmy. Kocham się, ojcze mój... wybór mój jest stanowczy, oparty równie na szacunku jak na przywiązaniu, jest ze wszech miar z innych względów stosowny, ale z twojami widokami nie będzie się zgadzać. To mnie boli.

— Zgaduję... szlachcianka... zawołał Moroz. Jest to nieszczęście... nie będę ci tał że mi to boleśném, Gucciu... A więc my w naszym średnim stanie dla

wykształceńszego człowieka żony znaleźć nie potrafiliśmy? Przykro mi, przykro mi i dla tego że się zawsze lękam, abyś skłoniony przez żonę nie porzucił handlu.

— Tego nie uczynię nigdy... bądź ojcze spokojny — zawołał Guccio.

— Kto to jest? mów.

— Baronowa Ewelina Skrzycka...

— Nasza sąsiadka...

Moroz po tych słowach zamilkł posępnie, a po chwili począł powoli.

— Nie wiem czy miłość i młodość nie osłania ci oczów, Augustynie. W takim położeniu jak twoje wielu się rzeczy nie widzi, wiele tłómaczy pobłaźliwie... We wszystkich stanach trafiają się awanturnicy i oszusty... w zrujnowanej szlachcie często spekulanci i spekulantki. Nie idzie mi wcale o majątek, zgodziłbym się na ubogą dziewczynę bez grosza... aleby mnie w grób wpędziło, gdybym po ożenieniu dojrzał, przekonał się, że ta któraś poślubił była ciebie niegodną, kłamiąc ci... choćby jedno słowo... Znasz jęj położenie? majątek? stosunki? pokrewieństwo? przeszłość... Jesteś pewnym, że ci je tak przedstawiono jak są?

Na to pytanie długą odpowiedź musiał dać Guccio. Mówił zimno, wchodząc w najdrobniejsze szczegóły, a w końcu dodał.

— Wierzę jój tak, iż przysiędz mogę, że fałsz nigdy na tych ustach nie powstał...

Moroz milczał znowu, zdawał się walczyć z sobą, spuścił czoło zmarszczone... widać było, że wszystko to srodze go bolało, ale zarazem że sprawa była wygraną.

Podał rękę synowi.

— Niech Bóg błogosławi!

Wziął za kapelusz i szybko wybiegł na zwykłą swą przechadzkę.

Moglibyśmy sumiennie skończyć już na tém opowiadanie nasze... stulą związawszy ręce młodej pary, a przyszłe jój losy powierzając szczęśliwój gwiazdzie co ich połączyła...

Brak nam materyałów nawet, abyśmy dalej za nimi w życie, jego zapasy i walki pójść mogli... chociaż — od ołtarza poczyną się dopiero poważna powieść losów człowieka, do której miłość stanowi fantazyjne preludium.

Miłość ta... służy od wieków za tło dramatom, poematom, opowiadaniom. I nie dziw, jest to epoka rozkwitu serca... punkt kulminacyjny dojrzałości człowieka, jest to wstępny śpiew do poważnego chorału żywota...

Od tego kresu zaczyna się najcięższe zadanie... walka rzeczywistości z poezją, ideału z prozą powszednią, historii uczucia w zapasach ze słabościami ludzkimi i wypadkami losu....

Smutniejszych barw, surowszej treści tu się zaczyna ów Shakespearowski dramat z tragicznych często scen i farsy, urągających się sobie złożony... Ale któż te wewnętrzne dzieje spisać potrafi, których część grzebie w sobie serce człowieka, a ledwie cząsteczka na jaw wychodzi?...

U ołtarza jeszcze się wszystko uśmiecha wiosną i nadzieją — któż przewidzi i odgadnie, jak daleko one starczą i kiedy na ich ruinach sięść przyjdzie z zimą w sercu i ciemnotą przed oczyma!

W niewielu słowach dopowiemy historię tego dziwnego zaprawdę małżeństwa, które po kilku miesiącach przygotowań z obu stron, bardzo cicho i skromnie odbyło się w Poznaniu, zawiódłszy ciekawych co się wybierali koniecznie zajrzeć w oczy państwu młodym i ich szczęściu, a spóźnili się o całe pół dnia, bo ślub w obec nielicznych świadków pobłogosławił ksiądz o ranniej bardzo godzinie.

Oprócz ojca pana młodego, hr. Starży, panny Zuzanny i dwóch uproszonych świadków, przyjaciół starych domu p. Moroza, nie było w kościele niko- go, tylko kupka ubogich u drzwi. Po mieście rozeszła się wiadomość o naznaczonym terminie, gdy

już skromne powozy odwiozły nowożeńców od razu pod Złote Grono.

Że to był dzień powszedni, stary Moroz pedantycznie sklepu nawet nie zamknął, i obfitą wyznaczwszy jałmużnę dla biednych, zresztą obyczaju domowego nie naruszył.

Wieczorem nie wielka liczba gości usiadła do stołu zastawionego z przepychem, bo Morozowi szło o to, ażeby się ani skąpym, ani ubogim nie pokazał, żeniąc syna z milionową dziedziczką. Rozumie się, że stare srebra rodzinne wystąpiły wszystkie obok saskiej porcelany i wspaniałych delftów dziadowskich, japońszczyzny i chińszczyzny.

Moroz zgodził się z przeznaczeniem, przejednał zupełnie z piękną synową, którą p. Zuzanna kochała prawie tyle co Gucia, ale nie możemy powiedzieć żeby z obrotu wypadków był rad i nie cierpiał na tém, że Augustyn brał szlachciankę, baronowę i dziecię innego świata.

Chmurka pozostała na jego czole, ciężar na sercu, ale był zbyt dobrym ojcem, żeby się z widocznego szczęścia syna nie cieszył, obiecując sobie czuwać pilno nad tém, by przyszłość nie była zwichniętą.

Tysiące zastrzeżeń poprzedziło kontrakt ślubny; utrzymanie handlu, rozdział majątności, słowo dane przez Gucia, że pracy nie rzuci i na pana chorować nie będzie.

Mimo to stary Moroz był smutny i powtarzał sobie cicho: Gdybym był umiał przewidzieć i zapobiedz! Ale się stało.

Wieczór dopiero dnia ślubu przyznał się p. Moroz przed Starzą, iż jeszcze w Wiesbaden wiedział o stosunkach Gucia, nie chciał okazać po sobie iż jest uwiadomiony, ani ojcowską władzę rozwijać, aby namiętności rodzącej się rozdrażnieniem i przeciwieństwem nie zwiększać. Zdawało mu się, że to przejdzie łatwiej, gdy on domyślać się nawet nie zechce, iż istnieć może. Po przybyciu do Poznania Eweliny, czynił co tylko mógł ze swjej strony, ażeby stawić przeszkody i nastroczać pokusy, wszystko się to jednak nie powiodło. Moroz wyznawał upokorzony jak się czuł niedołężnym...

Pomimo uprzedzeń... oboje państwo młodzi obiecywali sobie, iż ojca uspokoić i na przyszłość bezpiecznym uczynić potrafią... Silnego też sprzymierzeńca mieli w zacnej pannie Zuzannie. Ewelina nie kryła przed sobą bynajmniej trudności położenia; mając posłannictwo pogodzić, zbliżyć i przejednać dwa światy, które się dotąd u nas mało stykały z sobą — a niedowierzająco lub szydąc wzajem na siebie patrzyły. Ale miała serce i instynkt, które jej zadanie ułatwiały.

Jeszcze przed weselem Gucia zjawił się niespodzianie w Poznaniu jednego chłodnego poranku,

w dosyć wytartym paletocie i wcale niewytwornie ubrany, p. Wincenty Darnocha Zdziwił niezmiernie Augustyna wchodząc do niego. Z twarzy chmurnej poznać było łatwo, że świetne losy i nadzieje młodzińcze, już w chwili urzeczywistnienia ich... rozbiły się o nieprzewidziane wypadki.

Hrabina Kaisersfeld nagle zobojętniała dla swego protegowanego, stało się to przyczyną wszystkich jego nieszczęść, które runęły jedno po drugim, wówczas gdy najpewniejszym się czuł zwycięstwa... Przyczyną zobojętnienia było może po części zbyt częste zajęcie Darnochy panną Hersylią i zaniedbywanie hrabiny, a potem przybycie młodego radcy stanu Sukina z Petersburga, który ideał pani lepiej daleko od Wincentego urzeczywistniał. Elegancją, dowcipem, cynizmem przyzwoitym, taktem zupełnie zaćmił Darnochę. Miał też ćwierć łokcia od niego wyższy wzrost i szersze plecy.

Powoli Darnocha sam spostrzegać począł iż z łański wychodził, że często drzwi protektorki znajdował dla siebie zamknięte, gdy radcy audjencję dawała... Zdaje się, że zazdrośny przybylec rzucił jakieś podejrzenie na młodego Polaka.... zwracając uwagę hrabinę że wedle systemu Katkowa żadnemu Polakowi wierzyć nie można, bo zawsze w nim, grzech pierworodny, coś polskiego w jakiś sposób się chowa....

Ale chociaż hrabina Kaisersfeld ostygła pochlebiał sobie Darnocha, że jego małżeństwo na tém nie ucierpi; rachował na pannę Hersylię, na mamę, na swą postać i przymioty, które oceniał wysoko. I byłyby go może nie zawiodły rachuby gdyby, nie szczególnie, nieszczęśliwy skład okoliczności.

Lubicz Pawłowski wyjeżdżając po petersbursku chciał ugościć swych znajomych, i zaprosił ich na wspaniałą wieczerzę w restauracyi kursaalu. Obyczajem z nad Newy, szampańskie wino łać się musiało strumieniem, podochocili sobie wszyscy, a podchmieleni nie oszczędzali osób nie przytomnych....

Jeden z niechętnych hrabinie Kaisersfeld począł półgłosem rozповідаć różne ciekawe epizody z jéj życia, a było tego obficie i nie wszystkie w inném towarzystwie prócz męzkiego... opowiadane być mogły.... Z tych zwierzeń przyszło do ogólnych, o charakterze, roli, zajęciach i źródłach majątkowych — rozpraw, sprzeczek i rewelacyi.

Panu Wincentemu nie tylko nie przyszło na myśl bronić swojej protektorki, ująć się za nią, ale popisując się z dowcipem rzucił ostre słówko które znalazłszy nader trafném, towarzystwo całe oklaskami przyjęło. Powtarzano je sobie na ucho i głośno... a koncepcistę niefortunnego zaszczycono toastem. Darnocha któremu to pochlebiało dopuścił się jeszcze kilku gorzkich sarkazmów nie tylko z hrabinéj,

ale... z prezesa i mamy podżartowując i naśmiewając się nader zręcznie....

Na nieszczęście obok pokoju w którym wrzawliwie tak żegnano Lubicza, jedli wieczerzę radzca Sukin i drugi jakiś znajomy pani hrabinéj. Naza-jutrz pół słowem dano o tém jéj wiedzieć. Hrabina nalegała póty, aż jéj wszystko, nawet obelżywy koncept cyniczny powtórzyć musiano. Zniosła to na pozór zimno, zarumieniła się, uśmiechnęła, zacięła usta i nie dała poznać po sobie aby ją wielce obe-szło....

Ale od téj chwili Darnocha został osądzony, zabity, pogrzebiony. Hrabina jak umiała być wszech-mocną gdy chciała pomódz komu, tak była niezwalczoną jeźli się mścić postanowiła. Powtórzyła na ucho prezesowi i prezesowéj co Darnocha o nich powiedział, tegoż wieczora przyznała *en toute humilité*, jak się wyraziła, że ten człowiek ją oszukał, że się na nim okropnie zawiodła, iż może nawet nie był on krewnym tego hrabiego którego niby miała znać w Petersburgu (a którego w istocie na świecie nie było). Słowem rzuciła tak obfite nasienie niewiary w umysły Burskich, że ci powoli wycofywać się zaczęli.

Pannie Hersylii niezmiernie zręcznie podsunęła hrabina Francuza, urzędnika w ministeryum spraw zagranicznych, Vicomt'a, człowieka z którym ze

wszech miar Darnocha mierzyć się nie mógł. Temu poddmuchnęła ażeby *en sous oeuvre* podjął przez p. Wincentego rozpoczęte wmawianie dystynkeyi... w pannę Hersylię. Z ust Francuza miało to wyższą jeszcze wartość i było potwierdzeniem w niej opinii jaką powzięła o sobie. Burscy stygli dla konkurenta, panna Hersylia była w złym humorze, znalazła powód do małego sporu i mimo największego splaszczania się, pokory, przeprosin... p. Wincenty został najwyraźniej, stanowczo.... usunięty.

Znalazł się tedy wkrótce na bruku odepchnięty przez hrabinę, przez Burskich, i gdy się wszyscy rozjeżdżali został sam z małym groszem a żadną na przyszłość nadzieją. Upadek ten piorunem spadł i przygniótł go.... Z rozpaczyny poszedł do stolika gry, ostatkami począł grać z różnem szczęściem z razu... potem tak już niefortunnie iż do ostatniego zegarka puścił wszystko.... Ktoś mu wówczas pożyczył tyle ile było potrzeba ażeby się dostać do Poznania.

Chociaż się źle rozstali z Guciem, Darnocha nadto go znał by powątpiewał, iż u niego pomoc znajdzie i litość.

Pokorny, grzeczny, smutny — zapukał do drzwi dawnego towarzysza — malując mu swe położenie w najżywszych kolorach, odzywając się do jego serca... dō starego akademickiego braterstwa.... Przyznawał się do winy, narzekał na swą lekkomyśl-

ność, przeklinał błędy, ale część ich znaczniejszą, zrzucał na wpływ niegodziwy, despotyczny téj... niebezpiecznej hrabiny....

W ostatku obiecując poprawę, prosił o pracę, o zajęcie.

Z tém wszystkiém jakkolwiek to było piękne, nie obudzało najmniejszego zaufania... przesada i gwałtowność ostrzegały o nieszczerości, charakter żadnej nie dawał rękojmi. Wolał więc Augustyn przyjść mu w pomoc pożyczką pieniężną, niżeli brać na siebie poprawę wątpliwą człowieka, który nadto był zepsuty już, aby się łatwo dał na drogę nową naprowadzić.

Użyć go w handlu nie było podobna, wprowadzać do domu niebezpiecznie, polecieć innym nie dozwalało sumienie; rozstali się więc chłodno... a pieniądze zapłacił dług koleżeństwa.

Darnocha jak się zdawało, dosyć był rad temu rozwiązaniu i natychmiast znikł z Poznania.

O losie innych osób powieści naszej nie wiele powiedzieć możemy a nie powiemy nic dla tego, że czytelnik znajdzie zaspokojenie ciekawości przypatrując się im żywym do koła siebie. Wszystko to są postacie ukradzione światu co nas otacza, a los téż ich podległy prawom ogólnym — zawsze bywa jeden.... Nie powimy ażeby cnota tryumfowała

koniecznie, a występek miał być zawstydzony i upokorzony, dzieje się często na odwrót; może najczęściej nawet — ale zwycięstwo prawdy obchodzi sumienie ludzkie które czuje że zło nawet silne i na pozór bezkarne — jest przypadkiem, nauką — anormalią.

Chcielibyśmy jeszcze w dwóch słowach wytłómaczyć się dla czego powyższe nosi tytuł: H y b r y d y, gdyśmy w niej i częstezki tego zjawiska cechującego dzisiejszą, społeczność naszą, a po części europejską, wyczerpać nie mogli? Szło nam też więcej o wskazanie téj cechy niżeli o monografię niezliczonych fenomenów, które się dla samej natury swéj zarejestrować nie dają. W chwili przejścia jak dzisiejsze, chwili wielkiej pracy społecznej dorabiającej się niezawodnie nowych kształtów, nowego rozkładu swych żywiołów, a przynajmniej innego ich uporządkowania, hybrydy wszelkiego rodzaju zapisać potrzeba jako ciekawe zjawiska, które nie potrważą. Zadanie ich jest krótkie, czasowe i już za niemi przewidywać można, powstanie nowych postaci, innego świata który z wybitniejszych złoży się jednostek, z wyraziściej nacechowanych istot. Hybryd to tylko poczwarka, z której wyleci motyl, éma... nie

wiem co zresztą, bo przyszłość się nie odgaduje
w całości ani nauką ani nawet natchnieniem. Przy-
szłość jest zamkniętą dla nas... choć na téj księ-
dze siedmiu pieczęci... czytamy uspokajające — go-
dło — Sprawiedliwość.

1867 r.

KONIEC.

4251



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAŃ**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-240 Warszawa
Tel. -26-68-63, 26-52-31 w. 42

F

1670